

Laudary

TEATR
DLA
SPOŁECZNOŚCI
CZYLI
KOMEDYE
PANI GENLIS
TŁOMACZONE
przez X. Ładowskiego S. P.

TOM I.



W WARSZAWIE
w Drukarni P. Dufour, *Kons: Nadw: J. K. Mci, i Dyrek: Druk: Korpusu Kadetów.*

M. DCC XCIII.



OSOBY.

CELANIA.

ANIELA, *Corka Celanii.*

MELITA, *Kuzyna Celanii.*

EMILIA, *Przyiaciołka Celanii.*

VALCOURT, *Amant Anieli.*

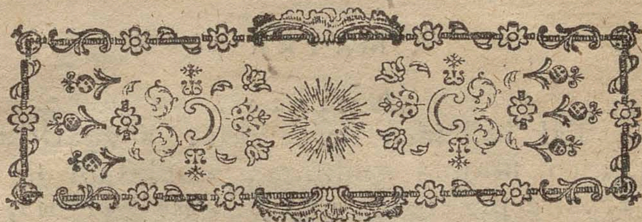
MARGRAF d'HERCY, *Amant Celanii.*

HENRYETKA, *Pokoiowa.*

LOKAY.

Scena na Sali w Pałacu Celanii.





MATKA WSPOŁ-ZALOTNICA.

KOMEDYA w PIĄCIU AKTACH.

AKT I.

SCENA I.

Teatr wystawia Salon, w głębi którego są drzwi szklanne na trawnik obrocone.

VALCOURT, EMILIA.

(*Wychodzą oboie z Trawniku, Emilia w stroiu podrożnym a Valcourt ieszcze nieubrany.*)

VALCOURT.

Czy dopiero W. Panna przyiechała?

EMILIA.

Tak ieſt moy Braciſzku, a że dopiero ſiódma godzina, chciałam ſię trochę przeſpać, nim wſtanie Celania, lecz ponieważ ciebie tu znayduię....

VALCOURT.

Zwłaſzcza że nie długo będzieſz czekała, gdyż Celania wſtaie zawſze o óſmey godzinie.

EMILIA.

A kiedy tak moy Braciſzku, pożytkuymy z czaſu, w ktorym ieſteśmy ſami, i pogadaymy do woli. Po ſześcio-mieſięczney niebytności, o wiele bardzo rzeczy można ſię zapytać, zwłaſzcza że z twych liſtow nie łatwo można czego nauczyć ſię. Od nieiakiego czaſu zacząłeś używać ſtylu tak ciemnego, tak zawiłego....

VALCOURT.

A W.Panna ieſteś tak ciekawa....

EMILIA.

Tak ieſt, prawda, oſobliwie w tym co ſię tycze ciebie; ale tę wadę maſz przypiſać moiemu przywiązaniu ku ſobie.

VALCOURT.

Alboż W. Panna nie wierzyſz co iey mowię ?

EMILIA.

Nie mamże przyczyny bydź nie-wierną ? Widziałam cię przez lat pięć zakochanego w Celanii, chociaż pewnie żadney nie miałeś nadziei ; a teraz powiadaſz, że od pułtora roku przyiaźń zaſtąpiła mieyſce namiętności ; ztym wſzyſtkim dni twoie przepędzaſz u Celanii, wſzelka inna kompania ieſt dla ciebie nowa i nie-przyiemna. Będąc młodym, przyiemnym, zabawnym, uchyliłeś ſię od świata, ktory cię żałuie, i o ktorym zapominaſz. Niemaſz dla ciebie ani feſtynow, ani uciech świetnych, ktore twoiemu przyſtoią wiekowi, nic ciebie ztąd oderwać nie potrafi. Zawſze ieſteś ſmutny, zaſępiony, zamyślony . . . nawet ta ſama rozmowa zdaie ci ſię bydź nudną, i uprzykrzoną.

VALCOURT.

Kto ! ia, moia Sioſtro ! ... Prawdziwie nie. Jeſtem tylko zmartwiony, że

mi niechcesz dać wiary. Nic prawdziwszego nad to, żem do Celanii powziął serce nayżywsze i uprzeyme. Po czteroletnich utrudzeniach pracy i stałości, nakoniec puściłem się na iedno. Zatopiona iedynie w Corce swoiey, o edukacyi oney, i iey postanowieniu tylko myśli: te święte obowiązki zaymuią iey duszę, i niszczą wszelką w niey czułość. Sama mi o tym tyle razy powtarzała, i swoiemi połtępkami tak przekonała, że bynaymniey wątpić nie mogę, i byłbym nierozsądnym, gdyby. . .

EMILIA.

Ach! dla Boga! nic prawdziwszego; ale miłość czyliż rozumuie? Ona ci nakazała milczenie, ona zapewne wymogła na tobie ofiarę z tak szkodliwey namiętności; należało ią przynaymniey ukryć, albo przestać ogłądania celu oney; pod tym warunkiem przyiaźń Celanii była ci przyrzeczona, a ty zamiast zachowania tego dobra, ktore ci ofiarowała, zacząłeś od skrytości, a podobno i w ten moment sam siebie uwodzisz; otoż iest, czego ia się lękam.

2

VALCOURT.

I coż z tego? Ja W. Pannie poprzysięgam, że się mylisz. Serce moie iest bardzo odmienne. ... Ach! Siostrzyczko, nic nad to pewnieyszego.

EMILIA.

Ten tkliwy ton, bynaymniey nie przekonywa. Jeżeli takim sposobem zapewniasz ią o twoiey oboiętności, przestrzegam, że nie uwierzy, i ia sama tego na sobie nie przewiodę, aby można tak łatwo od niey oderwać się, poznawszy wdzięki umysłu i charakteru oney, tę iednostayność tak dokładną, tę dobroć, tę otwartość nadewszystko, ktora ią odznacza, i wywyższa nad wszystkie inne kobiety. Nie mowię ia nic o regularności i wdziękach iey urody, ktora się obeydzie bez piękności, ale ta dusza tak czysta, tak wspaniała, tak czuła, ta Matka tak kochaiąca i przywiązana, ktora od lat dziesięciu zostawszy wdową unika od świata, aby się zupełnie poświęciła wychowaniu Corki iedyney i ukochaney. . . . Ach! iakże nie czcić, tylu cnot i tak rzakich?

VALCOURT.

Z radością ſerce moie przyimuie te wſzyſtkie pochwały, ktore iey przyiaźń twoia oddaie; Sentyment ktory mam ku niey, ieſt może daleko ſłodſzy nad miłość, ktora mnie obłąkała, i pewnie oney godnieyſzy. Gotow ieſtem poświęcić dla niey moie ſzczęście i życie, a pewny będąc powrotu, ktorego pragnę, mam ukontentowanie z widzenia, i ſłuchania oney, bez pomieſzania gwałtownego, ktore przedtym truło moią ſłodycz.

EMILIA.

Ach! moy Braciſzku, maſz lat dwadzieścia ſiedm, a wpatruieſz ſię w nią bez pomieſzania! . . . Należało ci unikać widzenia, a byłoby roſtropniey chronić ſię niebeſpieczeńſtwa. . .

VALCOURT.

Ale proſzę cię moia Sioſtrzyczko. . .

EMILIA.

No, to iuż nic nie mowmy, bo ſię nigdy z ſobą nie zgodziemy. Dla odmiany dyſkurſu, powiedz mi proſzę co nowego o Anieli, czy zawſze ieſt luba?

3

VALCOURT.

Tak nieinaczey, godna ieſt ſwey Matki, poſiada wſzyſtkie iey wdzięki, i cnoty oney rokuie.

EMILIA.

A Celania czy zawſze nie żyie tylko dla niey?

VALCOURT.

Jak iedna, tak druga wyſtawuią portret bardzo czuły, kochąią ſię niewypowiedzianie, i powiadam WPannie, że trudno ieſt wyrazić, ktora z nich ma ſentyment żywſzy i przychylnieyſzy.

EMILIA.

Więc Celania ieſt bardzo ſzczęśliwa?

VALCOURT.

I w rzeczy ſamey bydź powinna, iednakże od nieiakiego czaſu zdrowie iey pſuć ſię zaczęło; czego przypiſać nie mogę tylko pomieſzaniu, ktore poſtrzegam w iey humorze i charakterze.

EMILIA.

Prawda ieſt, że częſto, zwłaſzcza od trzech mieſięcy upatruię wliſtach

iey iakiś smutek, ktory mnie zadziwił; ale iak powiadasz, to zapewne iey zdrowie popsute iest przyczyną...

VALCOURT.

Wiele ona straciła z tey iednostayności humoru, ktorąś w niey dopiero wychwalała; czasem bywa roztargniona i zamyślaiąca się, nie iest tak wesoła, acz milsza, że wymowić nie podobna, ma w sobie niewiem coś uymuiącego i miłego, słowem, iest bardzo luba, przyiemna, i interessuiąca.

EMILIA.

A przecie wpatruiesz się w nię bez pomieszania? .... To pewnie cię interessuie w skrytości.... Przynaymniey mnie się tak zdaie.

VALCOURT.

Czy znowu W. Panna zaczynasz?..

EMILIA.

Wybacz Braciszku, bo niechcący uczyniłam tę uwagę. Chcąc zakończyć moie pytania, ktore tu są Osoby, co składaią kompanią?

VALCOURT.

Margraf Hercy.

EMILIA.

Bardzom kontenta, gdyż ieſt twoim przyiacielem, i wart tego, bo rownie ieſt uczciwy iako i grzeczny. Potym? . . .

VALCOURT.

Kuzyna Celanii Melita.

EMILIA.

O co tey, to nie lubię.

VALCOURT.

A to dlaczego?

EMILIA.

Ja niewiem, ale zdaie mi ſię, że ieſt fałſzywa, i zazdroſna. A do tego nie kontenta, że ieſt wdową Poborcy, maiąc Sioſtrę cioteczną wyſokiey doſtoyności. . . .

VALCOURT.

Bardzo ſię W. Panna myliſz, upewniam że ona ieſt bardzo dobra kobieta, kocha mocno Celanią, a nadewſzyſtko Anielą.

EMILIA.

Oy tak, mnie ſię zdaie, że ona więcey kocha ſwoią Sioſtrzenicę niż Kuzynę. Nie może ona zazdrościć urodzie Panienki w lat ſiedmnaście, ale

będąc w rownym wieku z Celanią smutnie pogląda na iey wdzięki, nadewszystko na iey ksztaltność i talią subtelną, ktora ią w oczach czyni młodą.

VALCOURT.

Co za imaginacya! Melita nigdy nie była piękną, i nie ma się za urodziwą.

EMILIA.

Och! dla Boga, iakto? ona nie iest w pretensyi? Bardzo mi śmieszno. Alboż potrzeba bydź piękną, chcąc się mieć za urodziwą? Lubo w tym przypadku nie byłoby nic dziwnego.

VALCOURT.

Ale ia wcale przeczę temu, aby tak było.

EMILIA.

Tak iest, bo umie się sztucznie ukryć z tym co myśli.

VALCOURT.

Jakżeś to W. Panna przeniknęła?

EMILIA.

Męszczyzni tego nie znaią, ale co my, dociekamy z naydrobnieyszych rzeczy, ktorych wy nie postrzegacie.

VALCOURT.

Sądzicie letko, a zatym bardzo źle.

EMILIA.

Słuchay moy Braciſzku, prawda że maſz wiele rozumu i przymiotow, ieſteś uczciwym i czułym, ale nadto młodym. Zatopiony od lat ſześciu w namiętności, ktora cię zaymuie, wſzelkie twoie uwagi i myśli do iednego iedynie zmierzaią celu. Dotego, nic nie wieſz, nie maſz żadnego doświadczenia, nie znaſz ieſzcze ludzi, tyſiączne ich wybiegi nie ſą ci wiadome, naoſtatek ieſteś latwowiernym, boś nigdy nie żył na wielkim świecie.

VALCOURT.

I na coż mi ſię przyda znać świat, od ktorego uciekać na zawſze umyśliłem?

EMILIA.

Ta znaiomość ieſt zawſze użyteczna. Wierzay mi moy Braciſzku, że ſerce naycnotliwſze potrzebuie oświecenia.

HENRYETKA *nadchodząc do* EMILII.

Jeymość Dobrodzieyka wſtała i przyſyła mnie. . . .

EMILIA.

Idę zaraz Henryetko. (*do Valcoura*) Bądź zdrow Braciſzku, innym czaſem wrociemy ſię do naſzey rozmowy. (*wychodzi*)

SCENA II.

VALCOURT *ſam.*

ONA rozumie, że mnie przeniknęła. Ach! iak źle czyta w ſercu moim! Już po kilka razy ledwiem ſię nie wydał. . . . Ale że nie ma nic ukrytego dla Celanii, to mnie iedno wſtrzymało. Trzeba będzie iednak kiedy otworzyć iey nowe czucia ſerca moiego. Ta myśl mieſza mnie i czyni nieſpokoynym, ſam nie wiem dlaczego. O! Celanio, coż mi odpowieſz, gdy cię obiorę za pośrze-

6

dniczkę uszczęśliwienia moiego? Czyliż zawsze będzie los moy w rękach twoich? Jakże ci będę mogł powiedzieć, iż nie ty ieśteś ktorą kocham? Nieśtety. Nię mowiłem z nią nigdy o moiey miłości tylko ze drżeniem, a teraz lękam się iey powiedzieć o odmianie, ktorey sama żądała. . . . . Co za głupstwo! ktoś idzie. . . . Melita podobno, ona iedna potrafiła odkryć skrytości serca mego, i ktorey rady nigdy mi nie mogły bydź potrzebnieysze, iak w ten moment.

SCENA III.

MELITA, VALCOURT.

MELITA.

EMilia przyiechała; miałeś z nią słyszę długą rozmowę, czy tylko cię nie zdradziła?

VALCOURT.

Nie M.Pani, ale się przyznam, że ta skrytość iest dla mnie nieznośna.

MELITA.

Powiedziałam ci iuż nie ſto razy, że ſzczęście twoie zależy od poſtępowania twego i ſkrytości.

VALCOURT.

To ſzczęście mnieyby mnie koſztowało niż kogo innego, ukrywać w głębi ſerca ſentyment, ktory go zaymuie. Przepędziłem moie życie w tey przykrey i ſmutney gwałtowności. Milczeć przymuſony przez cel pierwſzego wyboru, pięć lat upłynęło na nieuſtannym iey oglądaniu i moim milczeniu, ktore mi ſama nakazała; nie mogłem iey wſpomnieć bez narażenia ſię, a mogęż teraz mowić bez rozgniewania! . . .

MELITA.

Ja ci powtarzam; wprzod nim ſię oświadczyſz, ſtaray ſię zapewnić o ſercu iey corki, powiedz: kocham, i ieſtem kochany, a umknieſz wſzelki pozor odmowienia. Ktoż wie, ieżeli iuż nie ma innego widoku iey poſtanowienia? A do tego kochaiąc tak mocno Celanią, to iedno w iey oczach może bydź wymowką twoiey odmią-

odmiany, gdy ią przekonaſz iż ieſteś kochany. Ten zyſk tobie zaręczy wſzyſtkie inne, on mowię upoważni twoią nieſtałość i miłość ku Anieli. Celania może ſobie mowić: gdybym była czułą iak moia corka, byłabym ieſzcze kochaną. Bądź pewny, że prożność iey będzie zaſpokoiona, a kochaiąc corkę, ſzacuiąc ciebie, ſprzyiaiąc oboygu zezwoli z radością na wſpolne waſze uſzczęśliwienie.

VALCOURT.

Ach moia Pani! nie lękam ſię ia bynaymniey prożności Celanii, żadna nigdy z kobiet nie ieſt więcey daleka od umizgow. Ale co inne twoie przyczyny mocno mnię przekonywaią, bo w rzeczy ſąmey nie byłbym daleki od winy, żem ſię odmienił, gdybym ſobie nie podchlebiał, że ieſtem wzaiemnie kochany. Wieſz o tym W.Pani, gdyś na mnie wymogła ſekret, przyznałem ſię przed nią.

MELITA.

Tak ieſt, powiedziałeś mi, że przychylność ktorą powziąłeś ku moiey Sioſtrzenicy była dla ciebie pierwſzą

ponętą skłaniaiącą się ku niey, ale iednak usta iey nie potwierdziły twey nadziei, i może sam siebie zwodzisz.

VALCOURT

Ach! serce iey otwarte łatwo może bydź poznane. Powinienemże wyciągać od niey przyrzeczenia, ktorego dać nie może bez Matki, a ieszcze iakiey Matki!

MELITA.

Ale czy możesz bez wyraźney woli tey, ktorą kochasz, używać powagi Matki, dla otrzymania oney? Jestże to wspaniale i delikatnie? nakoniec coż iest coby mnie miało pociągać do tego? upewniam że nie mam w tym innego celu, nad uszczęśliwienie moiey Siostrzenicy i ieżeli nie przyimuiesz moiey rady, przestańmy mowić, szukay sobie innych sposobow, i pozwol niech się w to więcey nie mieszam. . . .

VALCOURT.

Ach Pani! moia ufność cała w tobie. Wybacz moiemu wahaniu, ktore iest nieodstępne od wzruszenia, ktorym iestem skołatany, rządź mną iak

8

chceſz, ſpuſzczam ſię na ciebie zupełnie.

MELITA.

Powinieneś wierzyć moiemu doświadczeniu, a nadewſzyſtko moiey ſzczerey przyiaźni. Rozeydzmy ſię, trzeba nam ſię wyſtrzegać, aby nas kto niezſzedł, niechciałabym albowiem, aby ſię domyślano, że ieſteśmy iedney myśli z ſobą.

VALCOURT.

Bądź zdrowa Pani! pamiętay, żem w twoich ręku złożył los życia mego.

SCENA IV.

MELITA *ſama.*

I iakże! zawſze będę przymuſzona ſłuchać pochwał Celanii, co ona ma za ſpoſob wiązania ku ſobie ſerc wſzyſtkich? . . . O! iakże iey nienawidzę. . . . Już co to, nic pewnieyſzego, że Margraf Hercy ią adoruie...

Niewdzięcznik! Ale czy ſkryte uczucia moie ſą mu wiadome? ... Uczucią, ktore rozum upoważnia, ambicya wzmacnia, i ktorych mi potłumić ani ukryć nie podobna. Naoſtatek ieżeli Margraf może naſycić moią prożność ſwemi ozdobami i doſtoieńſtwem, tedy moy maiątek znaczny ktory poſiadam, może nas uczynić ſobie rownemi. Tak ieſt, gdyby nie miłość, ktorą ma ku Celanii, zamyśly moie przyſzłyby do ſkutku. ... Lecz albo że ia ſię mylę, albo że ſerce mey Wſpoł-zalotnicy ieſt w nadzwyczaynym poruſzeniu; czego gdybym dociekła, zapewne Margraf poſzedłby na moią ſtronę. ... Cała rzecz załeży na tym, aby odkryć Celanią. Dotąd wſzyſtko idzie podług chęci moich. Niepotrzeba więcey.... ktoś idzie, trzeba milczeć.



SCENA V.

MELITA, CELANIA, ANIELA, EMILIA, HENRYETKA, MARGRAF, VALCOURT. Wszyscy w ubiorze rannym.

CELANIA, *potrzegłszy Melitę.*

Ach! widzę ią. Ponieważ tedy wszyscyśmy się zeszli, zrobmy tu śniadanie. Henryetko każ przynieść herbatę.

MELITA, *ściskaiąc Celanią.*

Jak się W. Pani Dobr. miewasz? Znayduię cię mizerną.

CELANIA.

Już to od nieiakiego czasu bardzom się zmieniła! . . . (*Spuszcza oczy i zdaie się bydź zamyśloną. Przez nieiaki czas wszyscy Aktorowie milczą i na nią patrzą.*)

MELITA, *pocichu do Margrafa.*

Nie rozumiem, aby śniadanie było wesołe.

MARGRAF. *pocichu.*

Uważay W.Pani, iak ona ieſt piękna! powabna!

MELITA. *pocichu.*

Straciła cerę, i ieſt prawie nie do poznania.

EMILIA, *do Anieli połgłoſem.*

Ona mię czyni nieſpokoyną. . . .

ANIELA, *biorąc za rękę Celanią i całuiąc.*

Mama! . . .

CELANIA.

Wzdycha, oczy podnoſi, przytuła corkę, pogląda na Valkura, i weſtchnąwſzy ciężko mowi.

A herbata? (*na ſtronie*) Już więcey nie mogę ſię wſtrzymać: (*Przynoſzą ſtolik z herbatą Celania ſiada między Corką i Emilią, Valkur z drugiey ſtrony bliſko Anieli a Margraf między Emilią i Melitą Dwoch lub trzech Kamerdynerow ſtoią przy drzwiach dla uſługi.*

CELANIA, *nim poſiadali mowi.*

Moia corko, uſiądź tam, a ty moia przyiaciołko tu. (*do Emilii.*) *Tymczaſem Aniela nalewa i rozdaie herbatę, wſzyſcy iedzą &c.*

MELITA, *do Emilii.*

A W. Pani iechała na Paryż, coż tam słychać nowego?

EMILIA.

Rozumiem iż W. Państwu wiadomo, że Hortensya powtorzyła swoie śluby.

MELITA.

Nie, bynaymniey wcaleśmy o tym niewiedzieli. Jakto! ta kobieta ktora się okazywała, tak kochać swoie dzieci, ktora się nie zdawała żyć tylko dla nich. . . .

CELANIA.

Jeżeli to zamęście nie szkodzi ich maiątkowi, zaco W.Pani iey przyganiasz?

MELITA.

Maiąc dzieci, ia tego poiąć nie mogę. . . .

CELANIA, *z marsem.*

Bardzo W.Pani prędko potępiasz.

MARGRAF.

Alboż dzieci mogą wyciągać po matce ofiary z iey uszczęśliwienia?

ANIELA.

Owszem przeciwnie to iest rzeczą naturalną i przyzwoitą!

EMILIA.

A do tego Hortenſya nie poſzła za ſwoią ſkłonnością aż przy końcu ſzoſtego roku, . . .

MELITA.

Otoż to ieſt właśnie, co ią czyni w oczach moich tym winnieyſzą. I iakże! przez ſześć lat oſzukiwała ſwoie dzieci, ſwego Amanta, i świat cały; ſrożyła ſię przeciw miłości, poczytywała ią za ſłabość, a w ſkrytości nią ſię uwodziła; powiadała że nie kocha tylko dzieci, że nie żyie tylko dla nich; odbierała w tym rozumieniu pochwały i podziwienie od wſzyſtkich ią otaczaiących, a nie była ich winna, tylko ſwey fałſzywości i długiemu ukrywaniu?

CELANIA.

Ale M. Pani, może ona ſzczerze opierała ſię, może ſpodziewała ſię pokonać ſwoie chuci, może ſama ſiebie uwodziła.

MELITA.

Dziwuię ſię W. Pani, iak możeſz wymawiać taką ſłabość, W. Pani mowię, ktora ieſteś przykładem i wzo-

rem, Matek, W. Pani, ktoraś nam tak dowiodła. . . .

CELANIA.

Proſzę nic nie mowić o mnie; ja wcale niezaſługuię na te pochwały, i choćbym ich była warta, nie dałabym ſię onym uwieść. Prożność nigdy nie kierowała moiemi poſtępkami, ani zakładam wziętości i ſławy, tylko na mniemaniu tego, co kocham.

ANIELA, *uśmiechaiąc ſię.*

Tak Mama, możeſz ieſzcze poyść za mąż, nie będę ſądziła, abyś mnie miała mniey kochać, ani ia nie zmnieyſzę moiego affektu ku tobie.

EMILIA, *do Celanii.*

To dobrze, otoż teraz możeſz uczynić, co ci ſię podoba.

CELANIA, *do Valkura z pomieſzaniem.*

A W. Pan nic nie powiedziałeś na zamęście Hortenſyi! Chciey nam także dać ſwoie zdanie.

VALCOURT.

Za zdaniem W. Pani Dobr. poſzłoby i moie, a nawet potrafiłoby go odmienić, gdyby było przeciwne. Ale

w tym razie niepotrzebuiesz żadney nademną mocy na przekonanie moie. (*Wskazuiąc na Melitę*) I ia nie poymuię, aby Jeymość Dobr. mogła szczerze utrzymywać. . . .

EMILIA, *śmieiąc się*.

Czy prawdziwie móy Braciszku nie odrzuciłbyś wdowy, ktoraby uczyniła głupstwo poyść powtornie za mąż? Czy szczerze to mowisz?

VALCOURT.

Nic ia nie mowię o rzeczy tak naturalney i sprawiedliwey, ale u mnie nie masz takiey przeciwności ani obłąkania, ktoregoby miłość prawdziwa nie mogła usprawiedliwić.

CELANIA, *uśmiechaiąc się*.

Ten morał nie zewszystkim iest czysty.

MARGRAF.

Jeżeli mu rozum nagania, to serce na wzgardę onego pochwala.

MELITA, *na stronie*.

Wcale się nie rozumieią.

EMILIA.

Druga nowina że Klaryssa wyszła na świat, tak piękna tak świetna iak nigdy.

VALCOURT.

Jako! iuż się przestała śmucić?

EMILIA.

Opłakiwała przez lat dwa na ustroniu śmierć swego kochanka, ale z czasem łzy iey oschły.

MELITA.

Ja zawszem otym wątpiła; stałość iest czystą chimerą.

CELANIA, *z żwawością*

Ach! dla Boga, M.Pani, a to dlaczego?

MELITA

Bo mi wszystko dowodzi.

EMILIA.

Prawda, że we dwudziestym roku wieku opłakiwać śmierć ustawicznie, iest bardzo rzadka, ale co do żyiących, bardzo wierzę stałości. A ty moy Braciszku? . . .

VALCOURT. *pomieszany.*

Teraz zaczyna się rozmowa o stałości.

CELANIA, *po cichu do Emilii.*

Mieszasz go.

EMILIA, *po cichu do Celanii*

Nie mam nad nim żadney litości, tak iest śmieszny. . . .

VALCOURT, *na ſtronie.*

Muſzę odmienić materyą. (*głośno do Celanii*) M. Dobrodziko, czy zrobiemy Muzykę tego wieczora?

CELANIA.

Zapewne; chciałabym żeby Emilia ſłyſzała moią Anielę. Rozumiem że ſię zadziwi nad iey poiętnością.

EMILIA.

Na coż odkładać to ukontentowanie? Jeżeli chce ſpiewać? . . .

CELANIA, *do Anieli.*

Czy będzieſz śpiewała?

ANIELA.

Jaką Mama chceſz piośneczkę?

CELANIA.

Ktorą naybardziey lubiſz.

ANIELA.

Jeſt iedna, ktorą mi dał J. Pan Valcourt. . . Notę iey bardzo lubię.

MELITA, *na ſtronie.*

A ſłowa ieſzcze bardziey.

ANIELA.

Ale nie umiem bardzo dobrze, i mieſzać ſię będę. . . .

MELITA, *na ſtronie.*

I Autor oney tož ſamo.

CÆLANIA, *do Emilii.*

Głos ma dość przyiemny, i uważay iak ſpiewanie przydaie iey wdzięków.

ANIELA.

To i ſprobuię. . . .

(*ſpiewa*)

Kochać a nie mowić śmiale,
Miłości! tenże — los wcale?
Mamże aż do dni ſkończenia,
Cierpieć ſrogie udręczenia?

Ty zniewalaſz ſerca mile
Słodkim gwałtem w każdą chwile,
Do mowienia całe życie,
A mnie każeſz milczeć ſkrycie!
Pozwol niech choć nucę ięki.

Kochać a nie mowić śmiale,
Miłości! tenże — los wcale?
Mamże aż do dni ſkończenia,
Cierpieć ſrogie udręczenia?

EMILIA.

A to bardzo ładnie. Ona ma ułożenie ſzczere i bardzo miłe, ktore

iey dodaie wdziękow i wyrażenia, ktorego w nikim procz niey nie znayduię. Nuta ieſt dziwnie piękna; a ſłowa czy ſą twoie moy Braciſzku?

VALCOURT.

Smieſzna rzecz, ia nigdy wierſzy nie piſałem.

CELANIA.

No! iuż dzieſiąta godzina, czy chcecie W. Państwo wyiść na ſpacyer?

EMILIA.

A czy tam znaydziemy cień wygodny, bo teraz pali ſłońce. . . .

CELANIA

Tak ieſt, tak, poydźcie, zaprowadzę was do moich Rzemieślnikow.

EMILIA

Bardzo dobrze. (*wſzyſcy wychodzą. Aniela zoſtaie troche w tyle z Valkurem i mowi do niego.*) Bardzom źle śpiewała, . . gdyż całam ſię trzęſła. . . .

VALCOURT

A to czemu? Alboż nie ieſteś pewna, że zawſze śpiewaſz wdzięcznie?

ANIELA.

Ach! pewna. . . . Nie.

VALCOURT.

W. Panna z natury ieſteś ſzczera.

ANIELA.

W. Pan widzę, chceſz mi wyrzucać.

VALCOURT.

Mam po ſobie prawo, i W. Panna wieſz dobrze.

ANIELA.

Muſzę poyść za moią Matką.

VALCOURT.

Jeſzcze słowko.

ANIELA.

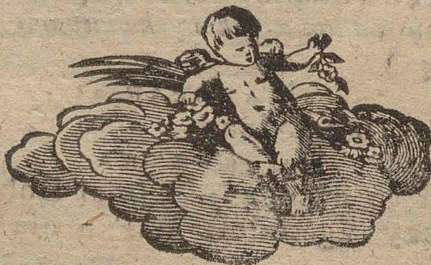
Nic, ia niechcę odpowiadać.

VALCOURT.

Przynaymniey posłuchay mnie. . .

(wychodzą)

Koniec pierwſzego Aktu.



AKT II.

SCENA I.

HENRYETKA, MARGRAF.

Henryetka ukazuie ſię, za ktorą idzie Lokay nioſący paczkę, Margraf wchodzi i zatrzymuie ią.

MARGRAF.

HEnryetko, gdzie idzieſz?

HENRYETKA, *uśmiechaiąc ſię*

Jeſt w tym ſekret; mogę go iednak W. Panu powierzyć. (*do Lokaia*) Kwiatkowſki, otworz tę paczkę. (*Lokay odſłania ſuknią kwiatkami ſzamerowaną.*)

MARGRAF.

Ach! iak ładna.

HENRYETKA.

Jeſt to grzeczność Jmci Dobrodziki, czy zgadnieſz W.Pan dla kogo?

MARGRAF.

MARGRAF.

Dla Anieli zapewne.

HENRYETKA.

Tak ieſt ; będzie temu pięć lub ſześć dni iak Panna Aniela trafunkiem pochwaliła Polonezę. Zaraz kuryer pobiegł do Paryża i przywiozł tę ſuknią. Jak powroci Panna ze ſpacyeru, znaydzie ią w ſwoim pokoiu rozwieſzoną.

MARGRAF.

Co za ſtaranie, co za uſilność w naydrobnieyſzych rzeczach!

HENRYETKA.

O! Mospanie, ieſzcze to nic, gdybyś W. Pan wiedział o wſzyſtkich ſzczegulnościach w tym rodzaiu, na ktore ia patrzę, a nikt o nich nie wie.

MARGRAF.

Moia kochana Henryetko, twoia Pani ieſt nieporownana.

HENRYETKA.

Nieporownana! to prawda, a przytym rozum. . . . Słowem cokolwiek Panna umie, wſzyſtko iey winna.

MARGRAF.

Czy nie miała żadnych innych Nauczycielow procz Matki?

HENRYETKA.

Jeymość, iak ią W. Pan znafz, piękna i kochana, opuściwfzy wfzyftko, całe życie zatrudnia fię nauką, będąc zawfze zamknięta z Nauczycielami, a to iedynie tym końcem, aby mogła fama corce dawać lekcye.

MARGRAF.

Czy tak ieft w rzeczy famey?

HENRYETKA.

Tak Mości Dobrodzieiu, a to iuż od lat dwunaftu, nie uchybiaiąc i iedney minuty. Ale Jeymość nielubi fię chwalić, nawetby mnie połaiała, gdyby wiedziała, że ia o tym gadam, iednakowoż to ieft nad fiły moie, abym mogła milczeć.

MARGRAF.

Potrzebaż aby tylko do iednego celu ferce tak czułe przywiązywała!

HENRYETKA.

Och! ona ieft bardzo dobrą przyiaciołką, bardzo czułą; a zaś w u-

czynności i dobroczynności.... nikt iey nie wyrowna.... Ale względem tego, co się nazywa kochać... w tym zupełnie.... Sama tylko Panna ... iest dla niey niby namiętnością; słowem Mości Dobrodzieiu, wystaw sobie że iest wspoł-zalotnicą.

MARGRAF.

Jakto?

HENRYETKA.

Tak, gdyby ona wiedziała, że Panna ma więcey przyiaźni dla kogo, iak dla niey, rozumiem żeby umarła..,. a nadewszystko zaufania. Ach co w tey mierze, gdyby Panna uchybiła, od rozumuby odeszła.

MARGRAF.

Byłaby Aniela bardzo niewdzięczna, to niepodobna....

HENRYETKA.

Och! co to nigdy nie będzie, ona iest z natury dobra. Ale ia zagadawszy się, zapomniałam o wszystkim. Właśnie o tey godzinie maią powracać ze spacyeru, a ia nie mam czasu.

MARGRAF.

Bardzo ci dziękuię moia kochana Henryetko za tę rozmowę; znalazłem ią wielce interessuiącą.

HENRYETKA.

O i ia także Mości Dobrodzieiu, bardzom kontenta, kiedy mowię o moiey Pani. Zdaie mi się, że kogoś słyszę, muszę uciekać. (*wychodzi*)

SCENA II.

MARGRAF *sam.*

Z iaką otwartością ta dziewczyna wyraża swoie podziwienie! Jakaś to wdzięczność! Jak iest podchlebna i rzadka! z iaką chciwością słucham tych pochwał prostych i szczerych!.. Lecz nic prawdziwszego, że ona nikogo więcey kochać nie może, tylko Anielę, a ia przecie czynię sobie iakieś nadzieie!... O Celanio! iak cię można widzieć, iak znać bez u-

wielbienia? Będę z nią mowił, z iakim bądź ſkutkiem, przecież ten moment będzie słodkim dla mnie! ktoś idzie. O nieba! to Melita; iakże ona mi ieſt natrętną od momentu, gdym w niey poznał zazdrość i iey czucia ſkryte! Zbliża ſię, muſzę ſię ułożyć, tylko bylem potrafił.

SCENA III.

MELITA, MARGRAF.

MELITA.

ACH Margraf! iakżem kontenta, żem cię tu zaſtała. Czy nie poſzedłeś na ſpacyer? Przyznay ſam, że zaczynaſz z ſobą nudzić.

MARGRAF.

Ja M.Pani, a to zaco?

MELITA.

W rzeczy ſamey, ia ſię temu nie dziwuię, rozmowa naſza nie była

bardzo przyiemna. To przywiązanie Celanii i zatopienie ſię w corce ſwoiey. . . .

MARGRAF.

Alboż taki widok może W. Panią nudzić?

MELITA.

To pewna, że kocham Celanią z całego ſerca. Patrzę na iey corkę, iak na ſwoią; ale przyznam ſię, ta uſtawiczna podłość wielce mi ſię nie podoba; ia w tym znayduię coż wymuſzonego. . . .

MARGRAF.

Wymuſzonego! ach, Celania ieſt daleka od wymuſzenia, ma ona cnotę naturalną i proſtą. Ja rozumiem że u świata ten portret tak czuły dla nas, może bydź nieprzyiemny, i że zazdrość potrafiła go uczynić dziwacznym, ale na łonie przyiacioł Celania niczego obawiać ſię nie powinna.

MELITA.

Ach dla Boga! bardzo mnie W.Pan kontentuieſz. Tym lepiey ieżelim źle o niey trzymała. Radabym w oſobach, ktore kocham, taką znaydo-

wała doſkonałość, aby wady ktore częſtokroć miewaią, nie były przywidziane. Jeſt to chęć tak żywa....

MARGRAF.

Gdy tak ieſt, zaſpokoy ſię M. Pani nad podziwieniem ſzczerym i naturalnym, ktore w tobie wznieca nieoſzacowana twoia kuzyna.

MELITA.

Przyznay iednak Margrafie, że znaydzieſz w niey wadę.

MARGRAF.

Wadę, ia?

MELITA.

Tak ieſt, wadę . . . iey nieczułość i oddalenie od miłości.

MARGRAF.

Ta wada ieſt naturalna. Ktożby ſię ſądził bydź iey godnym?

MELITA.

Więc tylko ſama prożność zachowała ią od miłości. Ta uwaga nie wiele ią czyni intereſſowaną. Ale ia niczemu nie wierzę, i mam ſzczegulne myśli w tey mierze.

MARGRAF.

Czy mogę ſię ſpytać o nie W. Panią?

MELITA.

Jakie maſz prawo do moiego zaufania?

MARGRAF.

Żadnego, wyznaię.

MELITA.

Nie myśliſz o nim... Ale mam ſię W. Pana o iedną rzecz ſpytać, czy mi odpowieſz?

MARGRAF.

Odpowiem, ieżeli ſię nie ściąga tylko do mnie.

MELITA.

Wyznay W. Pan ſam.... Czylibyś ſię nie litował nad kobietą, ktora będąc wolną, przy znacznym maiątku mogącą uſzczęśliwić człowieka, ktorego iedynie kocha, gdyby ſię widziała bydź wzgardzoną od niego dla wſpoł-zalotnicy, dla kobiety, ktorą ſkrycie przekłada nad nią?...

MARGRAF.

Nie, M. Pani, bynaymniey nie wierzyłbym temu, Celania ieſt bez nagany.

MELITA.

Ktoż ci o niey powiada, i coż sobie wnosisz? . . . Ale nakoniec ieszcze ci powiem iedne słowo. Otworz oczy, rozważ dziś rozmaite Sceny, ktorych będziesz świadkiem... potym zastanowisz się i będziesz mogł. . . . Znaydziesz ieszcze serce, ktore warte było szacunku.

MARGRAF.

Mościa Dobrodziko... moie zadziwienie. . . .

MELITA.

Widzę W. Pana zmieszanie. . . . Nie wyciągam od niego odpowiedzi w ten moment. Proszę tylko o sekret tego, com mu powiedziała. W. Pan iesteś uczciwy, mogę mu zaufać. Słyszę kogoś, ukryi swoie pomieszanie.

MARGRAF, *na stronie.*

O nieba! coż ona chciała, abym przez to rozumiał? . . . To zapewne iest w tym iakiś podstęp. . . . Ale na mało iey się to przyda; dziś nawet Celanii wiadoma będzie moia miłość...



SCENA IV.

MELITA, MARGRAF, ANIELA.

ANIELA.

ACH! Mościa Dobrodziko, iam iey ſzukała.

MELITA.

Jak W. Pana ubrana!

ANIELA.

To moia Matka....

MELITA.

Wiem ia o tym.

MARGRAF.

Ze W. Panna Dobrodzika maſz ſzczęście bydź kochaną ſpoſobem tak delikatnym i czułym! Godnaś ieſt zaiſte Matki nayczulſzey i naykochańſzey.

ANIELA.

Ach! gdybym mogła przynaymniey wyrazić co czuię.... Nie ieſtem nigdy kontenta z dowodow moiey wdzięczności. A ieſzcze w ten mo-

ment ią porzucam, i nie mogę podług moiey chęci okazać, iak tylko mierne oświadczenia.

MARGRAF.

Poydę ia do niey, i opowiem twoy żal tak czuły i ſprawiedliwy. Mowić przed nią o W. Pannie, ieſt tym ſamym iey podobać ſię. (*poglądaiąc na Melitę.*) i obieram ſobie ten ſrzodek za nayſłodſzy i naypewnieyſzy.

SCENA V.

MELITA, ANIELA.

MELITA, *na ſtronie.*

NIEwdzięcznik . . . ha, przynaymniey pomſzczę ſię. (*głośno.*) Mowiłaś Anielo, że mnie ſzukaſz, a iednak zmieſzało cię ſpotkanie moie... Czy tylko mnie ſzukaſz?

ANIELA.

Ach dla Boga! coż W. Pani Dobrodzika ſądziſz?

MELITA

Od wczorayſzego dnia czytam w ſercu twoim.

ANIELA.

Ach!

MELITA.

Wzdychaſz?

ANIELA.

Ach! M. Dobrodziko!

MELITA.

Skończ.

ANIELA.

Nie mogę, i nie powinnam.

MELITA.

Jakto! mogłażbyś odmowić twoiego dla mnie zaufania?

ANIELA.

Zaufania! ... Ach! winnam go zupełnie moiey Matce, i ieżeli przed nią milczę...

MELITA.

Ale ieżeli ia więcey widzę od niey, ieżeli cię przenikam i dochodzę, będzieſzże ſię zapierała? ...

ANIELA.

Zamroż oczy ... i nie przymuſzay mię do zerwania milczenia.

MELITA.

Ja ci chcę ufłużyć. Bądź pewna że moia pomoc nie będzie nadaremną.... Bardzo iey potrzebuieſz.

ANIELA.

Jako! Sądziſz W.Pani, iż moia Matka może bydź przeciwna moiemu uſzczęśliwieniu?

MELITA.

Potrzeba czaſu, a może i układności.

ANIELA.

Z nią układności, nie byłożby to podſtępem i czarnością?

MELITA.

Młoda ieſteś i bez doświadcenia. Mam moie przyczyny, że ci tak mowię.

ANIELA.

O nieba! przerażaſz mię. Ach! moia Stryienko, ponieważeś mi wydarła moy ſekret, otwieram ci ſerce zupełnie. Prawda, kocham ... kocham iedynie... Powinnam była z tym zwierzyć ſię moiey Matce, ale nie wiem co za boiaźń, co za lękliwość dotąd mnie od tego wſtrzymywała.

Nie ſto razy gdym z nią rozmawiała, iuż miałam ſłowa na ięzyku. Okryta iey łaſkami, iey miłością, będąc ieſzcze młodą, i tak ſzczęśliwą przy niey, śmieć czynić wybor, proſić o przeznaczenie loſu dla mnie tak miłego; i te to tak okrutne uwagi wciągnęły mnie poniewolnie do obłąkania... Nie wątpiłam bynaymniey o iey dobroci, alem ſobie wyrzucała czułość, ktorey mi granic nie przepiſała. Ztym wſzyſtkim po tylu niepewnościach i ugryzieniu, dziś miałam iey wſzyſtko odkryć.

MELITA.

Ach! nie czyń tego; ona nie pozwoli....

ANIELA.

O Boże! czyniſz mię tym winnieyſzą. Odważyłam ſię uczynić wybor, ktory ſię iey może niepodobać. Ach! ieżeli tak ieſt, muſzę umrzeć, muſzę ſię odrzec wſzyſtkiego.... Zapomniey o moiey nieroſtropności nieſzczęsney.

MELITA.

Uſpokoy ſię moie dziecię, uſpokoy.. Wierz mi, że możeſz bydź pewna

moiego milczcenia i przywiązania ku fobie. Spuść fię na mnie, a zaręczam że wfzyftkó żyfzczefz.

ANIELA.

Ale cożby mogło przefzkadzać moiey Matce? ...

MELITA.

Nie mogę ci więcey powiedzieć. Jefzcze raz mowię, fpuść fię na mnie.

ANIELA.

Poydźmy M. Dobrodziko, wfzyftko iey odkryimy. Chciey mnie złożyć u nog iey.

MELITA.

Czy chcefz fię zgubić. Alboż nie znafz iey zazdrości? Gdy pozna, żem fię pierwey dowiedziała niż ona. . . .

ANIELA.

Otoż ieft do czegoś mnie przywiodła! Trzebaż ią teraz ofzukać, albo rozgniewać . . . ale mnieyfza oto . . . wykonam, com zamyśliła. . . . Wyczytałaś w fercu moim pomimo mey woli, zdradziłam fię niechcący, ale żal moy ftanie za wymowkę.

MELITA.

Daley M, Panno, brniy aż do końca w swoiey niewdzięczności. Giń sama, i zgub swoiego kochanka, pozwalam. Co mnie z tego, nie mam ia w tym żadnego interessu.

ANIELA.

Niestety! daruy mi, ach! ia nieszczęśliwa!

SCENA VI.

MELITA, ANIELA, VALCOURT.

MELITA.

POydź, poydź Valcourt, pomoż mi...

ANIELA.

O nieba! M. Dobrodziko, będzieszże mogła mu powiedzieć?...

MELITA.

Troskliwość o twoie szczęście ią unosi. Daruię iey moią słuszną urazę. Moy przyiacielu zreflektuy ią, może ci lepiey uwierzy.

VALCOURT

VALCOURT.

Ach M. Dobrodziko!

ANIELA.

Nie, M. Panie, nie ſpodziewaj ſię nigdy. . , .

MELITA.

Na co ſię przydadzą te wſzyſtkie wybiegi, wſzakżeś powiedziała mi, że go kochaſz. Godzien ieſt twego zaufania, przeſtań ſię zapierać, zwłaſzcza że cię zapewniam, iż twoia Matka zezwoli. Nim zacznę kierować interes, chciałam wprzod poznać waſze ſerca. Teraz iuż nic nie potrzebuię; zalecam tylko milczenie, ktore ieſt koniecznie w tym razie potrzebne, a za ſkutek pewnie zaręczam. (*wychodzi.*)

SCENA VII.

ANIELA, VALCOURT.

VALCOURT.

Iakże M. Dobrodziko. nigdy nie przeſtanieſz milczeć? Mow, niech wiem, czego ſię mam ſpodziewać.

ANIELA.

Jeſtem niewzruſzoną. . . . Jakże! nie doſyć mi było wydrzeć moy ſekret, ieſzcze go śmie W. Panu wyiawiać.

VALCOURT.

Możeſz ſię ieſzcze przed nią zapierać? ale ia nikomu wierzyć niechcę, tylko W. Pannie Dobr.

ANIELA.

Nieznośny to ieſt i daremny wybieg! Zle użyliście oboie moiey proſtoty, moiey otwartości. . . . O moia Matko! tyś więc ieſt iedna teraz, ktora nie znaſz ſerca mego. . . . Ta myśl życie mi odbiera.

VALCOURT.

Rozdzieraſz ſerce moie.

ANIELA.

Zgubiłeś mnie. Wydarłeś mi całe moie uſzczęśliwienie, całą moią ſpokoyność. Matka moia nigdy mi nie odpuści; iak iey teraz powiedzieć?.. Jak ſię iey oczom pokazać? . . . Jakim czołem odbierać będę upominki tak czułego iey przywiązania, iey ſzacunku, iey zaufania? O iakżem nieſzczęśliwa!

VALCOURT.

Ale proſzę poſłuchay mnie. Mogłżem bez twego wyznania, bez twego nawet roſkazu proſić o ciebie, abym otrzymał?

ANIELA.

Jeżeliś mnie kochał, należało nadewſzyſtko poważać moie obowiązki.

VALCOURT.

Uſłuchałem rady Melity, dała mi przyczyny wielce przekonywaiące.

ANIELA.

A na co iey ſię było zwierzać? Czemuś nie mowił z moią Matką? Jey ſzczęśliwość nie ieſtże rownie moią? Mogłżeś pomyśleć, że ſię ſprzeciwi moim chuciom?

VALCOURT.

Obawiałem ſię, abym nie był winien, tylko twemu poſłuſzeńſtwu; a dotego Melita czytała w ſercu moim. Nakoniec, kiedy mam ci ſię przyznać, miałem przeſzkodę nieuchronną do zwierzenia ſię Celanii.

ANIELA.

Moiey Matce?

VALCOURT

Obiawiam teraz moy ſekret, ktorego ci nie lękam ſię powierzyć. Do tego momentu, poki wiek i rozum nie odkrył w tobie twych wdziękow, ktore mnie uięły, nigdy inſzy cel...

ANIELA.

W. Pan?

VALCOURT.

Namiętność nieſzczęſna przez lat pięć truła moie życie.

ANIELA.

I iakże, nie byłeś kochany?

VALCOURT.

Zoſtawiono mi ſentyment mocnieyſzy nad miłość. Poświęcaiąc ſię onemu zupełnie, wzgardzono moim uſiłowaniem, i wymuſzono, abym z niego uczynił ofiarę.

ANIELA.

Serce we mnie biie.... Coż to był za cel? powiedz.

VALCOURT.

Celania....

ANIELA.

I W. Pan ſię odmieniłeś?

VALCOURT.

Przepiſano mi prawo.

ANIELA.

Co! bezemnie, bez ſwoiey Corki, onaby cię miała kochać.... Wſzakżem ia była iedynym iey celem.... O nieba! rownie pomnażaſz we mnie żal, iako i wdzięczność.

VALCOURT.

Patrzayże w iakim ieſtem teraz ſtanie i poznay ſłabość moią.... Niemogłem ſię dotąd odważyć, abym wyznał moią odmianę, ktorey ſam nie poymuię, zwłaſzcza nie będąc pewny ieżelim ieſt kochany. W Oczach oſoby ſzacunku godney ieſt rzeczą nieznośną zapierać ſię. Obawiałem ſię zepſuć w niey mniemania, ktore ſobie o mnie czynić mogła. Boiaźń, pomieſzanie...

ANIELA.

Jakżeś ią źle poznał! Chodziło o moie uſzczęśliwienie, to iedno mogło ią zaſtanowić

VALCOURT.

O twoie uſzczęśliwienie! ach to ſłowo ſtanowi moie ſzczęście!... Ale nie wiedziałem o twoich ſentymentach....

ANIELA.

W iak okropne pogrążasz mię pomieszanie!... Czegoż się mam iąć?

VALCOURT.

Milczeć, ten środek iest nayprostszy i naypewnieyszy. Melita rozumie, że Celania ma inny widok twoiego postanowienia; będzie z nią o tym mowiła, i spodziewa się od niego odwieść, a po tey rozmowie ia się wytłomaczę. W. Panna będziesz zapytana; a w tenczas ośmiel się wyznać, że mnie wybierasz, przez co uszczęśliwisz mnie i zapewnisz los życia mego.

ANIELA.

Jednakże muszę zamilczeć o wszystkim co się stało.... Potrzeba będzie oszukać moią Matkę.... Nie, nie, nigdy tego nie uczynię. Poydę do niey, i wszystko iey odkryię.

VALCOURT.

Ach! skłocisz ią z Melitą ktorey intencye są tak czyste.

ANIELA.

Ja o tym nie wątpię, ale poiąć nie mogę iey sposobu postępowania, ona mnie w naywyższym stopniu obraża.

VALCOURT.

Jey poſtępowania pochodzą z przywiązania ku tobie, nieznaydzieſz w nich innego celu. A dotego rozgniewaſz na mnie zapewne Celanią.

ANIELA.

Ach to prawda. Ale ci powtarzam, żeś mię wprawił w ſtan nayokropnieyſzy i nayzawikłańſzy....

VALCOURT

Prawda, ten tylko moment będzie przykry dla twoiego ſerca, dla twoiey otwartości, bądź pewna, że naymnieysza twoia dolegliwość ieſt moim podziałem, i wszelkie twoie czucia ſą moiemi.

ANIELA.

I moia Matka tak ci miła będzie, iak mnie?

VALCOURT.

Jak iedna, tak druga ieſteście koniecznie potrzebne do uszczęśliwienia mego.

ANIELA.

Ach! iak to zapewnienie czyni mnie ſzczęśliwą!...Kocham cię tym więcey.

VALCOURT.

Kochasz mię? raczysz mi to przecie mowić bez boiaźni, bez wſtrętu! Ach, czy poymuiesz zbytek moiego ukontentowania?

ANIELA.

Nieſtety! roſkosz tak słodka, ktorą smakuię, zawieſiła na moment wſzelkie moie uwagi; ale gdy będę ſama z ſobą, ileż wyrzutow...

VALCOURT.

Nie myśl tylko o przeznaczeniu, ktore nas czeka.... Wtym to mieyscu, w tey ſzczęśliwey osobności, ktorą miłość i przyiaźń czyni mi tak przyiemną; z tobą iedną upływać będą dni moie, ktore ci poświęcam na zawsze. Sława iedna oderwać mnie od ciebie może, ale cię zoſtawię na łonie Matki, na łonie przyiaciołki.

ANIELA.

Co za układ! . . . Jak pięknie umiesz malować sercu memu, co go wzruszyć może! Jak mi ieſt miło widzieć w tobie tak czułe sentymenta, a nadewszyſtko to przywiązanie do

moiey Matki! O iak słodko ieſt dla mnie kochać tego, ktory ią kocha!

VALCOURT.

Ach! serce moie otwarte ieſt dla ciebie. Dwa przedmioty napełniaią go zupełnie; gdybym ſtracił iednę lub drugą, nie wiem czyby pozoſtała wydołała mnie pocieszyć. Ja cię wielbię, ale czczę i Celanią; trzeba było zagoić głęboką w ſercu ranę, ona mnie kosztowała tyle łez, ona była od tak dawnego czasu iedynym celem wszyſtkich moich myśli, że nie mogła bydź dla mnie pospolitą przyiaciołką. Mam ku niey ſentyment nieodiſtoczony, ktory nie ieſt więcey miłością, ale iednak ſto razy mocnieyszy i żywszy nad przyiaźń. . . . Coż ia widzę! W. Panna płaczesz?

ANIELA.

Ach utrzymać ſię nie mogę. . . Rozrzewniaſz mię, dziwnym napełniaſz ukontentowaniem, każde ſłowo co wymawiaſz, przenika aż do gruntu ſerca mego, i tym więcey do ciebie przywiązuie. O iak ia cię kocham! . . Tak ieſt, wszyſtkie twoie sentymen-

ta ſą moiemi. . . . Moia Matka i ty, to ieſt, co mi może bydź naymilſzym; moie ſzczęście zawiſło od was oboyga; łożyć go będę dla iednego i dla drugiego, a gdyby potrzeba i życie moie. . . . Co za ſzczęśliwości, co za ukontentowania doznaię powtarzaiąc coś mi dopiero powiedział!

VALCOURT.

O Boże! a ia, iakże ci wyrażę?..

ANIELA.

Słyſzę iakiś ſzeleſt, muſiemy ſię rozeyść.

VALCOURT.

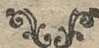
Jakto! iuż?

ANIELA.

Ach! proszę uciekay; pozwol mi niech ſię uſpokoię. . . . ktoś idzie, wychodź.

VALCOURT.

Odchodzę. Ale chciey pamiętać żeś mnie uczyniła z ludzi nayſzczęśliwſzym. (*wychodzi*)



SCENA VIII.

ANIELA *sama.*

DRżę cała. — Czy tylko nie moia Matka. O Boże! iak ia się lękam iey przytomności. Ach! więcże iestem winna. . . Muszę milczeć, przyobiecałam. . . . I iakże, będę ukrywać przed nią naypierwszy sekret w życiu moim! Co mowię? owszem nayważszey wagi co bydź może. Ona o nim nigdy wiedzieć nie będzie. . . . Ale ia wiem i wyrzucać sobie będę na zawsze. . . . On ią adorował. . . Ale ona kochać nie mogła tylko mnie. . . . Zdaie mi się, że ią słyszę. . . . Moia Corka, moia Aniela iest dla mnie wszystkim, ia dla niey odstępuię świata, iego uciech, moiey młodości. Dla niey poświęcam moie życie. . . . Otoż to iest, co sama do siebie mawiała. . . . O Boże! . . . A ia. . . . A ia. . . . O iuż co teraz pewnie ktoś idzie. Wszak to iey głos? . . . Tak iest, ona. . . . O moy Boże! . . . słabo mi.

SCENA IX.

ANIELA, CELANIA.

CELANIA.

POYdźże do ſtołu moia Corko, czekaią na ciebie,... Ale dla Boga! iakżeś blada i mizerna?

ANIELA.

Nic to Mama.... nie.... to nic.

CELANIA.

Ale moie dziecię ty drżyſź cała?

ANIELA.

Miałam nakſztałt dreſzczu... Ale iuż minęło.... Już mi dobrze.

CELANIA.

Jeſteś wielce nieſpokoyna.

ANIELA, *biorąc ią za rękę.*

Jakeś ty dobra!... Ach Mama!

CELANIA.

Moia Corko!... Ty nie wiesz do iakiego ſtopnia cię kocham.

ANIELA.

Ach Boże! ia nie wiem? gdy mi co moment wſzyſtko dowodzi.

CELANIA.

Ty będzieſz zawſze celem nayulubieńszym odemnie, czy uwierzysz temu?... Niech będzie iaki chce los życia mego.

ANIELA.

Nieſtety! gdyś wſzyſtko uczyniła dla mnie, czy możesz wątpić o ſercu moim, iakżem ſię powinna lękać twego mniemania o ſentymentach moich! . . . Ja ktora niczym niedowiodłam. . . .

CELANIA.

Ach! moie dziecię; alboż nie upatrywałam zawsze w gruncie ſerca twego ſzczegulnego dobra, ktore potrafi nadgrodzić moie ſtarania i przywiązanie? Byłam tylko twoią Matką, a tyś mnie uczyniła i przyiaciołką, poſiadam całe twoie zaufanie, a czegoż mi więcey potrzeba? . . . Day pokoy, więcey ty czynisz dla moiego uszczęśliwienia, niżeli ią mogę uczynić dla twego.

ANIELA, *na ſtronie.*

Co za wyraz przenikaiący!

CELANIA.

Gdybyś wiedziała, iakie ieſt dla mnie ukontentowanie czytać w ſercu twoim, w ſercu mowię tak otwartym i tak czułym! . . . Jedney tylko rzeczy niedoſtaie do uszczęśliwienia mego, muſzę ci ſię przyznać. . . . , Ufność między nami nie była i bydź nie mogła zupełnie wzaiemną. Twoia zbytnia młodość była mi na przeszkodzie, ale iak mię to często wiele kosztowało! . . . Jak wiele razy moia przychylność ku tobie, wyrzucała mi tę uprzykrzoną rozsądność! . . . Naoſtatek rozsądek twoy uformowany i wydoſkonalony zbliża teraz naſze wieki, i wkrotce przyidzie czas, że nie będę miała dla ciebia żadnego ſekretu. . . Od owego momentu będę dopiero zupełnie ſzczęśliwą.

ANIELA, *na ſtronie.*

Ach nie mogę ſię więcey utrzymać.. (*pada iey do nog.*) Ach to ieſt nadto.

CELANIA, *ią podnoſząc ściſka.*

Jak mnie ta czułość przenika. . . . Ach moie dziecię! . . . twarz twoią

zalewasz łzami. . . . Ach iak warta ieſteś . . .

ANIELA, *z żwawością.*

Słuchay Mama, ſłuchay mnie proſzę.

MARSZALEK.

Mościa Dobr. iuż do ſtołu.

CELANIA.

Otrzyi łzy moie dziecię, będą rozumieli, żem cię połaiała. . . Poydź. . . Ach iak mi ieſt przykro przerywać tak ſłodką rozmowę! (*Sciſka ią.*)

ANIELA, *na ſtronie.*

Chciałam wſzyſtko odkryć.

CELANIA.

Poydź moia Corko, czekaią na nas. Poydź, tego wieczora będziemy mowiły z ſobą.

ANIELA, *na ſtronie, wychodząc.*

Nieſtety! iak ciężko wyrazić, com ia ucierpiała. (*wychodzą.*)

Koniec drugiego Aktu.



AKT III.

SCENA I.

CELANIA, EMILIA.

CELANIA.

TAK ieſt. mam ci powiedzieć ieden sekret wielkiey wagi, sekret ktory cię zadziwi, sekret mowię. ...

EMILIA.

Skończże, na co mnie uprzedzać, czegom doznawała; umieram z ciekawości.

CELANIA.

Nadto ieſteś żywa. . . . Ale czy podobna żebyś nie przeniknęła?

EMILIA.

Ach dla Boga? iaki wſtęp! Gdyby to był kto inszy nie W. Pani, rozumiałabym prawdziwie, że idzie o zwierzenie ſię miłosne.

CELANIA.

Więc cię to mocno zadziwia?

EMILIA.

EMILIA.

Otoż piękne żarty, a właśnie wczas gdy widziſz moią nieſpokoyność.

CELANIA.

Ja mowię ſzczerze.

EMILIA.

Jako! bydź to może?... Ale nie, to nie podobna.

CELANIA.

Jakżem ſię nie powinna wſtydzić ſłabości, ktora dla ciebie ieſt nie do wierzenia?

EMILIA.

Jako! W. Panibyś miała kochać?

CELANIA.

Mordowałam ſię z ſobą nie raz.... Ale nakoniec Corka moia ieſt doroſła, chcę ią wydać za mąż.

EMILIA.

Czy iużeś go ſobie wybrała, ach tręt wieię.... Ale proſzę, powiedź kogo?

CELANIA.

Czy możeſz ſię o to pytać? Samaś świadkiem od lat ſześciu....

EMILIA.

Mego Brata?....

CELANIA.

A ktoż może bydź nad niego?

EMILIA.

Ach! oddycham. O moia kochana przyiaciołko iak mnie kontentuiesz! Moy Brat! ach iaka będzie iego radość, iego ukontentowanie!... Ale iakeś mogła przez tak długi czas utaić?

CELANIA.

Słuchay całey historyi i moiego usprawiedliwienia. W pierwszych dniach namiętności twego Brata rozmaite przeszkody były na zawadzie, żem nie mogła bydź czułą; młodość iego, wychowanie moiey Corki, ktore wyciągało moiego starania, wszystko to oddalało mnie od niego. Potym, iego stałość, cnoty, i talenta, ktore codzień w nim upatrywałam, ziednały moy szacunek dla niego i przyiaźń; ale serce moie było ieszcze spokoyne, gdym zaś poczęła zniewalać miłość iego do milczenia, gdym mu odięła resztę nadziei, ktorą sobie przecież czynił, żal iego wzruszył mnie, ale nie odmienił.

Pewna byłam, że nakoniec rozmyśli się, oddali odemnie, i zaspokoi. Lecz iak mnie to zdziwiło, gdym go znalazła tym nieodstępnieyszym, tym żywszym iak nigdy, nie śmieiąc ani się żalić, ani wyrzucać, przestaiąc na samym mnie oglądaniu, i poświęcaniu dla mnie dni swoich? Tak wielka podległość, taka stałość i delikatność, uięły nakoniec serce moie. Długom się uwodziła z moim czuciem, ktoregom doznawała. Chciałam tego nie brać tylko za skutek wdzięczności, lecz wnet omamienie ustało. Poznałam że go kocham tyle, ile sądzę że iestem kochaną. Nadaremniem chciała powściągnąć tę tak lubą skłonność, iuż było po czasie.

EMILIA.

A na coż ią powściągać? Nie iestżeś nadto szczęśliwa, że kochasz cel ktory cię uwielbia, mogąc iednym słowem nadgrodzić mu to wszystko co ucierpiał?

CELANIA.

Wprzod nim się zatrudnię moim losem, chcę go ugruntować dla moiey

Corki, i nie myśleć o ſobie, aż po iey poſtanowieniu.

EMILIA.

Twoie zamęście nic go nie odmieni. Maiątek brata mego ieſt dość znaczny....

CELANIA.

Co do tego ieſtem ſpokoyna; iuż i dla Anieli uczyniłam wybor.

EMILIA.

A ona wie o tym?

CELANIA.

Nie, ale chcę iey obiawić, i zakończyć bez odwłoki.

EMILIA.

A kogożeś wybrała?

CELANIA.

Margrafa d'Hercy. Jego maiątek, iego urodzenie, i oſobiſte zalety, wſzyſtko to ieſt mocnym powabem do uſkutecznienia mego zamyſłu. Wątpić nie mogę, aby nie kochał moiey Corki; ſamo przebywanie iego u mnie, i ukontentowanie mowienia zawſze o niey, ſą tego dowodem. A do tego Corka moia ieſt partyą ze wſzech miar powabną i zyſkowną dla niego; więc ieſtem bardzo pewna....

EMILIA.

Aniela zapewne będzie ci powolną bez trudności.

CKLANIA.

Ach gdyby nam ſię przyſzło rozſtać, nigdyby nie zezwoliła, i iabym bez niey umarła. Ale dzięki Bogu, do tego nigdy nie przyidzie; i wydaiąc ią za mąż tę naypierwſzą położę kondycyą, abyśmy z ſobą całe życie przepędzali. Tym ſpoſobem Corka moia z chęcią przyſtanie na to złączenie, ktorego pragnę. Margraf ieſt luby, młody; Aniela powolna i czuła, ſerce iey ieſt wolne, ieſtem tego pewna; gdyby albowiem miała naymnieyſzą ſkłonność do kogo innego, toby mi ſię przyznała; iey ufność we mnie ieſt zupełna; wie ona dobrze, że ia na tym całe moie ſzczęście zakładam.

EMILIA.

Ach moia kochana przyiaciołko, iak ty będzieſz ſzczęśliwa! iak twoy los pomyślny! Panienka kochana i piękna poſtanowiona przez twoie ſtarania, w ſpoſobie nayświetnieyſzym i nay-

milſzym, ſtanie ſię twoią towarſzyſzką, ktora ci winna będzie ſwoie cnoty, ſwoią iſtność, ſwoie ſzczęście; Zięcia mieć będzieſz ktory cię kocha, ktory cię zna i wielbi, ktory żyć nie będzie tylko dla ciebie, ktorego miłość i wdzięczność wyrownywać będą iego ſzczęśliwości.

CELANIA.

Co za portret! co za malowanie roſkoſzne! Wſzyſtkie w nim wyrazy poruſzaią me ſerce.

EMILIA.

Ach! radabym oznaymić memu bratu.

CELANIA.

Nie powinien o tym wiedzieć tylko odemnie. Maiąc go o tym zapewić niechcę używać żadnych wybiegow, radabym aby to uſłyſzał z uſt moich. . . .

EMILIA.

O Boże! iaka będzie iego radość; umrze, nie wytrzyma. . . . Ale iaki moment ſobie obierzeſz?

CELANIA.

Moia Corka ma tu przyiść, chcę obiawić iey przeznaczenie. Przygo-

towawſzy iey ſerce, będę ſię widziała z Margrafem, a tak interes ułożony. . . .

EMILIA.

Ach! na coż zwłoczyć donieſienie memu bratu? . . .

CELANIA.

Zaklinam cię, abyś wſtrzymała twoią niecierpliwość, a nadewſzyſtko abyś zachowała ſekret, ktory w wieczor lub iutro bydź nim przeſtanie.

EMILIA.

Możeſz bydź pewna; lubo nigdy milczenie nie zdało mi ſię bydź przykrzeyſze.

CELANIA.

Ktoś idzie. Właśnie ieſt ta godzina, w ktorey czekam Anieli, zapewne ona.

EMILIA.

Zoſtawuię cię z nią, i odchodzę przeięta radością nadzwyczayną.

CELANIA, *z pomieſzaniem.*

Wyliczałaś wſzyſtko co mnie ma uczynić ſzczęśliwą, a opuściłaś Przyiaciołkę taką iak ſama ieſteś.

EMILIA.

Zapomniałam o moim ſzczęściu, nie myśląc tylko o twoim. (ANIELA *nadchodzi.*) Byway zdrowa moia kocha na Przyiaciołko, w krotce zwać cię będę słodſzym tytułem. . . .

CELANIA.

Cicho, otoż i moia Corka.

EMILIA, *na ſtronie odchodząc.*

Muſzę poyść do mego brata, nic mu nie powiem, ale muſzę ſię z nim widzieć. (*wychodzi.*)

SCENA II.

CELANIA, ANIELA.

CELANIA.

PRZYSTĄP moie dziecię, mam o wielu rzeczach z tobą mowić. Pożytkuymy z momentu w ktorym ieſteśmy ſame. Uſiądź.

ANIELA, *na ſtronie.*

Drżę cała. (*ſiadaią obydwie.*)

CELANIA.

Młoda ieſteś moia Corko, maſz dopiero rok ſiedmnaſty, ale rozum twoy, i że smiem powiedzieć, edukacya ktorąś wzięła, czynią cię wyższą nad wiek twoy. Czas ieſt pomyśleć o poſtanowieniu twoim, i wątpić nie mogę aby przywiązanie twoie ku mnie nie wyrownywało moiemu.

ANIELA.

Ach! dla Boga, coż znaczy?...

CELANIA.

Powinnaś ſię domyśleć, co ci mam powiedzieć. W krotce moie dziecię los twoy nie będzie zależał odemnie, ale znaſz dobrze że nie mogę zlać prawa dla mnie tak miłego, tylko na tego, ktorego oſądzę bydź naygodnieyſzym, i nad ktorego wyborem ſerce moie będzie przewodnikiem.

ANIELA.

Mama!

CELANIA.

Powiem ci go, ieſt to Margraf d'Hercy.

ANIELA.

O Boże!

CELANIA.

Ty bledniejesz, oczy twoie pełne łez. Ach moie dziecię! zkądże to tak ſtraſzne pomieſzanie? Nieſtety! powinnamże ſię o to pytać? Pewnie ſamo wyobrażenie ktore ſobie czyniſz, że ſię z ſobą rozſtać muſiemy, rozdziera twe ſerce. . . . Ach! moia kochana przyiaciołko bądź ſpokoyna; nic nas nigdy nie potrafi rozłączyć. I iakże! mogęż ia żyć bez ciebie?

ANIELA, *na ſtronie.*

Gdzież poydę, gdzie ſię ſkryię?

CELANIA.

Odpowiedź mi moia Corko, a przeſtań bydź nieſpokoyną.

ANIELA, *na ſtronie.*

Coż iey powiem? o Boże! *(głośno.)* Przebog! iam była tak ſzczęśliwa... Ach pozwol, niech od nikogo nię zależę tylko od ciebie.

CELANIA.

Ten ſentyment ieſt naturalny, podoba mi ſię, iednakże chcę go zwyciężyć. Ja uſtępuię mych praw, ale ty mi ſwoie możeſz zachować. Będą

dla mnie tym milſze, gdyż ie odbierać będę z twego przywiązania, a nie z powinności. Naoſtatek moie dziecię iużem ſię namyśliła, czekam tylko od ciebie ſłowa, abym mogła dać moie.

ANIELA.

Mego ſłowa.... Nie, nie, nigdy.

CELANIA.

Co ty mowiſz?

ANIELA, *padaiąc do nog.*

Wybacz moiey zaciętości tak przeſtępney; umrę gdy cię obrażę, ale rownie żyć przeſtanę, ieżeli będę poſłuſzną.

CELANIA.

O nieba! iak mię to zadziwia. I tyż to mi tak mowiſz? W iakimże cię widzę ſtanie?

ANIELA.

Mama, Mama, zlituy ſię nademną.

CELANIA.

Ale przebog! zreflektuy ſię... Mow, day mi przyczyny. . . . Odpowiedź moia Corko. Do roſpaczy mnie przywodziſz.

ANIELA.

Tak ieſt, chcę ci ſię ze wſzyſtkim przyznać. . . . Wſtręt nadnaturalny i nieprzełamany ſprzeciwia ſię. . . .

CELANIA.

Oddala cię od Margrafa. . . . Czy go nie lubiſz? . . . A dlaczego? . . . Mowże.

ANIELA, *na ſtronie.*

Nie chce mnie rozumieć, a ia nie śmiem. . . .

CELANIA.

Jeſzcze raz moia Corko mowię ci, twoie milczenie życie mi odbiera. . . . Zkąd moze bydź to obrzydzenie tak nieſprawiedliwe? Coż maſz mu do wyrzucenia? . . . Niechceſz tedy odpowiedzieć?

ANIELA.

Ja nie mam żadney nienawiści, ale. . . .

CELANIA.

Ale. . . . Dokończ. . . . Prawdziwie, inna na moim mieyſcu pomyślałaby Bog wie co. . . . Ale ia znam ciebie dobrze. . . . Moia Corko, ieſteś dzieckiem. Przypiſuię i wybaczam twe-

mu wiekowi całą tę Scenę, ktora mnie zrazu niezmiernie zmieſzała. Jesteś teraz nadto ſtrapiona i żalem przeięta, abym miała wyciągać od ciebie odpowiedzi. Powieſz mi w wieczor, teraz przeſtańmy mowić o tym, uściſkay mię.

ANIELA.

Co za dobroć!

CELANIA.

Biedne dziecię! w iakim ią ſtanie oglądam! . . . Jakże to ſłowo Mąż, ieſt ſtraſzne. . . . Ach iak ſię ona czerwieni. . . . Ktoś idzie. (*na ſtronie.*) Przebog to Valcourt!

ANIELA, *na ſtronie.*

O Boże! otoż nowy kłopot!

SCENA III.

CELANIA, ANIELA, VALCOURT.

VALCOURT, *na ſtronie,*

ANIELA ieſt z nią. . . . Nie śmiem przyſtąpić.

Celania, *na ſtronie.*
Czego on chce!

Valcourt, *na ſtronie.*
Emilia mnie tu przysłała... iak powiada po moie uſzczęśliwienie. ... a ia tu znayduię Anielę; co za przeczucie!

Celania, *na ſtronie.*
Zdaie ſię drżeć i bydź pomieſzanym. ... Czy mu tylko Emilia nie powiedziała? (*głośno*) Valcourt, czy mnie W. Pan ſzukaſz?

Valcourt.
Tak ieſt, Mościa Dobrodziko.

Celania.
Coż takiego?...

Aniela, *na ſtronie.*
Ach dla Boga! czegoż on tu chce?

Valcourt, *do Celanii.*
Moia Sioſtra....

Celania.
Czy iuż W. Pan wieſz?...

Valcourt.
Jakto Mościa Dobrodziko!

Celania.
Ale coż W. Panu powiedziała Emilia?

VALCOURT.

Że W. Pani Dobr. maſz mi powierzyć ſekret bardzo ważny. Nie chciała mi ſię więcey tłomaczyć.

CELANIA.

I to nadto W. Panu powiedziała. Poydź ſobie moia Corko, w krotce ia do ciebie przyidę. (*Sciſka ią i mowi pociechu.*) Bądź zdrowa moie dziecię, a pamiętay, że czekam twego namyślenia.

ANIELA.

(*czyni kilka krokow, i mowić poczyna do Valkura, gdy tym czaſem Celania zamyśla ſię.*)

Użyimy tego momentu, upadniymy do nog.

VALCOURT, *pocichu do Anieli.*

Byłoby to ciebie zgubić.... w ten czas właśnie, gdzie możemy ſobie wſzyſtko obiecywać. Wynidź proſzę. (*Odmienia mieyſce, i ſtaie między obiema.*)

ANIELA, *na ſtronie.*

Czy to podobna?... (*głośno.*) Byway zdrowa Mama.

CELANIA, *biorąc ią za ręce.*

Moia Corko.... Widzę iak ci ieſt ciężko ze mną ſię rozſtawać.... Ale

trzeba na moment.... (*patrzy na nią z czułością, i mowi obracaiąc się do Valkura,*) Jak ia ią kocham?

VALCOURT.

Jakteż ona ieſt godna tego, i iak ſama ieſteś warta naywyżſzego iey przywiązania!

CELANIA, *do Valkura.*

Ach! bądź pewny że go poſiadam.

ANIELA.

(*Bierze za rękę Celanią, a chcąc ukryć swoie pomieſzanie, całuiąc onę, trzyma głowę zwieſzoną, i tak się nachyla że iey twarzy nie widać.*)

VALCOURT.

(*Bierze drugą rękę Celanii i w podobnym zoſtaie położeniu.*)

CELANIA, *z wielkim wzruſzeniem.*

Moia Corko.... Moy Valcourt.... Jak waſze przywiązanie czyni mnie ſzczęśliwą!... Jak was kocham iedno i drugie!

VALCOURT.

Widziſz przed ſobą dwie oſoby ktore cię kochaią w naywyżſzym ſpoſobie.

CE-

CELANIA.

Ach! wiem ia o tym.... Tak ieſt, czytam w ſercach waſzych.

ANIELA.

Tak Mama, czytay....

VALCOURT.

(*przelękniony, mruga na nią i wſtrzymuie.*) Daruieſz mi W. Panna Dobr. że iey przypomnę, iż Jeymość Dobr. obrała ſobie moment mowienia ze mną w ſekrecie.

CELANIA.

Ach! martwiſz ią.... Poydź ſobie moie dziecię, poydź, wkrotce twoia Matka nayſzczęśliwſza nie będzie miała dla ciebie nic taynego.

ANIELA, *na ſtronie odchodząc.*

On to ieſt, ktory mię przymuſza do milczenia; ale ſerce moie iak ieſt temu przeciwne! iakżem warta politowania! (*wychodzi.*)



SCENA IV.

CELANIA, VALCOURT.

CELANIA, *po krotkim milczeniu.*

VALcourt, nie miałam z tobą mowić aż iutro.

VALCOURT.

Aż iutro! . . . Tak długo czekać sekretu, ktory W. Panią Dobr. dotyka.

CELANIA.

Do tego sekretu i W. Pan należysz. Jeżeli mnie dotyka, ty iesteś onego celem bez wątpienia; czego przynaymniey mogłeś się sam domyśleć.

VALCOURT.

Ach! Mościa Dobr. . . . dokończ.

CELANIA.

Potrzebaż, abym się iaśniey tłomaczyła! Odtąd iak mnie znasz, nie mogłżeś czytać w sercu moim? . . .

VALCOURT.

Proszę Mościa Dobr. . . .

CELANIA.

Oto zamyślam o twoim loſie, chcę go odmienić, czy przyſtanieſz nato?

VALCOURT, *na ſtronie.*

Coż za nadzieia wznieca ſię w ſercu moim? . . . Anielo! . . .

CELANIA.

Widzę ia twoie zadziwienie; chcę go dopełnić. Nie ieſtem więcey ową kobietą nieczułą, niewdzięczną, ktorąś podobno ſobie zbrzydził, i zapewne zapomniał. . . . Otworzyły ſię oczy moie; ſzacunek i wdzięczność ſkłoniły mnie nakoniec do tego czucia, ktore dziś ieſt moim uſzczęśliwieniem. Czynię cię pełnomocnym moiego życia i przeznaczenia. Nie wſtyd mnie tak ſłodkiego wyznania; twoia ſtałość, twoia miłość uſprawiedliwia go, i chętnie tey ſłodkiey chuci pozwalam góry nad ſobą, ktora obeymuie ſerce moie na zawſze.

VALCOURT.

Coż ſłyſzę! o Boże! . . . Tyż to ieſteś? Tyż to Celanio mowiſz do mnie?

CELANIA.

Tak ieſt, ia; ia ktora cię kocham ze zbytkiem, ktory tylko ſam poiąć możeſz.

VALCOURT.

Gdzież ieſtem ? o Nieba!

CELANIA.

Co za obłąkanie maluie ſię w twych oczach ? Gdzież bieżyſz ?

VALCOURT.

Ach! dozwol nieſzczęśnemu, ktory ſię ſam nie poznaie.

CELANIA.

Przeſtrach, boiaźń, niſzczą w tobie cerę.... Stoy, zatrzymay ſię.

VALCOURT.

Nieſtety! Coż ia to od ciebie ſłyſzę ?

CELANIA.

Wſkroś mnie przerażaſz.

VALCOURT.

(*Zbliżywſzy ſię upada iey do nog.*) Ach! chcę ci zadać raz śmiertelny!

CELANIA.

Możeſz miarkować dobrze iak mnie to zadziwia.... Wſzyſtko wyiawia gwałtowność twego poruſzenia, i w

twoim obłąkaniu umyſłu nie widzę tylko żal. . . . O nieba ! Czy mogłam ſię ſpodziewać ! . . .

VALCOURT.

Ach Mościa Dobrodziko ! iuż po czaſie. . . .

CELANIA.

Co, nie ma więcey czaſu ? . . . Już mnie nie kochaſz ?

VALCOURT.

Zawſze mi ieſteś miłą rownie z życiem.

CELANIA.

A na coż okrutniku pogrążaſz mnie w roſpacz, gdy ci ofiaruię moią rękę i ſerce ?

VALCOURT.

Gdybym śmiał one przyiąć, byłbym naylichſzym, naywzgardzeńſzym z ludzi.

CELANIA.

A ktoż może bydź na przeſzkodzie ? . . .

VALCOURT.

Nie pytay o więcey, prożnobyś na mnie nalegała. Przeſzkoda nieprzełomana rozdziela nas na zawſze.

Przedtym twoia oboiętność mnie pognębiała, dziś twoia miłość przywodzi do rozpaczy. Urodziłaś się na zepsucie mego losu, na udręczenie moiey duszy przez wynalezione męki dla mnie. . . . Coż mowię, o Boże! . . . Wybacz moiemu obłąkaniu... Ja ciebie obrażam uniesiony gniewem. . . . chcę cię uczynić nieszczęśliwą. Co za okropny widok! Ach! Mościa Dobr. ubolewaj nademną, zapomniy o mnie, żegnam cię, żegnam na zawsze.

CELANIA.

Jam ci się zupełnie oddała... a ty mnie porzucasz bez wstrętu na okropność mego przeznaczenia! Tracąc twoią miłość, czyliż utraciłam razem prawo do twego zaufania, politowania? . . . Inny cel przywiązuie ciebie, inne związki cię krępuią, to iest szczegulnie czegom się mogła domyślić. . . . Lecz powiedz. należałoż mnie zwodzić przez usilność tak czułą i stałą? Trzebaż było ukrywać się z sercem, ktorego nie otwierasz, tylko na odięcie mi życia? . . . Przy-

iaźń przynaymniey twoia powinnaby mnie pocieſzyć, ktoż mi ią mogł wydrzeć? Coż ſą moie za przeſtępſtwa? mow.

VALCOURT.

Nic ci nie zadaię, ieſtem nieſzczęśliwy, nie obwiniam tylko ſiebie ſamego.

CELANIA.

Powiedz mi przynaymniey iaki maſz inny cel?...

VALCOURT.

Muſzę milczeć, uciekać przed tobą, żałować cię, i umrzeć z nieſzczęścia, ktore mnie od ciebie odrywa.

CELANIA.

A ia muſzę ſię tobą brzydzić iak potworem obmierzłym, niegodnym czucia, ktoreś we mnie wzniecił. Jeſzcze ci powiem iedno ſłowo: Oto, mogę ſię zwyciężyć, mogę ieſzcze dla ciebie zachować moy ſzacunek i przyiaźń. Mogę bydź nadgrodzona za wſzyſtko przez twoie ſzczęście, poświęcaiąc mu moie; ale wyciągam tego, abym miała całkiem twoie zaufanie

i bez wyłączenia, abyś mi ſerce twoie otworzył.

VALCOURT.

Nie mogę tego uczynić. Odſtępuię ſzczęścia, nie maſz go więcey dla mnie; a twoy ſzacunek czas mi powroci.

CELANIA.

Jdź precz odemnie, wynidź, i nie pokazuy ſię nigdy oczom moim. Jdź pewny będąc moiey nienawiści i wzgardy, oraz zaiadłości, iaką wywrzeć może kobieta rozgniewana.

VALCOURT.

Odchodzę naynieſzczęśliwſzy z ludzi; kontentuy ſię zemſtą ktorey pragnieſz.

CELANIA.

Ja umrzeć pragnę.

VALCOURT.

Odbieraiąc pożegnanie na zawſze, racz przynaymniey poſłuchać mnie na moment. Porzucam cię, a porzucam na zawſze, oddalam ſię od tey ktorą tak kochałem, od tey mowię, ktora mi zawſze była potrzebną do uſzczęśliwienia mego. Ale tracąc ciebie,

bądź pewna że wyrzekam śię wszyſtkiego, miłości, ambicyi, ſławy, poydę na puſtynią i tam zagrzebię dni nieſzczęśliwe, ktorych więcey przy tobie przepędzać nie mogę.

CELANIA.

Co za połączenie okropne miłości z okrucieńſtwem? Albo raczey, co za obmierzła ſkrytość. Gdybyś miał ſerce czułe, czyżbyś mnie opuſzczał, umykałżebyś mi twoiey ufności?...

VALCOURT.

Zegnam W. Panią Dobr. Nie mogę znieść dłużey rozmowy tak mnie zabiiaiącey.

CELANIA.

Poſłuchay mnie ieſzcze raz oſtatni.. Ja nie przyimuię twego pożegnania, iutro ſobie odiedzieſz kiedy zechceſz, dziś ieſzcze chcę śię widzieć z tobą i pomowić.

VALCOURT.

Na coż przedłużać ten moment tak boleśny acz nieuchronny?

CELANIA.

Czyliż ieſzcze i tey łaſki oſtatniey mi odmowiſz?

VALCOURT.

Uczynię co każesz... ale racz wspomnieć na stan moy w ktorym zostaię, i jak mi trudno będzie ukryć się w oczach tych ktorzy cię otaczaią!

CELANIA, *ze złością.*

Potrafisz się ułożyć, nie wiele cię to będzie kosztowało. Ztym wszystkim, mogęż wierzyć twemu słowu?

VALCOURT.

Kiedy każesz, dotrzymam.

CELANIA.

Dosyć tego, potrzebuię zostać sama, wynidź.

VALCOURT, *na stronie wychodząc.*

W pomieszaniu tak gwałtownym, co za rada, co za środki mi zostaią? (*wychodzi.*)

SCENA V.

CELANIA, *sama.*

JUż tedy nie iestem więcey kochana.... Ktożby temu mogł uwierzyć! Inna zapewne posiada iego serce....

Powiedział mi, że przeszkoda nieprzełomana rozłącza nas na zawſze... Coż tedy to ieſt za przeſzkoda?... Jaki cel mogł?... Nikogo nie znał, na nikogo niepatrzył tylko na mnie, tylko... Ach? co za ſmutne ieſzcze wyobrażenie ſtaie mi na umyśle! Nieſtety! tłumiłam go w ſobie, gdy mi iego rozpacz na myśl przywodziła... Moia Corka żalem wſkroś przeięta niechce bydź poſłuzną... a Valcourt milczy, od ſiebie odchodzi, wzdryga ſię na moie czucia ku ſobie... I iakże! mogliż ſię zmowić na moie oſzukanie, udręczenie?... O nieba! ta wątpliwość okropna rozdziera i przenika ſerce moie.... Nie, to niepodobna, aby do tey niewdzięczności.... Może on ią kocha; ale Aniela, ale moia Corka nie wie o tym, przecieby mi ſię przyznała.... Wytrzymać nie mogę tak wielkiego pomieſzania. Poydę do Emilii.. Ach! co za przeciwność! Czego tu Melita chce odemnie?



SCENA VI.

MELITA, CELANIA.

MELITA.

ACH Mościa Pani! uſpokoy ſię, twoia Corka łzami ſię zalewa. Zaſtałam ią w ſtanie... Ale i W. Panią w iakimże pomieſaniu znayduię?

CELANIA.

Nie mogę W. Pani powiedzieć....

MELITA, *na ſtronie.*

Muſzę dokończyć mego ułożenia. (*głośno.*) Nie nalegam na W. Panią, ale ſię łatwo domyślam, co ią alteruie.

CELANIA.

Co W. Pani mowiſz?

MELITA.

W. Pani odkryła....

CELANIA.

Ach proſzę dokończ.

MELITA.

Miłość wzaiemna Valkura i Anieli...

CELANIA.

Miłość wzaiemna! ... Ach ledwie żyię....

MELITA.

I coż M. Pani, możesz naganiać miłość niewinną, ktora raczey powinna zasłużyć na twoią dobroć i ukontentowanie?... Wybacz twoiey corce, że się kryła z nią przed tobą, przypisz to raczey iey nieśmiałości i boiaźni, aby cię nie uraziła. Zawszem sądziła o innych twych widokach dla iey, i w tey myśli....

CELANIA.

To tedy W. Pani było to powierzono?

MELITA.

Przyznam się W. Pani, że ich miłość i nadzwyczayne przywiązanie mocno mię dotknęły... Sprzyiaiąc onym dałam im poznać, co tobie winni iak iedno tak drugie, ale ta usilność moia była mniey potrzebna, gdyż wierzay mi, że o wdzięczności dla ciebie, są przekonani do gruntu serca. Podięłam się do ciebie przyczynić za niemi, i zaklinam cię na

miłość twey Corki ku tobie, i na przywiązanie twoie ku niey, abyś się nie sprzeciwiała. . . .

CELANIA.

Dosyć M. Pani. . . . Znam dobrze szacunek twoiego starania. . . Nie sądziłaś podobno aby twoie prawa nad moią Corką mogły zasiągać aż do intrygi prowadzoney dotąd tak sztucznie? Ta iuż się odkryła, skończyłaś twoią rolę. Z moiey nie winnam nikomu rachunku, i dowiesz się W. Pani o moich zamysłach, skoro o nich uwiadomię moią familią. (*wychodzi*)

SCENA VII.

MELITA *sama*.

WYszła rozgniewana. . . . Udało mi się; zmyślaiąc że wiem o wszystkim, utwierdziłam w niey wszelkie domniemania. Roziątrzyłam iey wściekłość przeciw corce i Valkurowi, ktorego wiem pewnie że żałuie. Jużeśmy się

tedy ſkłociły raz na zawſze Ale co mnie z tego? nienawidzę iey, mścić ſię będę, i otworzę oczy Margrafowi... Ale otoż i on.

SCENA VIII.

MARGRAF, MELITA.

MELITA.

CZY ſpotkałeś ſię z Celanią?

MARGRAF.

Nie M. Dobrodziko, ia iey ſzukam, Aniela była bardzo ſłaba, zemdlała; Emilia ieſt przy niey, i...

MELITA.

Widok Matki ieſzcze ią bardziey poruſzy.

MARGRAF.

Jakto?

MELITA.

Bo ſą wſpoł-zalotnice. Celania ieſt obrażona miłością Valkura.

MARGRAF.

Ta bayka nie podobna do prawdy.

MELITA.

A ia W. Panu powiadam, że prawda. Przypomniy sobie, com ci dawniey powiedziała. Otworz oczy, zastanow się nad postępowaniem Celanii, a ieżeli nieznaydziesz w nim gniewu, zazdrości i miłości, pozwalam na ten czas abyś ią adorował i wielbił iak zawsze. To całe mniemane przywiązanie do Corki, iest szczerą obłudą, będziesz o tym ieszcze dziś przekonany.

MARGRAF.

Nie wierzę niczemu M. Pani.

MELITA

Ustanie twoie uprzedzenie. Tym czasem zostawuię tu W. Pana, i daię czas do myślenia.

MARGRAF.

Co za złośliwa kobieta! Muszę poyść poszukać Celanii, i uwiadomić nakoniec bez odwłoki o moich sentymentach, ktore mi chcą wydrzeć z serca moiego. (*wychodzi.*)

Koniec trzeciego Aktu.

AKT

AKT IV.

SCENA I.

VALCOURT, EMILIA.

EMILIA.

TAK iest, bardzo się lękam; Celania zapewne umrze; serce iey niewymownie iest zranione; wzgardzona od tego, ktorego kocha, a ieszcze w iaki moment... i dla kogo?

VALCOURT.

Potrzebaż aby nierostropność Melity?...

EMILIA.

Nierostropność... Ach wierzay mi że ona tryumfuie, i iak chcesz mow, to iest czarność duszy, iestem tego pewna. Ale ty Braciszku, iakiegoż udręczenia nie musisz doznawać w ten moment!

VALCOURT.

Mogłżem przewidzieć?...

EMILIA.

Nie możeſz ſię uſprawiedliwić. Potrzeba było mowić. Celania nie była warta tak obmierzłey ſkrytości. Nie taię ſię przed tobą, ona ieſt zagniewana na ciebie, a nadewſzyſtko na Corkę ſwoią. Im bardziey ią kochała, tym więcey ſpodziewała ſię od niey ufności, tym więcey zoſtała obrażoną, zdradzoną, i nieſzczęśliwą. Ja nie wiem czy będzie ią co mogło zaſpokoić, w takim ieſt teraz ſtanie, że ſię ſerce kraie. Proſiła mnie abym ią zoſtawiła ſamą na moment. Płacze, ięczy, wzdycha, i uſtawicznie powtarza imiona Anieli i twoie. Te imiona ieſzcze dziś zrana dla niey tak ſłodkie, tak miłe, teraz ſą przyczyną żalu i rozpaczy.

VALCOURT.

Powiedź iey proſzę, że ią zaklinam, niech mi wroci moie ſłowo, i niech mi dozwoli uciekać na zawſze od tego wſzyſtkiego, co było dla mnie naymilſzym. Ja umieram, moia Sioſtro otrzymay to od niey. . .

EMILIA.

Zdaie mi ſię że ią ſłyſzę. Wynidź ztąd.

VALCOURT.

Poydę do mego pokoiu, oczekiwać twoiey odpowiedzi. Byway zdrowa; niech ſię przynaymniey ulituie nademną.

EMILIA.

Wychodź. To ona, przyidę ia do ciebie. (*wychodzi. Emilia kończy.*) Jey mina oznacza uſpokoienie; Ale iak ponury ſmutek na twarzy!

SCENA II.

CELANIA, EMILIA.

EMILIA.

I cóż moia kochana przyiaciołko, zdaieſz mi ſię bydź troche ſpokoynieyſzą.... Nieſtety! niechcę ia ciebie cieſzyć nadaremnie. Nie umiem wcale, tylko trapić ſię z tobą; lubo

prawdę mowiąc, twoia Corka warta ieſt większego pobłażenia. Twoia czułość zbyteczna powiększa iey przewinienie; ona ieſt żalem wſkroś przeięta, ona cię kocha, ona miłuie.

CELANIA.

Zdradziła niemniey ſwą powinność, iako i moie przywiązanie; ſerce moie ieſt iey ſędzią, wie ona dobrze iak ieſt czułe i przywiązane, ſłuſznie ſię lęka wyroku, ktory ma uſłyſzeć od niego.

EMILIA.

Moy Brat proſi, abyś mu pozwoliła oddalić ſię.

CELANIA.

Nie, nie, miłość ſzczęśliwa powinna go zatrzymać.

EMILIA.

Ach! wierz mi, że przyiaźń w ſercu iego ieſt wyżſzą na miłość; on nie myśli tylko o tobie.

CELANIA.

Jeſzcześ ſię śmie nazywać moim przyiacielem wydarłſzy mi ſerce i zaufanie moiey Corki!

EMILIA.

Oni byli wciągnieni....

CELANIA.

Nie wymawiay ich darmo, tym bardziey powiękſzaſz gniew moy.... Nie ieſtem teraz tą co byłam, nieznam ſiebie więcey.... Zdradzona od oſob naymilſzych, poniżona, oſzukana, opuſzczona, naymnieyſzym dla mnie ieſt udręczeniem teraz, doznawać chuci wſtydney i nieſzczęſney, ktora mię upośledza w oczach świata, a w moich poniża.

EMILIA.

Co za boiaźń nadaremna! Bardzo ieſt łatwo ukryć ten ſmutny i nieſzczęśliwy ſekret.

CELANIA.

A mogęż go ukryć! Mamże ſpoſob ułożenia ſię? Nie ieſtże napiſano na twarzy moiey? A potym, co mi z tego że go zazdrość i nienawiść wyiawi? Czyliż potrafi prożność powiękſzyć lub umnieyſzyć tych śmiertelnych boleści? Patrzayże w iak okropnym ieſtem ſtanie. Coż za rola dla mnie teraz pozoſtaie? Niewdzięczni, nie odięliż mi i tey ſłodyczy, abym mogła pokazać, że ſię dla nich

poświęcam ; nierozrządziliż ſami ſwym loſem ? Ich wzaiemne porozumienie ſię utwierdziło go na zawſze ; moie zezwolenie ſtanie ſię przymuſzonym, gdy go dam, bo muſzę ; gdy go odmowię, będę okrutną i nielitościwą.... Nie mam inney władzy nad tę, ktorey mi prawa pozwalaią. Przez nich ieſtem ieſzcze Matką.

EMILIA.

Ach ! bądź pewna, że o to okrutne zezwolenie nie będzieſz nigdy proſzona. Poſłuſzeńſtwo Anieli naprawi iey błędy, a moy Brat nie pragnie, tylko oddalić ſię od niey nazawſze.

CELANIA.

Moiey corce knować intrygę wyſtępną ! Szukać inney konfidentki nie mnie !... Tak ieſt, gdyby kochanek ſam wiedział o iey ſekrecie, wybaczyłabym iey. Wſzakże w ſercu Matki natura ma prawo wyżſze nad miłość ; ale knować ſkryty ſpiſek, przełożyć ciotkę nademnie, iey ſię zwierzyć, zdać na nią ſwoie uſzczęśliwienie, iey zaufać, o mnie zapomnieć, przede mną milczeć, ba co mowię, oſzukać.... O nieba !

EMILIA.

Nieſtety! więcey ſą oni warci politowania nad ciebie, ieżeli można...

CELANIA.

Wydarli mi ſerce... Na łonie mey Corki byłabym znalazła iaką ulge w mych zgryzotach. Potrzebną mi była do otarcia łez, ktorey przywiązanie prędzey lub poźniey byłoby oſuſzyło zrzodło onych. . . . Powiadaſz że ięczy, ale iey kochanek może ią pocieſzyć, czuie on i dzieli ſię iey udręczeniem. Może w ten moment wraz z Melitą ieſzcze układaią nowe intrygi.

EMILIA.

Ach! czy możeſz o tym pomyśleć! Moy Brat pogrążony w ſwey rozpaczy, wyrzeka ſię miłości tak nieſzczęsney.

CELANIA.

Alboż ich ſądziſz bydź ſzczeremi; kiedy mnie potrafili oſzukać? Nauczyli mnie dobrze iak mam im wierzyć. Ja ſądziłam że ieſtem kochana. O iakże byłam ſzczęśliwa tego poranku! Tak, tak, potrafię mię zwy-

ciężyć ; potrafię poyść za ich okrutnym przykładem, ktory mi dali ; wyrzucę z serca mego czucia, ktore go rozdzieraią. Dosyć cierpieć dla niewdzięcznych... Zdaie mi się, że sama iedna tylko iestem na świecie. . . . Gdzie oni są ? chcę ich widzieć razem, aby byli świadkami męczeństwa, ktore mi zadaią. Chcę aby moia Corka poznała, na iakie nieszczęścia mnie wystawuię, aby widziała moią miłość, moią rozpacz.

EMILIA.

O Boże! coż mowisz! ach ukryway zawsze przed nią ten Sekret.

CELANIA.

Albo rozumiesz, że ona nie wie o nim ? Nie, bynaymniey, ona mnie uważała, wie, i na złość mnie odstępuie. . . . Owszem co mowię, może się tym bawi i raduie ? . . . Oni się teraz lękaią popsuć swoie nadzieie. Ja im się nie wydaię, tylko iako sędzia straszny i zagniewany. Nie myślą o mnie tylko z boiaźnią, może mnie nienawidzą.

EMILIA.

Przebog! czy możesz wierzyć? ...

CELANIA.

Czy mogłaś kiedy przewidzieć moy los nieszczęśliwy? Ja dotąd tak spokoyna, tak szczęśliwa będąc, potrzebaż było, aby namiętność okrutna wydarła mi razem rozum, spokoyność i szczęście? Niestety! młodość moia upłynęła bez nawałności niewinnie i spokoynie! w wieku błędow wylana na starania, na uczucia nayslodsze i nayczystsze, mogłamże w ten czas przewidzieć los moy ktory mnie czeka? Jeden moment zatarł przeciąg lat piętnastu moiego szczęścia, rozsądku, i cnoty. ... Wstyd mnie pomieszania, na ktorem się wydała. Zadna pociecha dla mnie nie zostaie, wszystkom straciła. ... a zapewne i twoy szacunek. ...

EMILIA.

Ach! nieszczęścia twoie w oczach moich czynią cię sto razy milszą i przyiemnieyszą.

CELANIA.

Jakżeś mnie sama dziś oszukała! .. Mowiłaś że on mnie wielbi. Jaka iego

będzie radość ! . . . Ach ! gdybyś była widziała iego zalęknienie i straszną odmianę na twarzy ; (tenże to iest sam, ktoregom widziała tak czułego , tak przywiązanego , leiącego łzy u nog moich ?) Nie, to nie podobna , nie musiał on nigdy mnie kochać. . . . Chciał tylko uwieść to serce , ktorego oboiętność obrażała iego dumę ; ale nie będzie się cieszył ani z moiey słabości , ani z mego udręczenia. Jużem się odważyła na iedno. Umknę mu tak miłego widoku ; nie pokażę mu żadney nienawiści , nie wart więcey , tylko moiey wzgardy. Idź powiedz mu , że go nie uwalniam od danego słowa , owszem wyciągam , aby mi dotrzymał swego przyrzeczenia. Jutro będzie wolny , nauczy się znać mnie , dozna że iestem Panią nad sobą. Idź moia kochana Emilio , a ieżeli spotkasz Corkę moią , powiedź , aby przyszła do mnie.

EMILIA.

Ach , iakże się ia lękam tey rozmowy !

CELANIA.

Uſpokoy ſię, ſerce moie nadto ieſt zranione, abym go mogła iey otworzyć; chcę z nią mowić ale bardzo krotko.

EMILIA.

Byway zdrowa. Pamiętay o twoiey ſławie, a względem Anieli radź ſię ſwego przywiązania. (*wychodzi.*)

SCENA III.

CELANIA, *ſama.*

NA cożem ia przyſzła o wielki Boże! w iakąż mnie przepaść pogrąża ſerce nadto czułe!...Ja zazdroſna!.., a komuż?...Oſobie tak ukochaney... Moiey corce!... Ach gdyby nie była niewdzięczną, poświęciłabym chętnie dla niey ſzczęśliwość moiego życia.... Ale iaki iey poſtępek! iaka ſkrytość!... Otoż nadgroda za to wſzyſtko com dla niey czyniła przez lat dzieſięć! Już tedy muſzę uledz

moiemu przeznaczeniu; trzeba mi śię uzbroić w męſtwo potrzebne, dosyć płaczow, doſyć ſtękania. Rozum, oboiętność i ſpokoyność, te ſą moie dobra, dla mnie pozoſtałe w moiey oſobności. Moie oddalenie i odludność może mi ie przywrocą kiedy... ktoś idzie. To ona. Co za moment!

SCENA II.

CELANIA, ANIELA.

(Aniela zapłakana upada do nog Matki, ktora ią podnoſi z ſrogością.)

CELANIA.

ZAniechay czynić niepotrzebnych wymowek; odeymuiąc mi prawo dla mnie naymilſze, utraciłaś wſzyſtkie twoie do mnie. Poświęciwſzy dla ciebie życie moie, ſpodziewałam śię że twoie zaufanie i przyiaźń będą nadgrodą za moie ſtarania, ale nako-

niec poznałam ſię. Doſyć tego, ten wyrzut oſtatnim będzie, ktoryś kiedy miała odbierać odemnie.

ANIELA.

Ach! raczey wyrzuć mi moią nieroſtropność w poſtępkach moich, a nie obwiniay ſerca mego.

CELANIA.

Niechcę żadnego tłomaczenia. Chciałam z tobą mowić, abym ci oznaymiła o twym przeznaczeniu, gdyż te zależy ode mnie; i żadna zmowa, żadna Intryga nie potrafią cię od niego uwolnić. . . .

ANIELA.

Co za okrutna mowa! wſkroś mię przeymuie. . . . O Boże! możeſzże wierzyć, aby twoia władza nademną nie była dla mnie rownie miłą iako i świętą?

CELANIA.

Jednakże, ledwoś wyſzła z dziecinſtwa, śmiałaś uczynić ſobie wybor, bez mego dołożenia.

ANIELA.

Ach! przywroć mi twoią miłość, a ia wſzyſtkiego odſtępuię, z chęcią wyrzekam ſię. . . .

CELANIA.

Znaſz mię dobrze, abym miała bydź zdolną takiego okrucieńſtwa. Zdradziłaś dla miłości twoią powinność, naturę, i wdzięczność. Wnosić mogę o zbytku oney, gdy cię przywiodła do przeſtąpienia wſzyſtkiego... Cieſz się, dziś ieſzcze Valcourt otrzyma twą rękę. Słowo moie ieſt nieodmienne, możeſz mu zaufać.

ANIELA.

Ach! moia Matko!... Doday, że przywrociſz mi ſwoią łaſkę....

CELANIA.

Radość okazuie się w twych oczach, wſzyſtkie twoie chęci ſą dopełnione. Słuchay co ci ieſzcze mam powiedzieć. Przedtym było nayſłodſzą moią nadzieią, że ſkończę dni moie na łonie Corki ukochaney, od ktorey ſądziłam że ieſtem kochaną. Dziś nakoniec gdym oczy otworzyła....

ANIELA.

Co mowiſz? o Boże!... Byłażbyś tak okrutna?...

CELANIA.

Inne ſą czaſy. Muſiemy ſię rozſtać, jutro wyieżdzam.... Zoſtaie ci twoia ciotka, będzieſz ią miała za przewodniczkę.

ANIELA.

Chceſzże W. Pani Dobr. moiey śmierci? o Boże ſprawiedliwy! co za wyrok! co za okrucieńſtwo!... Nie, nie, ia poydę wſzędzie za tobą.

CELANIA.

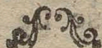
Przeſtań, przeſtań tych wrzaſkow niepotrzebnych. Alboż to do ciebie należy narzekać?... Moie ułożenie ieſt nieodmienne, nic go przerobić nie potrafi. (*chce wychodzić.*)

ANIELA, *przytrzymuiąc.*

Stoy moia Matko, zaczekay....

CELANIA.

Puść mię! co ſobie obiecuieſz po tey gwałtowności? Puść mnie mowię, nie chodź za mną. Słuchay mnie przynaymniey raz oſtatni. (*wychodzi.*)



SCENA V.

ANIELA, *sama.*

UCIEKA przedemną.... Ach wielki Boże! W coż się obrocę? Dobrzem ia to przewidziała.

SCENA VI.

MELITA, ANIELA, VALCOURT.

MELITA.
MYśmy cię szukali... Ale coż to za żal nadzwyczayny!

VALCOURT.
Przychodzę pożegnać W. Pannę Dobr. na zawsze.

ANIELA.
Ach! idź sobie, oddal się....

MELITA.
Ale na co rozpaczasz? Celania iest spokoyna. Spuść się na czas, i iey rozsądek.

ANIELA

ANIELA.

Ach! nadto mnie koſztuie, żem ſłuchała twoiey rady; niechcę iey więcey ſzukać tylko w moim ſercu.

MELITA.

Celania niepozwala wyiechać Valkurowi. Alboż niepoznaieſz iey zamysłow? Ona ieſzcze dziś waha ſię, wzgarda przytłumia iey przywiązanie ku tobie, ale iutro zezwoli na naſze uſiłowania połączone.

VALCOURT.

Nie, bynaymniey, wyrzekam ſię wſzelkiey nadziei. (*do Anieli.*) Przyſzedłem tu oglądać ciebie na moment, abym odkrył żal, ktory rozdziera ſerce moie, a iutro oddalę ſię ztąd na zawſze.

ANIELA.

Abym powrociła do ſłodkiego iarzma Matki moiey, dla ktorey winnam łożyć nawet uſzczęśliwienie życia mego, idę za moią powinnością, natura ſama włożyła na mnie ten obowiązek święty; ale że cię widzę z taką łatwością mnie porzucaiącego... Ach! niedoſtawało ieſzcze tego cioſu

do nieſzczęścia mego, ktore mnie ściga. Jedź, iedź W. Pan.

VALCOURT.

Coż mowiſz? o Nieba! i tyż to mnie obwiniaſz?... gdy ia ſię poświęcam dla twey ſpokoyności, gdy dopełniam twego roſkazu, gdy ten przymus okropny wydziera ſerce moie, ty ieſteś tak okrutną....

MELITA.

Ona ſprawiedliwie czyni, gdyż teraz powinna bydź powolną, a W. Panu ieżeli ią kochaſz przynależy ſtałość. Nalegay na Celanią, proś, zaklinay.

VALCOURT, *na ſtronie.*

A mogęż to czynić! o Boże!

MELITA.

Ale czego tu chce Emilia?

SCENA VII.

EMILIA, MELITA, VALCOURT, ANIELA.

EMILIA.

CELANIA mnie przyſyła, abym ci opowiedziała oſtatnią iey wolą. (*do*

Anieli.) Nie tylko potwierdza twoie zamęście z moim Bratem, ale ci nawet nakazuie dziś ieſzcze przyiąć iego rękę, dodaiąc iż naymnieyſze ſprzeciwienie twoie temu rozkazowi przyimie za kaprys oczywiſty, i nowe niepoſłuſzeńſtwo.

ANIELA.

Ach Mościa Dobrodziko!

VALCOURT, *na ſtronie.*

Nieſtety!

EMILIA.

Intereſſa ią nagłe ściągaią do Paryża. Za godzinę wyieżdża; ale że chce, aby nic nie ſpoźniło tego zamęścia, ktorego ſobie życzy, (*do Melity*) otoż na ręce W. Pani daie Plenipotencyą ſwoią ręką podpiſaną, przez ktorą zlewa ſwoie wſzyſtkie prawa na W. Panią. Będzieſz zaſtępowała iey mieyſce, a Panna będzie od niey przyimować....

ANIELA.

Coż ſłyſzę? I moia Matka rozumie, że bez iey ſtarania, przy iey oziębłości będę śmiała....

EMILIA.

Taka iey ieſt wola, a W.Panny ieſt powinnością bydź iey poſłuſzną. (*z drwinami.*) Nie wątpię że ią mądre rady nakoniec nakłonią na to.

ANIELA.

Tak trzymać o mnie, ieſt krzywdzić; ieżeli moia Matka iedzie, i ia muſzę za nią iechać, albo umrzeć.

EMILIA, *do Melity.*

Przymiy W. Pani to piſmo, maſz tu w nim zupełną władzę nad Panienką, i od tego momentu może ſię zwać iey Corką.

ANIELA.

Ach! to ieſt nadto....

MELITA, *do Anieli.*

Wſtrzymuy ſię. (*Bierze Papier i kładzie do kieſzeni.*) Przyimuię M.Pani tę Plenipotencyę, czuła ieſtem na to iak bydź powinnam, użyię iey na uſzczęśliwienie moiey Sioſtrzenicy, nią ſię iedynie zatrudniać będę.

ANIELA.

Nie, M.Pani, bynaymniey nie wierz temu. Nie znam ia inney władzy nad ſobą, inney powagi, procz Ma-

tki moiey. Niech mnie iak chce odrzuca od ſiebie, niech ſię mnie wyrzeka, ia iednak ią kocham, poważam, i przekładam nad wſzyſtko.... Powinnam znoſić iey wzgardę, iey gniew, zaſłużyłam na nie. Tylko niech mnie nie porzuca, niech mię nie opuſzcza w moiey rozpaczy. Niech rozrządza mym loſem iak ſię iey podoba, niech mi tylko daruie... (*do Emilii.*) Ach! Mościa Dobr. zmiłuy ſię nademną, niech mię przywroci do ſwoiey łaſki.

EMILIA.

Ona zapewnia o twoim ſzczęściu, czegoż chceſz więcey?

ANIELA.

O moim ſzczęściu! A możeż bydź dla mnie ſzczęście bez iey miłości?

EMILIA, *na ſtronie.*

Jak mnie iey żal przenika!

ANIELA.

Już tedy widzę, że chce moiey śmierci... Poydę iey ſzukać, poydę...

VALCOURT.

Ach! zaſpokoy ſię proſzę....

ANIELA.

Day mi pokoy, zapomniy o mnie, ty ſam ieſteś przyczyną wſzyſtkich moich nieſzczęść. (*wychodzi.*)

MELITA

Nieopuſzczaymy iey w tym ſtanie iak ieſt. (*Melita wychodzi za nią.*)

VALCOURT.

Nieſtety! Coż mam z ſobą czynić? (*wychodzi*)

SCENA VIII.

EMILIA, *ſama.*

JA boleię nad nią, iey ſtan mocno mnie obchodzi.... Ale Celanio, o Celanio!... Boże! coż to za koniec będzie tego wſzyſtkiego? Ja nie poymuię....

SCENA IX.

EMILIA, MARGRAF.

MARGRAF, *biegąc z pośpiechem.*

ACh! Mościa Dobr. widzisz mię w wielkim pomieſzaniu....

EMILIA.

Coż W. Panu?

MARGRAF.

Byłem przytomny Scenie, ktora mi ſerce zraniła.

EMILIA.

Wytłomacz ſię proſzę.

MARGRAF.

Muſzę ci nayprzod obiawić moie czucia ſekretne... kocham....

EMILIA.

Anielę?

MARGRAF.

Nie, Celanią adoruię.

EMILIA.

W. Pan?

MARGRAF.

Nie idąc tylko za moią ſkłonnością, otworzyłem ſię z nią w oczach iey.

EMILIA.

I coż! iakże ci odpowiedziała?

MARGRAF.

Z wyznaniem ſzczerym o ſtanie ſerca ſwego. Zważ W.Pani, zważ co moie było za podziwienie.

EMILIA.

Znam ia w tey mierze iey otwartość.

MARGRAF.

Ach! obym był godnym zaufania tak wſpaniałego i czułego! Zasługiwać będę przynaymniey na ſzacunek i przyiaźń, ktorą mi okazała... Ach Mościa Dobr. iak ona ieſt biedna!

EMILIA.

Stało ſię zadoſyć żądaniom Melity. Wiedz o tym że ona iedna ieſt wſzyſtkiego przyczyną....

MARGRAF.

Znam ia ią Mościa Pani, i podobno lepiey od ciebie.... Łatwo dociekam końca tych wſzyſtkich wybiegow. Aniela i Valcourt ſtali ſię ofiarą ſwoiey nieroſtropności i łatwowierzeniu; wciągnieni przez nią w nieprzyzwoite kroki....

EMILIA.

Powiedź mi proſzę, iaki ieſt cel Melity, ktoregoś dociekł?

MARGRAF.

Nie warta ona tego, abym go przed tobą zamilczał... Nieſtety! Mościa Pani, dopatrzyła w ſercu moim, i...

EMILIA.

Ona cię kochała?

MARGRAF.

Sądzę przynaymniey, że tak rozumiała, albo raczey mowiąc, że miała ambicyą i prożność kochania. Chcąc usprawiedliwić naszych młodych kochankow, chciałem odkryć Celanii i ten sekret, i tę czarność Melity, ale wprzod miałem się z tobą naradzić.

EMILIA.

Nie, bynaymniey, to doniesienie nie uczyniło by żadnego skutku pomyślnego. Celania dobrze iest przekonana o złości Melity, ale dla tego nie wyłączyła od niey i swoiey Corki. Procz tego, my nie wiemy wszystkich okoliczności, ktore ią mogą usprawiedliwiać. Ona sama zapewne straciła onych osnowę, a choćby wiedziała i pamiętała o nich, czyliżby iey wierzono na iey słowa? Potrzeba dowodow iasnych i przekonywaiących na zaspokoienie Celanii. Ona iest bardzo rozgniewana, bardzo zaiątrzona.

MARGRAF.

Pomimo iey gniewu można iednak zawsze widzieć w niey przywiązanie

nadzwyczayne do Anieli. Valcourt choć ieſt tak od niey kochany, ſto razy mniey iednak ią zatrudnia, niż ona.

EMILIA.

Ach! nie wątpiy o tym, miłość w nim panuiąca ieſt ku iey corce. Gdyby można było znaleść iaki śrzodek do przekonania iey, że nieſtraciła iego ſerca, wnetbyś ią uyrzał...

MARGRAF.

Ztym wſzyſtkim, coż W. Pani chceſz aby Aniela więcey uczyniła? Jey powolność nie ma granic, odſtępuie ſwey miłości.

EMILIA.

Wſzyſtko to mowię ci, nic nie znaczy. Celania zacięta, niechce nic widzieć w iey poſtępkach, tylko zmyślenie. Wiem ia dobrze, mowi ona, że nie przyimę ofiary, ktorą czynić dla mnie zdaie ſię; cała ta mniemana wſpaniałość ieſt igraſzką i falſzem. Otoż takie ſą iey mniemania.

MARGRAF.

Coż tedy robić? Ach Mościa Dobr. ſzukaymy iakiego ſpoſobu do zaſpo-

koienia żalu, ktory ią pognębia; ſtan iey ieſt bardzo gwałtowny, nie wytrzyma. . . . Ja mogę znieść mężnie ſtratę wſzelkich mych nadziei, ale patrzeć na nią cierpiącą nie mogę.

EMILIA.

Przychodzi mi na myśl ſpoſob oſobliwſzy. Melita W. Pana kocha. Trzeba by. . . . Celania zapewne ci powiedziała, co umyśliła uczynić z ſwoią Corką.

MARGRAF.

Tak ieſt, z niczym ſię nie ukryła.

EMILIA.

Jeżeli mi chceſz dopomodz, ieżeli ſzczerze kochaſz Celanią, możemy na wzaiem ułożyć intrygę oſobliwą i wcale nową; gdyż ieżeli ſię uda, przywrociemy cnocie ſpokoyność, a złość ukarzemy.

MARGRAF.

Rządź mną Mościa Dobrodziko, tobie ſię oddaię zupełnie. O iakbym był ſzczęśliwy, gdybym mnie poświęcaiąc, mogł przywrocić tu ſpokoyność i ſzczęście!

EMILIA.

Rzecz cała w głowie moiey nie ieſt ieſzcze ułożona. Ale poydź za mną do pokoiu, naradziemy ſię bezpiecznie, gdzie nam nikt nie przeſzkodzi. (*wychodzi i Margraf za nią.*)

Koniec czwartego Aktu.



AKT V.

SCENA I.

MARGRAF, EMILIA.

EMILIA.

TAk tedy dobrze będzie. Czy iuż masz cały układ w swoiey głowie?

MARGRAF.

I bardzo doskonale. Nic nie zapomnę, bądź spokoyna.

EMILIA.

Nadewszystko strzeż się, aby Melita nie powątpiewała....

MARGRAF.

Nie boy się, ma ona rozum, i dość iest nieszczera; ale ią miłość własna zaślepi, a ia użyię wszelkich obrotow, iakie tylko uczynić zdołam. Co Aniela i Valcourt łatwo mi uwierzą, bo nie wiedzą o moiey miłości.

EMILIA.

Spodziewam się, że wszystko poydzie po naszey chęci. Nasi młodzi

kochankowi wcale się nie ſpodziewaią· iaką im zagramy rolą.

MARGRAF.

Ale ieżeli ich poſtępek zawiedzie naſze oczekiwanie?

EMILIA.

To będzie zawſze ſekretem między nami. Nigdy Celania o nim wiedzieć nie będzie, i rzeczy zoſtaną iak ſą. Więc nic nie ſtraciemy. Ja trzymam dobrze po Anieli, Brata mego także znam dobrze, on ieſt czuły i wſpaniały, obaczyſz że ſię opierać nie będą.

MARGRAF.

Ale Valcourt zechce dziś wyiechać.

EMILIA.

Biorę to na ſiebie, że go przytrzymam aż do końca, nieodſtąpię go na krok, i znaydę tyle ſpoſobow... Słyſzę kogoś, to podobno Celania. Zegnam cię. Nie trzeba, żeby nas razem zaſtała. (*wychodzi.*)

MARGRAF *ſam.*

Ach iakbym był ſzczęśliwy, gdybym ſię mogł przyłożyć.... Ale to widzę Melita! To i dobrze, zaczniymy od niey.

SCENA II.

MELITA, MARGRAF.

MELITA.

OToż ieſt. Zdaie ſię bydź pomieſzany.

MARGRAF, *udaiąc że iey nie widzi.*

Tak ieſt, tak, poznałem ſię.

MELITA.

On mnie nie widzi.

MARGRAF, *udaiąc zawſze.*

Nie, iuż więcey nie wątpię.

MELITA.

Margrafie, wybacz że przerwę twoie myśli.

MARGRAF.

Ach! Mościa Dobrodziko.

MELITA.

Byłeś w wielkim pomieſzaniu.

MARGRAF.

Dobrześ mi W. Pani Dobr. powiedziała, że ia dziś oczy otworzę.

MELITA.

Ten ſmutek, ta zapalczywość ſroga, ſłowem to całe zamieſzanie, ktorego ieſteśmy świadkami, pokazuią ci dowodnie iey zazdrość wyuzdaną.

MARGRAF.

Tak M. Pani, wſzyſtko mnie to oświeca, i czuię w ſobie ſprawiedliwą wzgardę ku tey, ktora na nią zaſługuie.

MELITA.

Chociaż ſię zdaie, że ią nienawidziſz, przecie ią podobno ieſzcze kochaſz?

MARGRAF.

Nie, bynaymniey, ona nie ieſt godna moiey nienawiści; ale ci ſię przyznam, że pragnę mocno poniżyć ią, i ukarać za iey wykręty.

MELITA.

Ach Margrafie! Należałoż, aby cię namiętność ślepa tak długo uwodziła, i aby ſerce twoie....

MARGRAF.

Serce moie nakoniec od niey ſię oderwało, i mogę go ofiarować....

MELI-

MELITA

I coż, ſkończże! czego ſię obawiaſz iaśniey tłomaczyć?

MARGRAF.

Daruy mi W. Pani Dobr. ſprawiedliwy żal nie dozwala mi.... Ale teraz całe moie ſzczęście w ręku twoich.

MELITA.

Czy doprawdy?

MARGRAF.

Powinnaś mię zrozumieć.... Pozwol mi tylko, abym w ten moment więcey o tym nie mowił. Dziś w wieczor przy Celanii wytłomaczę ſię zupełnie. Ale przyrzecz mi iednak że nie będzieſz przeciwna moim chęciom, ktore zamyślam.

MELITA, *na ſtronie.*

On chce poniżyć i zawſtydzić moią wſpoł-zalotnicę. To ieſt tryumf dla mnie naywiękſzy. (*głośno.*) Dobrze, nie nalegam więcey, tylko ci przyrzekam, że pozwolę na wſzyſtko, czego żądać będzieſz.

MARGRAF, *z radością.*

Mogęż temu wierzyć?

MELITA.

Nie wątpiy.

MARGRAF.

Ta obietnica wielce mnie cieſzy.

MELITA.

Ktoś idzie, byway zdrow.

MARGRAF.

Zegnam. Pamiętay Mościa Dobr. że tego wieczora będzieſz ſędzią moiego loſu.

MELITA.

Pamiętay iednak ſam, że niechciałabym nic bydź winną przymuſowi.

MARGRAF.

Ach wierzay mi, że ſerce moie...

MELITA.

Valcourt zbliża ſię. Byway zdrow. (*na ſtronie odchodząc.*) Przecież trafiłam do końca. (*wychodzi.*)

SCENA III.

MARGRAF, VALCOURT.

VALCOURT.

POwiedziano mi Margrafie, że maſz ze mną mowić.

MARGRAF.
Prawda, mam ci wiele rzeczy donieść, ale się boię tłomaczyć.

VALCOURT.
Ta boiaźń mnie obraża; wszak znasz moią przyiaźń.

MARGRAF.
Tać to sama przyiaźń przeszkadza mi do odkrycia serca. Byłoby dla mnie rzeczą nieznośną zmartwić ciebie, onemu niepodobać się.

VALCOURT.
Zaklinam cię, abyś mi się iaśniey wytłomaczył.

MARGRAF.
Powiedź mi nayprzod, czy to prawda, żeś się odrzekł twoiey miłości ku Anieli?

VALCOURT.
Zadziwia mnie to pytanie.

MARGRAF.
Jam się tego spodziewał... Ale ci się naprzykrzam.

VALCOURT.
Nie, bynaymniey, kończ.

MARGRAF.
Ale to ty masz odpowiedzieć.

VALCOURT.

Ach! . . . no to dobrze, odstąpiłem szczerze i bez obłudy ręki Anieli, i nic nie potrafi odmienić tego ułożenia.

MARGRAF.

Czy wiedziałżeś o tym, że nim się odkryła twoia miłość, Celania mi ią obiecywała?

VALCOURT.

Kończ. I kochałeś Anielę?

MARGRAF.

Sto razy więcey niz moie życie.

VALCOURT, *na stronie.*

Otoż ostatni cios, ktory mi był nagotowany! (*głośno.*) Spełniay twoie zamysły, bądź szczęśliwy Margrafie, życzę. Jednakże nie wątpię że wprzod poradzisz się Anieli, i nie użyiesz wyboru Matki do przymuszenia oney.

MARGRAF

Czy szczerze to mowisz? i nic wiecey po mnie nie wyciągasz?

VALCOURT.

Daię ci słowo, byleś mi wzaiemnie dał swoie, że nie użyiecie z nią an gwałtu, ani podstępu.

MARGRAF.

Czy możeſzże wierzyć, aby Celania przymuſzała ią co wyboru mnie raczey, niż kogo innego?

VALCOURT.

Jeżeli zobliguieſz Celanią, aby choć ſłowo wymowiła za tobą, i pokazała że chce ciebie mieć za Zięcia, to ſamo nazwę przymuſem, gdyż powolność Anieli. . . .

MARGRAF.

Rozumiem; przyrzekam że tego nigdy nie uczynię bez wyraźnego zezwolenia ſamey Anieli. Czy przeſtaieſz na tym?

VALCOURT.

Zupełnie.

MARGRAF.

Wſzak iutro wyieżdżaſz; czy będzieſz ſię widział z Anielą?

VALCOURT.

Nie, unikać będę iey przytomności i rozmowy, możeſz mi zawierzyć.

MARGRAF.

Kiedy tak, nie zoſtaie tylko cię proſić o iednę łaſkę; a iako nie wątpię o prawdzie tego, coś mi powie-

dział, tak pewny ieſtem że mi nie odmowiſz. . . .

VALCOURT.

O coż to chodzi?

MARGRAF.

Już tedy oſtępuieſz ſwoich zamyſłow, i z Anielą widzieć ſię więcey nie będzieſz, abyś iey to mogł oświadczyć. Więc ia po twoiey przyiaźni wyciągam, abyś mi dał Bilet do niey, o tym donoſzący.

VALCOURT.

Wie ona iuż o moim ułożeniu.

MARGRAF.

To nie doſyć, potrzeba ieſzcze, aby wiedziała coś mi pozwolił....

VALCOURT.

Ach! to ieſt nadto.... Ja widzę, że chceſz mnie przyprowadzić do oſtatniego.

MARGRAF.

Nie unoś ſię gniewem, i mowmy bez ogrodki. Ja nie wiem o twoich ſekretach, ani o przyczynie ktora cię dziś przynagla do odſtąpienia twych zamyſłow; nie wymagam, abyś mi powiedział, ale tylko żądam o-

twartości w tym, co się ściąga do mnie. Ja ciebie kocham, i gdyby naybardziey, żadnego zayścia z tobą mieć nie będę. Jeżeli zostaiesz przy twoich zamysłach, ia odstępuię moich. Chcesz ze mnie tey ofiary? gotow iestem uczynić onę; ale ieżeli umyśliłeś nigdy nie żenić się z Anielą, ieżeli możesz zezwolić, abym twoie mieysce zastąpił, za coż masz odmawiać dowodu, ktorego wyciągam po twoiey cnocie i wspaniałości?

VALCOURT.

Na coż ci on potrzebny?

MARGRAF.

Aniela wie, że iesteśmy z sobą w przyiaźni; mogęż bydź pewny, że mnie wysłucha, gdy sądzić o mnie będzie, że iestem przyiacielem zdradliwym i czyniącym podstęp pod tobą. Celania nawet mogłaby o mnie toż samo rozumieć, widząc że się przymilam iey corce; ten zaś Bilet przed iedną i przed drugą usprawiedliwiać mię będzie.

VALCOURT.

Alboż go myślisz pokazać i Celanii?

MARGRAF.

Zapewne, pod obowiązkiem że nie okaże swey corce naymnieyszey chęci dla mnie pomyślney.

VALCOURT.

Ale iak ma widzieć Celania ten Bilet, kiedy chcesz, żeby był podpisany do Anieli?

MARGRAF

Zaraz ia odbiorę z rąk iey, skoro go przeczyta.

VALCOURT, *na stronie.*

Tym sposobem Celania obaczy przynaymniey, że dobrowolnie czynię dla niey ofiarę.

MARGRAF.

Na coż się rezolwuiesz?

VALCOURT.

Uczynić ci zadosyć.

MARGRAF.

Oto Stolik, i wszystko co potrzeba do napisania.

VALCOURT, *na stronie.*

Już tedy muszę podpisać na siebie dekret. (*siada i pisze.*)

MARGRAF, *na stronie.*

Dokazałem co było naytrudnieyszym, o resztę nie stoię.

VALCOURT.

(*piſząc mowi do ſiebie na ſtronie.*)

O iak mię każde słowo koſztuie!.. o Celanio! może też zapłaczeſz nad tym nieſzczęſnym piſaniem.... Może ci otworzy oczy nad zgubionym, o ktorym tak ſądziſz nieſprawiedliwie... Nie będzieſz więcey powątpiewała o iego ſzczerości.

MARGRAF, *na ſtronie.*

Jak mu drży ręka. . . . żal mi go. . . .

VALCOURT, *wſtawſzy.*

Maſz Margrafie, może będzieſz ſzczęśliwſzy ode mnie! Byway zdrow.. byway zdrow. (*na ſtronie odchodząc.*) Już teraz beſpiecznie pozwolę mey rozpaczy. (*wychodzi.*)

SCENA IV.

MARGRAF, *ſam.*

BIEdny nieborak! . . . Jak mi go żal! Ale muſzę obaczyć co piſze. (*czyta głośno.*) " Mościa Dobrodziko,

„ nie wſpominam o żalu, ktorego do-
„ znaię oddalaiąc ſię od niey na za-
„ wſze; opuſzczam w tym mieyſcu
„ gdzie ieſteś wſzyſtko, co mi ieſt
„ miłego; poddaię ſię bez narzekania
„ tak okrutnemu przeznaczeniu. „
(*Margraf przerywaiąc.*) *Opuſzczam w tym mieyſcu gdzie ieſteś wſzyſtko, co mi ieſt miłego* Ten wyraz nie źle użyty; ſpodziewa ſię, że Celania ſtoſować go będzie do ſiebie. Daley. (*czyta*)
“ Zapomniy o mnie iakoś powinna, i
„ ia pragnę, dla twoiego ſzczęścia,
„ ktore mi ieſt droższe nad moie. „
(*Margraf przerywaiąc.*) Co to, to ſłuży dla mnie, abym poznał iak mocno ieſt kochanym. (*czyta.*) “ Margraf
„ d'Hercy ciebie adoruie, iego wſpa-
„ niałość chciała poświęcić moiey
„ dawney przyiaźni, miłość, ktorą
„ ma ku tobie. Lecz na cożby mi
„ ſię przydało wydzierać ci męża,
„ ktory wart ieſt ſzukać ſzczęśliwo-
„ ści, ktorą mi los odbiera bez po-
„ wrotu? Nie pſuiąc mu nadziei, o-
„ wzem zachęciłem, i... „ (*tu Margraf wyczytać nie może.*) i... to ſłowo

zmazane, muſzę opuścić; coż daley? " Jeſt, i... powodzenia, i chciałbym.. Zdaie mi ſię że chciał wyrażić: „ Zyczę powodzenia. „ Ale go to ſłowo wiele koſztowało, i dla tego ciężko przeczytać. Ten liſt ieſt wyśmienity, i ſam bym lepiey podyktować nie potrafił. Otoż ieſt i ona, zapewne mi ią przyſyła Emilia. Daley muſzę kończyć moie dzieło.

SCENA V.

ANIELA, MARGRAF.

ANIELA.

EMILIA, ktorą ſpotkałam, powiedziała, że mnie ſzukaſz.

MARGRAF.

Tak ieſt Mościa Dobr.

ANIELA.

I coż mi W.Pan powieſz?

MARGRAF.

Chciey przeczytać ten Bilet, on cię obiaśni lepiey, niż bym ia mogł opowiedzieć.

ANIELA.

(*bierze Bilet, otwiera, i poznaie rękę Valkura.*)

Tego Biletu. . . . ia nie powinnam. . . .

MARGRAF.

Czytay, czytay M. Dobrodziko, może nie przenikaſz, co ſię w nim zawiera.

ANIELA, *czytay pocichu.*

MARGRAF, *na ſtronie.*

Jak ſię mieni na twarzy! Ach iak ſzczere i czułe wzruſzenie!

ANIELA, *czytaiąc poł głoſem.*

O Boże! *owſzem zachęciłem, i. . . .*

MARGRAF.

Jeſt tam przy końcu ſłowo, którego podobno nie przeczytaſz, ale to chciał wyrazić, *życzę powodzenia.*

ANIELA.

Jużem przeczytała.

MARGRAF.

I coż M. Dobrodziko, co na to odpowieſz?

ANIELA.

Jakto! W. Pan chceſz ſerca... które ſobie kto inny ziednał?

MARGRAF.

Przeſzkody, ktore mi ſą nie wiadome, rozdzielaią dziś ciebie z twoim kochankiem, ktory cię odſtępuie. Że go iednak przekładaſz nademnie, bynaymniey delikatność moia tym ſię nie obraża, ani miłość właſna nie u-ſ[illegible]rza. Miałem za ſobą wybor Matki, i ieżeli pochwalaſz moie chęci, doſyć mi będzie do uſzczęśliwienia mieć twoy ſzacunek i przyiaźń; znaiąc W. Pannę Dobr. dobrze, pewny ieſtem, że iey obowiązek...

ANIELA.

Tak ieſt, powiedziałam, że wola moiey Matki ieſt dla mnie prawem nayświętszym.

MARGRAF.

Ona ci dała ią poznać.

ANIELA.

Jeżeli pełniąc onę będę mogła odzyſkać iey dobroć, gotowa ieſtem wſzyſtko łożyć; gniew iey do rozpaczy mię przywodzi.

MARGRAF.

Pozwala ona, abyś ſzła za Valkura, ale wieſz dobrze pod iaką kondycyą?

ANIELA.

Wolę umrzeć sto razy.

MARGRAF.

Otoż M. Dobrodziko, gdy nie możesz poyść za niego, racz przynaymniey iednym słowkiem zapewnić szczęśliwość moiego życia.

ANIELA.

Moia Matka na to nie pozwoli.... Ale nadtom się wymowiła.

MARGRAF.

Czy tylko ta trudność ciebie wstrzymuie?

ANIELA.

Chcę mowić z W. Panem otwarcie, i możesz mi wierzyć. Kochałam twego przyiaciela, tak iest, przyznaię się W. Panu; ale nakoniec ten wybor nierozsądny wyciągnął mnie z granic moich powinności, przywiodł mię do utraty zaufania i serca moiey Matki, muszę teraz szukać śrzodka między nią i nim. Niestety! bez oporu odstąpiłam go, a przecie ona moiey powolności nie przyimuie tylko za wykręt.... Nie mam więcey sposobu....

MARGRAF.

Jeżeli W. Panna Dobr. mowiſz to ſzczerze, iako nie wątpię, od niey ſamey zależy, abyś ią nakłoniła ku ſobie.

ANIELA.

Ach mow, nie maſz nic czegobym nie uczyniła.

MARGRAF.

Wſzelkie twoie oświadczenia nigdy iey nie wyperſwaduią, gdyż niechce wierzyć że ſą prawdziwe. Ona iutro chce iechać, więc dozwol, niech iedzie. Na Melitę zlała wſzelkie ſwoie prawa nad tobą, zaczym przyſtań, abym był twoim mężem nayſzczęśliwſzym ktory cię przyimie na łono ſwoie.

ANIELA.

O! nieba, śmieſzże mi to radzić? Jakże? bez moiey Matki, ia....

MARGRAF.

Pomniy M. Dobrodziko, że ten ieſt iedynie ſpoſob bydź iey poſłuſzną, inaczey wieſz dobrze, że nie pozwoli; a ieżeli mi odmowiſz, przyznay przynaymniey, że ſię nie myli na twoich ułożeniach.

ANIELA.

To i dobrze; iuż tedy W. Pan ſtanowiſz moy los. O gdybym za to odzyſkać mogła iey ſerce i miłość!

MARGRAF.

Ale czy daieſz mi W. Panna Dóbr. ſłowo?

ANIELA.

Daię. Znaſz moie ſentymenta, bynaymniey cię nie zwodzę.... Możeſz zaufać moiemu obowiązkowi, ale ſerce moie. . . .

MARGRAF.

Doſyć na tym, reſztę czas ułatwi. Zegnam W. Pannę Dobr. Znać powinnaś iak ważną ieſt rzeczą kryć ſię z tym ſekretem aż do wyiazdu Celanii; gdyby ſię o nim dowiedziała, pomyśliła by ſobie, że to ieſt nowym wybiegiem na uięcie oney.

ANIELA.

Potrafię milczeć, a przyrzeczenia moie ſą nieodmienne.

MARGRAF.

Nadewſzyſtko proſzę cię, abyś przed Melitą nic nie wſpominała.

ANIE-

ANIELA.

Ach! bądź ſpokoyny.

MARGRAF.

Kontent ieſtem zupełnie. Zegnam cię.... Ale pozwoliſz mi ieſzcze upraſzać o ten Bilet Valkura, ieſt to chluba dla mnie, ktorą chcę zachować abym w czaſie pokazał go Celanii.

ANIELA.

Oto ieſt.

MARGRAF, *na ſtronie.*

Już tedy ſkończyłem moią Rolę. Muſzę poyść oznaymić Emilii o pomyślnym ſkutku oney.

SCENA VI.

ANIELA, *ſama.*

DZięki Bogu, otoż ieſtem ſama.... Ach cożem uczyniła? Cożem obiecala?... Nie doſyć żem ſię wyrzekła mego przywiązania, potrzebaż ieſzcze.... Co za wyrazy w tym okrutnym bilecie! ... A iednak on mię

kocha. Tak, pomimo tak ſmutnego opuſzczenia, wątpić nie mogę o iego ſercu.... Nie oglądam go więcey, iutro wyieżdża. Trzeba mi było przynaymniey przez Margrafa powiedzieć.. Alboż nie mogę mu odpiſać i zapewnić, że zamyſłow iego nie odſtąpię? Nieſtety! zmartwi ſię... Ale co mnie do tego, niech czuie także, czego ſerce moie doznaie. (*Potrzega na ſtoliku wſzelką gotowość do piſania*) Otoż napiſzę. (*Siada i piſze, . . . przerywa ſobie.*) O moia Matko! moia Matko! iakiż ci daię dowod moiego przywiązania! Do czegożeś mię przywiodła! (*piſze znowu, a potym czyta głośno.*) « Poydę za twoią radą, iużem ſię namyśliła. Po wyieździe moiey Matki Margraf d'Hercy odbierze moią przyſięgę, użyię na to tey wolności nieſzczęśney, ktorą mi zoſtawuie przez ſwoie oddalenie. Poddaiąc mię i poświęcaiąc iey woli, dowiodę przynaymniey, że ſię nie poznała na ſercu moim. Przywroci mi ſwoie, a ten powrot ſerca będzie mi bardzo potrzebny na osłodzenie ſrogiego loſu moie-

go. Bądź zdrow, przyimiy ostatni dowod.. (*znowu zaczyna pisać mowiąc.*) Muszę prędzey skończyć, ażeby kto nie nadszedł.

SCENA VII.

CELANIA, ANIELA.

CELANIA, *w głębi Teatru.*

TO ona.... Tak nie inaczey, muszę odiechać; alebym ieszcze raz chciała z nią się widzieć. (*postępuie.*) Ona widzę pisze.

ANIELA.

(*Słyszy szelest, obraca głowę, postrzega Matkę, krzyknie, porywa się, i chowa Bilet.*)

CELANIA.

Tyś pisała? Zkądże ten przestrach?

ANIELA, *drżąca.*

Zapewniam W. Panią Dobr. że nie pisałam nic interessuiącego.

CELANIA.

Pokaż mi papier ktoryś schowała.

ANIELA.

Niechciey się domagać, suplikuię.

CELANIA.

Ja tak chcę, słuchay się.

ANIELA, *na stronie.*

O ucisku śmiertelny! (*głośno.*) Choćbyś miała wywrzeć na mnie cały gniew twoy, nie mogę.

CELANIA.

Jako! ty śmiesz? . . . Corko niewdzięczna i nieposłuszna. . . Ale prawda, iużeś mi nic nie winna; Ja sama zerwałam wszystkie więzy, ktore mnie z tobą wiązały; tylko ci to powiadam, że ta śmiałość przechodzi ieszcze. . . .

ANIELA.

Moia Matko, o moia Matko! serce moie ranisz. Na imie tey miłości ktorey mi dałaś tyle dowodow, przebog! zaniechay tey mowy ktora mnie zabiia.

CELANIA.

Słuchay! Obrażona, roziątrzona do ostatniego, uniosłam się gniewem na

ciebie, co większa, umyśliłam uciekać przed tobą, i porzucić. Wątpiłam o twoiey poprawie, o twoiey szczerości, a przynaymniey tak sobie mowiłam. Jednakże wiedząc że tu iesteś, wstąpiłam, i chciałam się z tobą widzieć ieszcze. . . .

ANIELA

Jakto! tyś mnie szukała? . . . Ach moia Matko! . . . widzisz u nog twoich Corkę nieszczęsną, zlituy się nad iey rozpaczą. . . . To pewna że mnie kochasz, tak iest kochasz, i ieżeli mnie opuścisz, żyć nie zdołasz. . . . Twoie dobrodzieystwa i moia wdzięczność, są dwa węzły, ktorych zerwać nigdy nie potrafisz.

CELANIA.

Ty rozumiesz, że gdy cię opuszczę, gdy się oderwę od ciebie, iż nie wiem co mnie czeka? Możesz ty o mnie zapomnieć, ale ia, ale ia od momentu twego urodzenia zatrudniaiąca się tobą, ia ktoram cię kochała, niestety! wprzód nim ci wiek twoy dozwolił myślić i poznawać; ia ktora przez lat siedmnaście nie miałam

innych myśli i zamyſłow iak o tobie, ſądziſz iż odſtępuiąc ciebie, może dla mnie pozoſtać choć cień ſzczęścia i pociechy ?

ANIELA.

Ach moia Matko! wroć ſię do ſwoich praw nade mną, rządź mną iak ci ſię podoba. Gotowa ieſtem ſłuchać cię we wſzyſtkim z ochotą.

CELANIA.

Pokażże mi zaraz ten Bilet, z ktorym ſię ieſzcze w ten moment kryieſz przede mną.

ANIELA.

Nie moy to ieſt ſekret, o ktory ſię domagaſz.

CELANIA.

A iuż też tego doſyć! Jako! Gdy ia ci otwieram moie ſerce, gdy widziſz moie przywiązanie i powolność, ty śmieſz. . . .

ANIELA.

Przebog! czegoż chceſz odemnie?

CELANIA.

Nie, bynaymniey, nie chcę więcey nic od ciebie, nie chcę i ſłyſzeć więcey. . . . Prawda, mogłam o wſzy-

ſtkim zapomnieć, wſzyſtko darować, ale to oſtatnie niepoſłuſzeńſtwo dopełnia miarki moiego zagniewania.

ANIELA.

Już dobrze, kiedy tak chceſz pozwalam.

CELANIA.

Nie ma iuż czaſu, puść mię. (*chce odchodzić.*)

ANIELA.

Momencik. Poſłuchay mnie.

CELANIA.

Nie, bynaymniey. Już teraz wſzyſtkie twoie uſiłowania ſą nadaremne. (*chce wychodzić*)

ANIELA, *biegnąc za nią.*

Moia Matko! . . (HENRYETKA *nadchodzi i zatrzymuie Celanią*) Mościa Dobr. moment. I P. Margraf d'Hercy proſi aby z nią mogł mowić, nim odiedzieſz.

CELANIA.

Czego on chce ode mnie?

HENRYETKA.

Ja nie wiem. Powiedział, że ma coś bardzo ważnego iey powiedzieć. Melita idzie z nim. Ale otoż iuż ſą.

SCENA VIII.

CELANIA, ANIELA, HENRYETKA, MARGRAF, MELITA.

MARGRAF.

DAruy mi W. Pani Dobr. że przeszkadzam do iey wyiazdu. Muszę iey wyiawić sekret, ktory mnie dotyka. Pozwol niech się ostatni raz wytłomaczę. Proszę abyś mnie słuchaiąc zebrała iak możesz wszelką przytomność. (*do Melity.*) Powiedziałem iuż W. Pani Dobr., że całe moie uszczęśliwienie iest w iey ręku, nie tłomacząc się daley. Przyobiecałaś mi że się nie sprzeciwisz moim chęciom, iakie tylko bydź mogą. Otoż ie teraz chcę oświadczyć.

MELITA, *na stronie.*

Co za tryumf będzie dla mnie.

MARGRAF.

Kocham, a kocham gorąco, i W.Pani Dobr. możesz iednym słowem. . . .

MELITA.

Mow Margrafie bespiecznie.

ANIELA, *na stronie.*

Coż on to chce mowić?

MARGRAF.

(*Do Melity wskazuiąc na Celanią.*)

Jeymość Dobrodzika zlała na nią wszelkie prawa, ktore miała nad swoią Corką, a iey Siostrzenicą. Jesteś teraz Panią iey losu. Otoż to iest ona, Aniela mowię, o ktorą u nog twoich żebrzę.

MELITA. *na stronie.*

O nieba! coż ia słyszę?

CELANIA.

Ja nie rozumiem Margrafie....

ANIELA.

Ale M. Panie, na co odkrywać?...

MARGRAF, *do Celanii.*

Jeszcze raz powtarzam M. Dobrodziko, zbierz wszystkę twą przytomność. Po sekretney twey rozmowie z Emilią, odebrałem od niey ułożenie, ktore natychmiast wykonałem. Oto iest relacya całey osnowy bardzo rzetelna. Mowiłem z Valkurem, ktory mi nayszczerzey wyznał, że

nie czyni ſobie żadney nadziei; w czym, aby mnie przekonał, oto ieſt M. Dobrodziko liſt, ktory piſał w moich oczach, podpiſany ieſt do Jey M. Panny Anieli, chciey go przeczytać. (*oddaie Bilet, Celania go czyta.*)

MELITA, *na ſtronie.*

Jakże niegodziwie ze mną poſtąpił!

HENRYETKA, *na ſtronie.*

Pani Melita ma ſmutną minę.

ANIELA.

Ale chciey mi W. Pan wytłomaczyć oſobliwy ſpoſob ſwoiego poſtępku?

MARGRAF.

Moment cierpliwości Mościa Dobrodziko, a wſzyſtko ſię odkryie.

CELANIA, *przeczytawſzy Bilet.*

Ach Margrafie! iuż zaczynam dochodzić końca, dla ktoregoś to wſzyſtko uczynił. Ale kończ.

MARGRAF.

Zyſkawſzy ten Bilet Mościa Dobrodziko, oddałem go Jey M. Pannie Anieli, proſząc aby była czułą na moie ku niey przywiązanie; ta chcąc bydź powolną na roſkazy Matki i

onę przeprosić, na wszystko zezwoliła. Umowiliśmy się więc czekać poki nie wyiedzieśz, a na ten czas miałem przypomnieć Melicie deklaracyą ktorą mi uczyniła, że się nie będzie sprzeciwiać moiemu szczęściu.

CELANIA.

Czy to podobna?

MARGRAF.

Tak iest, to iest szczera prawda. Ja z J. Panną Anielą przyrzekliśmy sobie ukryć przed tobą tę intrygę, boiąc się abyś nie rozumiała, że iey posłuszeństwo nie iest szczere....

CELANIA.

O wielki Boże! co za sentymenta niezwyczayne!... Lecz, coż widzę?



SCENA IX.

CELANIA, ANIELA, HENRYETKA, MARGRAF, MELITA, EMILIA, VALCOURT.

EMILIA.

No, moy Braciſzku idźmy, iakże ſię opieraſz!

VALCOURT

Ale czego chceſz? Na co mnie ciągnieſz poniewolnie?

EMILIA.

Grzeczności po tobie wyciągam.

CELANIA.

Ach moia kochana przyiaciołko! czegożem ſię to dowiedziała?

EMILIA.

Poczekay troche i ia potrzebna ieſtem do wyłuſzczenią tey oſobliwości. Przychodzę zapewnić cię o prawdzie tego wſzyſtkiego co ci Margraf powiedział, i przydać żeśmy tę

całą rzecz między sobą ułożyli, że twoia Corka zwiedziona wcale naszym niewinnym podstępem w momencie rozmyśliła się, że moy Brat... słowem że iestes Matką i przyiaciołką naymilszą.

CELANIA.

Ach moia Corko! a ow Bilet?

ANIELA, *wyimuiąc go z kieszeni.*

Oto iest.

CELANIA, *wziąwszy czyta.*

VALCOURT.

Czy sen? czy omamienie?

MELITA, *na stronie.*

Mamże znieść tak okrutny affront?

CELANIA.

(*rzucaiąc się na łono Corki.*)

Moie dziecię, a iam cię obwiniała!... Ach przyiaciele moi, wyście mi powrocili moią Corkę.

ANIELA.

Mama, iuż mi więc daruiesz?

CELANIA.

Mogłamże wątpić o twoim sercu! ach ia sama iestem winna.

HENRYETKA.

Nic tego nie poymuię.

EMILIA, *do Melity.*

Ja rozumiem, że W. Pani możesz oddać swoią Plenipotencyą, gdyź wcale iey się na nic nie przyda.

MELITA.

Cała ta Komedya iest bardzo dobrze grana, pochwalam dowcip Aktorow. Jadę zaraz do Paryża i opowiem wszelkie szczegulności; spodziewam się, że Publiczność będzie się miała czym zabawić na moment. (*wychodzi, i mowi na stronie idąc.*) Muszę ukryć moy gniew, i wstyd sprawiedliwy.

SCENA X.

i Ostatnia.

CELANIA ANIELA, HENRYETKA, MARGRAF, EMILIA, VALCOURT.

EMILIA.

ODchodzi odkryta, dosyć została ukaraną.

CELANIA.

Zapomniymy o niey na zawſze. Ale ia iakże naprawię moie nieſprawiedliwości? Nie mogę bydź pocieſzona, poki nie ugruntuię na zawſze ſzczęścia dla moiey Corki. Valkur; weź ią z rąk przyiaciołki, ktora ci ią z chęcią oddaie. Kochacie mnie oboie, dobrzeście mię o tym przekonali, na coż mi więcey; ſtało ſię zadoſyć moim chęciom. Całe życie moie będzie dla was poświęcone, cieſzyć ſię będę waſzym przywiązaniem, waſzym ſzczęściem, ktore będzie moim.

VALCOURT.

Ach Mościa Dobrodziko! Coż ci mogę na to odpowiedzieć? Czytay w ſercu moim, możeſz łatwo poiąć co czuie.

ANIELA.

Już tedy Mama ciebie odzyſkuię? Ach życie mi przywracaſz! (*do Emilii i Margrafa.*) Jakżem wam obowiązana za waſze ſtarania!

CELANIA.

To mnie należy im dziękować i kochać na zawſze. Niech ſię cieſzą z ſwoiego dzieła. Przyſtąpcie, Valkur day mi ſwoią rękę. (*Valcourt przyſtępuie, klęka i daie rękę, Celania bierze za rękę Anielę*) Już teraz ona do ciebie należy. Oddaię ci co mam naymilſzego.... w nadgrodę tego dobrodzieyſtwa nie odſtępuy mnie nigdy; kochay ią, bądź iey uſzczęśliwieniem, a tak uczyniſz zadoſyć dla mnie.

VALCOURT.

U nog twoich poprzyſięgam, że żyć nie będę tylko dla ciebie, abym cię przekonał o mey wdzięczności rownie, iak i o przywiązaniu; a w ten moment, gdzie mię czyniſz nayſzczęśliwſzym, chciey zawierzyć, że przyiaźń tyle przyczynia ſię do moiego ſzczęścia, ile miłość ſama.

ANIELA.

(*upada do nog trzymaiąc za rękę Celanią, ktora drugą ściſka Valkura.*)

Tak Mama, nigdy ciebie nieodſtąpiemy, naſzą będzie pierwſzą powin-

nością

nością i nayſłodſzym obowiązkiem ten czyſty i święty ſentyment, ktorego ieſteś celem; dzieląc ſerca naſze pomnażać będzie naſze przywiązanie wzaiemne. Nie mogę kochać tylko co tobie ieſt miłego, nie mogę bydź ſzczęśliwą tylko wraz z tobą

CELANIA, *podnoſząc ich.*

O moia Corko! o moia kochana Anielo, pierwſzy i prawdziwy celu wſzyſtkich chęci ſerca mego, znaſz dobrze, że ſzczęście moie nie zależy tylko od ciebie. Sądź więc ſama, ſądź ieżeli go mam bydź pewna; Ja ieſtem wzaiemnie twoim, kochay mnie, ieſtże co więcey ieſzcze do życzenia?

EMILIA.

Co za widok przenikaiący! (*do Margrafa.*) Otoż ieſt W. Pana dzieło! Ach iak niecnotliwi oſzukuią ſię, że źle czynią! Gdyby wiedzieli co za roſkoſz czynić dobrze!

MARGRAF.

To ieſt prawdziwe ſzczęście ktore napełnia duſzę bez pomieſzania, gdyż cnota tyle ma wdzięków, że nadgra-

dza zawſze ſowicie trudy dla niey poniesione.

HENRYETKA.

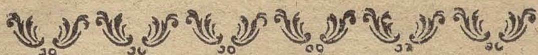
Dalibog prawda, niech żyie cnota! Jeden zły potrafi wſzyſtko wzburzyć. Dopierośmy płakali, a ſkoro Melita wyiechała, wſzyſcy weſeli. Dla pokoiu Społeczności bogdayby wſzyſcy co iey ſą podobni, byli nazawſze od niey oddaleni.

Koniec piątego i Oſtatniego Aktu.



AMANT BEZIMIENNY

KOMEDYA.



OSOBY.

Leontyna, *Wdowka młoda.*

Dorota. *Przyiaciołka Leontyny.*

Graf *de* Clemengis.

Rozalia, *Pokoiowa Leontyny.*

Pikard, *Służący Grafa.*

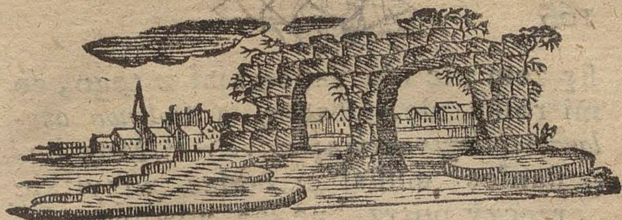
Ofæmon, *Mędrzec ſtary przy Leontynie.*

Johanka, *Dziewczyna ze Wſi.*

Kolin, *Parobek Amant Johanki.*

Pisarz.

Scena w Dobrach Leontyny, o 60 *mil od Paryża.*



AMANT BEZIMIENNY,
KOMEDYA w PIĄCIU AKTACH.

AKT I.

SCENA I.

OFEMON, *sam.*

(*Ogląda śię na wszystkie strony, czy nie ma kogo. Siada, i wyiąwszy list z kieszeni mowi.*)

PIĄTA godzina, wszyscy wyszli na spacyer. Poki sam iestem, muszę przeczytać list Pana Grafa. . . . Zdaie mi

ſię żem nic nie zapomniał z tego, co mi roſkazuie. Obaczę. (*Dobywa okularow i czyta, chrząka....*) " Moy po-
„ ſtaniec muſiał ci oddać wſzyſtkie
„ rzeczy potrzebne na wiadomy fe-
„ ſtyn. . . . Wierſzyki i informacye
„ ściągaiące ſię do tego. Pamiętay
„ dobrze, żebyś nie był poznanym,
„ żeby Wieśniaczka umiała doſkonale
„ grać ſwoią rolę. . . . Słowem moy
„ kochany Ofemonie, idzie tu o u-
„ ſzczęśliwienie życia mego. Pamię-
„ tay mowię, pod iaką kondycyą u-
„ mieściłem cię przy Leontynie. „
(*przeczytawſzy mowi.*) Będzie tu we Czwartek.... we Czwartek, to dziſiay. To właśnie dobrze, będzie kontent z moiey uſilności. ... Co to za oſobliwſza rzecz to przeznaczenie! Ja będąc poważnym Profeſſorem Językow i Scyencyi, ſtałem ſię narzędziem Intrygi miłośney, naydziwacznieyſzey i oſobliwey! ... Słowem ieżeli mi ſię uda, ſzczęście dla mnie pewne. Ale ieſzcze ſobie nie mogę obiecywać ſkutku pożądanego. Leontyny głowa bardzo twarda. Wſzy-

ſtkie moie uſiłowania na tym ſię kończą, żem ią uczynił ciekawą. To iey wychowanie Paryſkie mało mi wſzyſtkiego nie popſuło. . . . Co za kobieta oſobliwſza! co za ſtałość! co za upor przy ſwoich ułożeniach!.. Ale cicho, ktoś idzie.

SCENA II.

ROZALIA, OFEMON.

Rozalia.

Ach! M. Panie Ofemon, przychodzę ci oznaymić nowinę bardzo pocieſzną. Pan Graf de Clemengis, twoy dawny uczen iedzie; iuż ieſt iego kuryer.

Ofemon.

Bardzo dobrze, wielce mnie zadziwiaſz. Zdawało ſię że wcale zapomniał o Leontynie. Od ośmiu mieſięcy iakeśmy go nie widzieli; nie wiem czy choć raz piſał do niey.

ROZALIA.

Ta niedbałość tym ieſt dziwnieyſza ztąd, że go Jeymość zawſze poważała, ieſzcze nim — Wdową zoſtała. On iey wielkie przyſługi uczynił, gdyż będąc w ściſłey przyiaźni z iey mężem nie raz ich pogodził. Jeymość wiele dla niego zachowała wdzięczności, powtarzaiąc częſto, że to ieſt ieden człowiek, ktorego ſzacuie, a ztąd naybardziey, że ſię nigdy w niey nie kochał.

OFEMON.

To bardzo dobrze czynił, gdyż wieſz, iak Leontyna owdowiawſzy obeſzła ſię z temi, ktorzy ſię o nią ſtarali.

ROZALIA.

Och to prawda, że do zamęścia wſtręt ma wielki. Jakoż ſtaw ſię w iey oſobie. Ona poſzła za ſwego Amanta, ktorego ſobie między tyſiącem innych wybrała, i wieſz iak była za nim nieſzczęśliwa. Słuchay tedy, to niemaſz nic dziwnego, że ona ſparzywſzy ſię na iednym, teraz ieſt oſtrożna.

OFEMON.

A potym że ona nic nie lubi, ieſt ładna, młoda, bogata, wolna, guſtu dobrego. Niepotrzebuie tylko Xiążek, Muzyki, i niepodległości. Byłaby ſzalona, gdyby miała iść drugi raz za mąż. Upewniam cię, że Graf potrafi dobrze utrzymać w niey te ſentymenta. Jeſt to człowiek, ktory ſię brzydzi ożenieniem, i bardzo ieſt dalekim od kobiet.

ROZALIA.

Ale to ieſt ſzpetnie, żeś go napoił takiemi ſentymentami.

OFEMON.

Ach dla Boga! Jam ſię do tego nic nie przyłożył; on ſię takim urodził, ſurowy, pogardzaiący miłością, i dziki z charakteru i ułożenia.

ROZALIA.

Otoż nam właśnie takiego potrzeba. Moia Pani unika wſzelkich fetow i przymilenia. Daleka od świata, od ſwych Amantow, o ſześćdzieſiąt mil od Paryża, ſama iedna z ſwoią przyiaciołką Dorotą, iak tylko tu ſtanęła, zaraz powiedziała, że tylko iednemu

Grafowi może pozwolić, aby się z nią bawił sam na sam. Co do mnie od ośmiu dni iak tu iesteśmy na tey osobności, umieram z tęsknoty, bardzo żałuię tey czeredy okazałey, ktorą Leontyna była otoczoną, a osobliwie tego Amanta osobliwszego, tego Swiatownisia, tego. . . . Ach dla Boga powiedzże, iakeś go nazywał?

OFEMON. *uśmiechaiąc się.*

A! naszego Sylfa.

ROZALIA.

Tak, tak Sylfa! . . . Sylfa. Jak piękne imie! Ach iakbym ia kochała Sylfa, ia.... Ale iak spłoszony biedny nieborak! Czy nie przyiedzie on tu za nami? Jabym go chciała....

OFEMON.

Oy nie przyiedzie; przez oddalenie Leontyny stracił wszelką nadzieię

ROZALIA.

Jak ia go żałuię!

OFEMON.

A ia bynaymniey, to dziwak. Ale ale, oto iuż godzina, w ktorey Leon-

tyna ma powrocić ze ſpacyeru na czytanie, muſzę poyść do niey. Byway zdrowa. (*wychodzi.*)

SCENA III.

ROZALIA, *ſama.*

TO dobry człowiek ten uczony Ofemon. On mowi iak nie ſwoy, ieſt zimney krwi, i ma w ſobie śmieſzną iakąś powagę. Gdyby nie bawił moiey Pani ſpekulacyą i naukami, lubiłabym go. Ale ktoś idzie, ach! to Pikard. Tym lepiey, iuż dawnom z nim gadała do woli, teraz ſobie nadgrodzę.

SCENA IV.

ROZALIA, PIKARD.

PIKARD.

PRZEcież cię znalazłem. Już od godziny ciebie ſzukam. Ale Rozalio

powiedz mi, coż to tu za przygotowania czynią? Widziałem ſkrzypicielow, gotowość do tańcow, i pełny dziedziniec Dziewcząt wieyſkich.

ROZALIA.

To weſele. Johanka i Kolin pokochali ſię. Byli oni paſterzami, nayubożſi z całey wſi. Jeymość czuła i dobroczynna wypoſaża ich i żeni tego wieczora.

PIKARD.

Jakto! nie obraża ią widok weſela? Powiadano mi, że umyślnie przyiechała do tych Dobr, unikaiąc ſwoich Amantow.

ROZALIA.

Nic prawdziwſzego moy biedny Pikardzie.

PIKARD.

Właśnie moy Pan dziś tu będzie znaydował ſię do iey guſtu. Będą mieli obszerną materyą do mowienia o miłości i zamęściu.

ROZALIA.

Czy wieſz o naſzey hiſtoryi?

PIKARD.

O iakiey hiſtoryi?

Rozalia.

O naſzym Amancie niewidzianym... bezimiennym. . . .

Pikard.

Ja! nie; ſłyſzałem coś troche.... Przyiechałem.

Rozalia.

Otoż tak, ſłuchayno, ona ieſt ciekawa. Będzie temu bliſko ośm mieſięcy, w czaſie odiazdu twego Pana, na początku zimy, w mieſiąc potym iak poczciwy Ofemon przywiązał ſię do nas. . . .

Pikard.

Ale dla Boga, porzuć twoie Epoki, a przyſtąp do rzeczy, ia nie ſtoię o datę.

Rozalia.

Już dobrze, w ten czas Leontyna odebrała liſt bezimienny. . . . Czy wieſz co to liſt bezimienny?

Pikard.

Tak, tak właśnie.

Rozalia.

To dobrze, otoż ten liſt był miłośny. . . . Było w nim pełno, miłość. . . . ſzacunek. . . . że. . . . Imaginuieſz ſobie? . . .

PIKARD.

Zapewne. Daymy pokoy liſtowi. Coż potym?

ROZALIA.

Takich liſtow odebrała pięć lub ſześć.

PIKARD.

Ten bezimienny był wielkim Piſarzem.

ROZALIA.

A potym co Wierſzy, co Pioſneczek! Och między inſzemi nauczyłam ſię iedney bardzo ładney, nie wiem czy teraz będę ią umiała.

PIKARD.

Słowem. . . .

ROZALIA.

Słowem, codzień zrządzał iakąś awanturę nową, iuż Muzykę, iuż Fety. . . .

PIKARD.

Fety bezimienne?

ROZALIA.

Zapewne, koncerty pod iey oknami, na promenadzie.... Wſzak wieſz że miała dom w laſku *de Boulogne*, otoż co wieczora były śpiewania ro-

ſkoſzne, Faierwerki, z iey Cyfrą i imieniem wſzędzie wyrytym, nie maſz drzewa, na ktorych by nie było wierſzy i wyrazow miſternych.

PIKARD.

I nigdy Leontyna dociec nie mogła przez kogo to było?

ROZALIA.

Nigdy, i upewniam cię, że nic nie opuściła na docieczenie. Ten nieznaiomy aż dla mnie rozciągnął ſwoie przyſługi. Więcey niż trzydzieści razy znalazłam w moim pokoiu, Suknie, kleynociki, i rozmaite prezenta; patrzayno oto i ten pierścionek ieſt od niego.

PIKARD.

Co u diabła! to koſztowny; i iakże to nie można ſię było domyśleć?...

ROZALIA.

Leontyna daremnie ſobie głowę ſuſzyła; zrazu podeyrzenie padło na wſzyſtkich, ktorzy z nią na ten czas byli w kompanii, a potym ſobie mowiła; " ten nie ma na to głowy, ow
„ ieſt nadto nudny i niedyſkretny,
„ tam ten wcale ſię nie kocha. „ . . .

Nakoniec po długim namyśleniu i badaniu wyperſwadowała ſobie, że nigdy nie znała i nie widziała tego Amanta oſobliwſzego.

PIKARD.

Jakże ona mogła tak głowę zawrocić?

ROZALIA.

Och, on ią znał z reputacyi, może też ią widział na Komedyach, Operach, może z nią gadał kiedy na Balu.... otoż ieſt cośmy rozumiały.

PIKARD.

I to iuż trwa od ośmiu mieſięcy?

ROZALIA.

Jeſzczeby i dotąd trwało, gdyby ſię tu była nie zakopała.

PIKARD.

To coż ieſt w tym oſobliwſzego. Mnie ſię zdaie że to ieſt Czarownik.

ROZALIA.

I pfe, powiedz raczey że duch.... Jeſzcze Sylf, to może... Ale wzaiemnie powiedź mi, coście wy robili przez tak długi czas niebytności?

PIKARD

PIKARD.

O! moia historya nie będzie tak piękna, iak twoia. Nayprzod moy Pan trzy miesiące bawił u swego Regimentu, potym siedział w swoich Dobrach w Pikardyi. Tam nie widział nikogo, pisał przez cały dzień, a potym czasem porwawszy się wyszedł sam, i nie powracał, aż w ośm lub dziesięć dni.

ROZALIA.

Jakto! sam?

PIKARD.

Wcale sam.

ROZALIA.

Co za chimera!

PIKARD.

To się zowie bydź Filozofem.

ROZALIA.

To szkoda, będąc tak piękney urody, tak przyiemnych obyczaiow, tak dystyngwowanym... Ale cicho, ucis̈zmy się. Otoż moia Pani i Dorota.



SCENA V.

ROZALIA, PIKARD, LEONTYNA, DOROTA.

LEONTYNA.

ROZALIO, czy Suknia dla Johanki już zrobiona? Czy dobrze na niey leży? Proszę żebyś ią ubierała.

ROZALIA.

Jeymość Dobr. będzie kontenta.

DOROTA.

A Johanka ieszcze bardziey.

ROZAŁIA.

Och! ona szaleie z radości. Musi to bydź rzeczą bardzo piękną to zamęście?

LEONTYNA, *na stronie.*

Ale twoy Pan nie przyieżdza?

PIKARD

W rzeczy samey ma tu bydź.

LEONTYNA.

Poydź Rozalio, powiedź Johance, że iey intercyzę podpiszę za godzinę.
(*Rozalia i Pikard wychodzą.*)

SCENA VI.

LEONTYNA, DOROTA.

Leontyna.

To weſele bardzo mnie kontentuie. Jak ieſt rzecz ſłodka czynić dobrze! Ale iednakże żałuię tego, żem tak łatwo zezwoliła na związek tych dwoch oſob, które mi potym podobno nie będą za to obligowane.

Dorota.

Ach dla Boga! Zawſze iedne myśli, i wſzyſtko do ſiebie obracaſz. Ale czy ieſt ſłuſzna czynić ſobie wnioſki tak powſzechne?

Leontyna.

Kochałam, byłam kochana, a przecie wieſz iaki moy los był!

Dorota.

Kochałaś z wielką delikatnością i chucią. Podeyzrzliwa, popędliwa, nieſpokoyna, ſama ſobie czyniſz życie nieſzczęśliwe.

LEONTYNA.

Muſiałam ſię kontentować przyiacielem. Widziałam codzień iego uſilności zmnieyſzone, przywiązanie nie żywe i omdlałe po tak gorącey miłości. Bez powodu zazdrości, bez przyczyny pozorney ſtałam ſię gniewliwą, bom ſię znalazła godną politowania. W krotce ſtałam ſię naprzykrzoną i nie miłą. Obruſzyłam ſię, gdy mi śmiano roſkazywać z gory, gniew, zaciętość złączyły ſię z miłością nieukontentowaną, a odtąd iuż nieznałam granic. Gdyby nie Graf, wieſz dobrze, do iakich oſtateczności byłabym przyſzła. Słowem zoſtałam znienawidzona. . . . O ſmutne wſpomnienie owych czaſow okropnych niezgody i wymowek wzaiemnych!

DOROTA.

Gdybyś była wzaiemnie kochaną, iakażby ſzczęśliwość wyrownała twoiey?

LEONTYNA.

Toż to ieſt co było rzeczą niepodobną. Kochał on mnie ſwoim ſpo-

ſobem, iak Męſzczyzni zwykli kochać, niedbaiąc o mnie, wylewaiąc ſię na wſzelkie prożne roſtargnienia, które go odrywały odemnie. Nie miałam procz iednego intereſſu, procz iednego celu, procz iedney myśli nad niego. Ach! co moie było za ſzaleńſtwo czekać i wyciągać powrotu, na który człowiek nayczulſzy nie mogłby nigdy zezwolić.

Dorota.

Otoż ieſt mniemanie, któremu ia ſię przeciwię. Zgadzam ſię, że on nie miał duſzy dość delikatney, dość przywiązaney iak twoia, ale wierz mi, że ſą podobne. Sądziſz o ludziach z uprzedzeniem. Alboż na to nam czułość ieſt dana, abyśmy czyniły niewdzięcznych? Nie, to bydź nie może. Naprzykład, czy rozumieſz że ten nieznaiomy, ktory cię ściga tak dawno, nie ieſt zdolny ſtałości, delikatności, i miłości nadzwyczayney?

Leontyna.

Ta pochwała ieſt zbyteczna.

DOROTA.

Byłoby nieſprawiedliwością nie przyznać mu oney. Zaſtanow ſię nad iego poſtępowaniem. On ci oświadcza, że cię kocha od lat ośmiu, nie śmie ſię z tym odezwać, aż we dwa roki iak zoſtałaś wdową. Nayprzod uſzanował twoią cnotę, potym twoy żal; co za przyſtoyność, co za uczciwość! Nakoniec począł czynić ſwoie przyſługi; ale pomiarkowawſzy żeś była daleka od nowych związkow, oświadcza ſię przed tobą, iż ieſt bez nadziei, że umyślił nigdy ſię nie obiawiać, i że ſzczęście ktore ma z tobą mowić o ſwym przywiązaniu, potrafi nadgrodzić wſzelkie umartwienia, ktoreś mu ſprawiła. Przyday do tego wſzelkie grzeczności, przymilenia, i zatrudnienie uſtawiczne i tak ſtałe o tobie iedney. Prawdziwie ia ci ſię wydziwić nie mogę, iak możeſz bydź zimną na to wſzyſtko; gdyby tak na mnie, czuię iżby iuż dawno ciekawość przewiodła do chęci żywſzych i gwałtownieyſzych.

LEONTYNA.

Kto, iabym miała kochać ieſzcze? Ach ſamo wſpomnienie przywodzi na myśl nieſzczęścia przez czas iuż zatarte, zdaie mi ſię, że na nowo otwietne w ſercu moim. To ſerce ſmutne i wyniſzczone wyrzeka ſię na zawſze ſentymentu, który nie ieſt ſtworzony dla niego. Mam lat dwadzieścia pięć, ieſtem wolną, chcę zachować przynaymniey ten zyſk dla ſiebię, który mi pozoſtaie, a nadgrodę ſzczęścia, które ieſt ſzczerą chimerą, chcę ſzukać w pokoiu, i onego ieżeli można używać.

DOROTA.

I tyż to tak mowiſz? Od połtora roku nigdym cię nie widziała tak nieſpokoyną iak teraz. Ponury ſmutek ſkrycie pożera twe ſerce, twoia duſza czynna i żywa potrzebuie gwałtownego ſentymentu. To głębokie ſchronienie, w ktorym ſię zakopałaś, każe mi ſię lękać o ciebie, gdyż będzie w tobie pomnażać pamięć i myśli, które należałoby rozrywać. Do oſobności trzeba przynieść z ſobą pokoy, a nie ſzukać w niey onego.

LEONTYNA.

To mieysce mi ſię podoba, to mieſzkanie dzikie bez wytworu bardzo mi przyſtoi. Lubię te ſkały, które nas otaczaią, zdaią ſię bydź dla mnie mieſzkaniem niedoſtępnym. O gdybym w nim na zawſze była zapomniana; iak ia tego żądam!

DOROTA.

Otoż myśli wcale weſołe! Kobieta naypięknieyſza w całym Paryżu, zamknięta w ſtarym Zamku murem opaſanym, chce w nim mieſzkać całe życie!.. Co do mnie, nie mam ia upodobania w ſkałach. Przyimuię z chęcią udział twey oſobności, ale nie twego oddalenia od ludzi, i przyznam ci ſię, że ſię lękam, aby oddaliwſzy ſię od świata, humor twoy dziki niewypędził ieſzcze i przyiaźni z mieſzkania od ciebie tak ukochanego.

LEONTYNA.

Nie, ona iedna będzie tu przyięta, dla niey tylko ieſtem czułą. Samo wſpomnienie na Grafa w ten moment czyni mi ukontentowanie. Będę go oglądała z radością, ieſt to człowiek

naygodnieyſzy i nayuczciwſzy ze wſzyſtkich com znała. Oboiętny, poważny, zimny, alę pewny, przyiaciel gruntowny i prawdziwy, wſzyſtkie ma przymioty potrzebne do ziednania przywiązania ſtałego.

DOROTA.

Zdaie mi ſię żem ſłyſzała, iż miałaś iść za niego?

LEONTYNA.

Prawda ieſt, miało to naſtąpić. Ja miałam lat piętnaście, a on dwadzieścia trzy. Byłam ieſzcze w Klaſztorze, moi Rodzice życzyli go ſobie bardzo, ſami ſię z tym oświadczali, ale on nie chciał, powiadaiąc żem zbyt młoda. Z tey wymowki żaden wſtręt nię naſtąpił, bośmy iedno drugiego nie znali. We dwa lata poznałam go wyſzedłſzy na świat, zaraz po moim zamęściu.

DOROTA.

Po tym zdarzeniu można mu było zawrocić głowę, aby ſię rozkochał. Gdyby tak na mnie, byłabym może ſkuſzona.

LEONTYNA.

Ja zaś bardzom była daleka od tego! A choćbym nawet pomyśliła, toby się było nie udało.

DOROTA.

Tak, wrzeczy ſamey należało ci się zemścić. Lecz mowiąc po prawdzie, bardzo żałuię, żeś za niego nie poſzła, możebyś była za nim ſzczęśliwſzą.

LEONTYNA.

Nie, zapewne, choć bym go i kochała; Charakter tak zimny nie zgodziłby się z moim.

DOROTA.

Słowem, iuż tedy pozwalaſz, żeby cię tu przyiaźń ſzukała; a kiedy bez twego pozwolenia i miłość tu zayrzy?

LEONTYNA.

Co za ſzaleńſtwo! ktoż może z nią się pokazać?

DOROTA.

Naſz nieznaiomy. . . . Ja się przed tobą nie taię, że się go codzień ſpodziewam.

Leontyna.

Sądzić należy, że go moie ułożenie odrazi.

Dorota

Ale gdyby ſię tym nie zrażał?

Leontyna.

Bardzobym go żałowała.

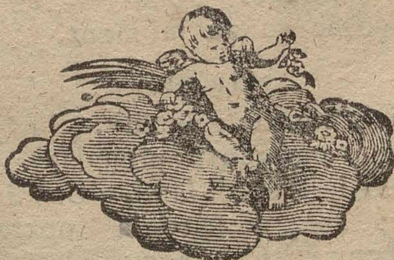
Rozalia, *nadchodząc.*

Mościa Dobr. widziałam poiazd na gościńcu, to zapewne iedzie JP. Graf, ale ieſzcze ieſt daleko.

Leontyna.

Nic nie ſzkodzi; wynidźmy przeciw niemu. (*wychodzą.*)

Koniec pierwſzego Aktu.



AKT II.

SCENA I.

GRAF, OFEMON.

GRAF.

JAKO! nie ma tu Leontyny?

OFEMON.

Postrzeżono karetę na Gościńcu i rozumiano że W. Pan iedzieſz, więc Leontyna wyſzła na przeciw niemu, a żeś ſię puścił inną drogą, muſiałeś ſię z nią minąć. Posłałem iuż ia za nią; będzie tu za moment.

GRAF.

O! iakżem nie zręczny. Pożytkuiąc z tego momentu pogadaymy troche poki ieſteśmy ſami. Czy iuż uczyniłeś rozporządzenia potrzebne do Feſtynu? Czy pewny ieſteś, że ſię nie wyda?

Ofemon.

Już Mości Dobr. bądź ſpokoyny. Przebrałem ſię iakeś mi roſkazał, zmrok był dobry, i iuż ledwo było można doyrzeć w chałupie tych poczciwych ludzi; powiedziałem im, żem przyſzedł od Doroty, która chce uczynić ſurpryzę Leontynie, i dla tego mocno proſiłem, aby zachowali ſekret, dodaiąc oycu i corce, iż unikaiąc wſzelkiego podeyrzenia mocno im zalecam, aby nic nię powiadali, gdyby ona przypadkiem to poſtrzegła. Wſzyſtko ſię to ſtało onegday. Feſtyn będzie tego wieczora. Mam ia moich Aktorow na oku tak, że oni nie wiedzą o tym.

Graf.

A Johanka będzie umiała ſwoią piosneczkę?

Ofemon.

Spiewała ią wczoray przez cały dzień, każde ſłowo tak pamięta, iakby w piętnaſtym roku.

Graf.

Muzykanci przyiechali, ukryłem ich tu w ſąſiedztwie, a że używam do

nich tegoż ſamego człeka, który mi iuż tyle razy ſłużył, i który mię nie zna i nie widział, choćby był ſpytany, nie boię ſię, aby miał odkryć. Zdałem także na niego Faierwerk i Illuminacyą.

OFEMON.

Co tu ſtarania, co oſtrożności, co pieniędzy to wſzyſtko W. Pana koſztuie!

GRAF.

Ach! moy Boże! iak mi żal, gdy ſobie wſpomnę, żem odrzucił ſzczęście, za którym dziś z takim utrudzeniem ubiegam ſię!

OFEMON.

W ſamey rzeczy, gdybyś ſię był w ten czas chciał ożenić, nie doznałbyś teraz tyle kłopotow. Ale tę myśl trzeba odrzucić.

GRAF.

To prawda, ona mię do rozpaczy przywodzi. Co za życie moie od lat dzieſięciu! Co za pomieſzania doznałem, gdym uyrzał Oſobę w związkach, odemnie wzgardzoną! Byłem ſpokoyny i ſzczęśliwy, poki namię

tność gwałtowna nie zmieſzała mey ſpokoyności i nie opanowała mey duſzy! Będąc przyiacielem mego przeciwnika nieczułego na tyle wdzięków, zazdrościłem ſzczęśliwości, którey nie znał ſzacunku! Na dopełnienie moiego udręczenia trzeba było, aby mi Leontyna powierzała ſwych dole gliwości. Co za ſerce w niey poznałem! co za czułość, co za delikatność! W ten czas ieſzcze z rozpaczy i żalu chciałem uciekać, ale mię wſtrzymała uymuiącemi słowy: (*Przyiaźń twoia ieſt mi potrzebna, możeſz mi bydź użytecznym.*) Zaczym zoſtałem i poświęciłem dla niey moie życie; iednakże znaiąc moią ſłabość, ſam ſobie nie dowierzałem. Broniąc ią i daiąc rady, powierzchownie okazywałem ſię bydź zimnym i ſurowym, nie pozwoliłem ſobie użyć nawet wyrazu przyiaźni. Słuchałem iey ięków, patrzałem na łzy płynące z oczu na pozor z kamienną nieczułością. Jedno słowo, iedno mowię słowo byłoby mnie zdradziło. Jak bowiem mogłem iey powiedzieć bez

wyrazu miłości, że ubolewam nad nią, że mi ieſt miłą? Tak zaiſte, milczeć wcale, zdało mi ſię rzeczą daleko znośnieyſzą.

OFEMON.

Ale czy W. Pan rozumieſz, iż gdybyś był Leontynie tę całą rzecz opowiedział, nie byłaby tkniętą? Nie należałoż tak uczynić, niżeli od czaſu iey owdowienia, unikać przed nią i pogrążać ſię w kłopoty tak oſobliwſzey Intrygi?

GRAF.

Nieſtety! Jakże ieſzcze ieſtem daleko od nadziei pomimo tego com dla niey dotąd czynił! Sam przyznaieſz w twoich liſtach, że ſłabą maſz nadzieię; zważże czy mogłem ſię zaraz oświadczyć?

OFEMON

To prawda, ona ieſt bardzo uprzedzona o Męſzczyznach; zdaie ſię rzeczą niepodobną, aby miała drugi raz poyść za mąż. Gdy ią ſłyſzę mówiącą, rozpaczam; gdy zaś ciebie ſłucham, widzi mi ſię, że muſiemy ſwego dokazać.

GRAF

GRAF.

Trzeba nam ſię wyſtrzegać, żeby nas razem nie zaſtała. Ktoś idzie, pewnie. ... Nie zapomnieyże o moim liście.

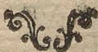
OFEMON.

Bądź ſpokoyny. (*wychodzi.*)

SCENA II.

GRAF, *ſam.*

ACH muſzę ſię zaſpokoić nad podeyrzeniem, które go mnie mieć może. Choćbym miał mniey roſtropności, ona mnie nie poznaie. . . . Muſzę ſię z nią widzieć. . . . i ſam pomiarkować. . . . Ale ſłyſzę ią. . . . to ona. . . . Ach iak ieſtem zmieſzany! Muſzę ſię ułożyć, i powrócić do moiey ſkrytości.



SCENA III.

LEONTYNA, GRAF.

LEONTYNA.

PRZEcieżem W. Pana znalazła. Zywa chęć oglądania ciebie, spoźniła moie ukontentowanie.

GRAF.

Słyszałem o twoiey łaskawości. (*na stronie.*) Nie mogę do niey mowić, czuię w sobie zalęknienie.

LEONTYNA.

Chciałam się z tobą widzieć sam na sam, abyśmy po długim niewidzeniu mogli się z sobą nagadać do woli. Ale iesteś widzę znużony, zfatygowany. Może potrzebuiesz spoczynku? Widzę cię wcale zmienionym.

GRAF.

Wiele ucierpiałem... Zdrowie mam nie naylepsze. . . . Ale oglądaiąc W. Panią Dobr. zapominam o wszystkim.

Leontyna.

Jakże tedy Grafie, co mowiſz na to, żem ſię oddaliła od świata?

Graf.

Ten układ może nie będzie trwał na zawſze.

Leontyna.

Przepraſzam W. Pana, nie wiele ſobie czynię w tym przykrości. Wyrzekam ſię związkow płochych, i uciech których nigdym nie ſzukała.

Graf.

Więc W. Pani Dobr. umyśliła nigdy nie wchodzić w nowe związki?

Leontyna.

Ach! nigdy.

Graf.

Tym lepiey, winſzuię W. Pani Dobr.... ſzczerze.

Leontyna.

Po śmierci mego męża codzień mocniey w tym gruntuię ſię.

Graf.

Bardzom kontent. Powiadano mi o iednym Amancie... o iakimś bezimiennym, który cię mowią kocha,

i okazuie to rożnemi ſpoſobami. . . Mowiono mi o nim wiele rzeczy.

LEONTYNA.

Czy nie oſobliwſza to Awantura?

GRAF.

A przynaymniey dziwna. U inſzych kobiet byłoby to może ſpoſobem naypewnieyſzym pozyſkania ſerca. One lubią wſzyſtko co ieſt oſobliwſzego, ſą letkomyślne, prożne! wſzyſtko co nazywaią grzecznością, iako to wierſzyki, Feſtyny, zwykło im zawracać głowy.

LEONTYNA, z marſem.

Co za ſurowa krytyka, nic ſię W. Panu w nas nie podoba.

GRAF.

Ale ia W. Panią Dobr. wyłączam.

LEONTYNA

Znam ia dobrze, com powinna ſądzić o tey grzeczności.... Ale wracaiąc ſię do tego bezimiennego, z którym ſię tak źle obchodziſz, przyznam ci ſię, że on ieſt pierwſzym z ludzi, który mi oświadcza miłość prawdziwą i delikatną.

Graf

Ja go nie poymuię. Za co ſię nie nazwać? Co znaczy ten ſpoſob poſtępowania?

Leontyna, *żwawo.*

Ach! dla Boga, boiaźń nieodſtępna miłości, iak ſam powiada; wyiawiaiąc ſię, zna dobrze iakby ſzkodował; nie mogłby do mnie więcey ani piſać, ani czynić przyſług, którychbym nie cierpiała.

Graf.

Więc on ieſt bez nadziei?

Leontyna.

On ſobie podchlebia, że oſobliwość iego poſtępowania z czaſem mnie zobowiąże, i że go przełożę nad innych; a nie śmieiąc ſobie obiecywać że pozyſka moie ſerce, ſpodziewa ſię przynaymniey że ſię odmieni moie zdanie, i to ieſt co powtarza we wſzyſtkich ſwoich liſtach.

Graf.

Jeżeli to ſzczerze czyni, potrzeba ubolewać nad takim ſzaleńſtwem.

Leontyna.

Szaleńſtwem!... Co za wyraz!..

Ale W. Pan maſz racyą, gdyż to ieſt wielkie ſzaleńſtwo kochać. Mąż moy który mnie uczynił tak nieſzczęśliwą, tak myślał iak i W. Pan. Byłam w oczach iego bezrozumną,, byłam i w oczach W. Pana. . . . Serce czułe, ſerce takie iak moie, uznałoby mnie za rozſądną.

GRAF, *na ſtronie.*

Czy to mnie obwinia. . . . Ale kończmy. (*głośno.*) Na koniec, iuż ſię wſzyſtko ſkończyło. Bardzom z tego kontent. To ugryzienie ſprawiedliwie ci ſię przykrzyło.

LEONTYNA.

Pokazałam że mi ſię nie podobało, gdyż dla tego ſamego tak prędkom wyiechała.

GRAF.

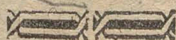
Spodziewam ſię, że będzie ſzanował twoią oſobność.

LEONTYNA.

Nie wątpię o tym, owſzem życzę dla iego ſzczęśliwości. . . Ale co nam tu powie Rozalia?

GRAF.

Ma minę zadyſzaną.



SCENA IV.

LEONTYNA, GRAF, ROZALIA.

ROZALIA.

(*Biegąc z prędkością i trzymaiąc koszyk ustroiony kwiatami, w którym iest związany Bukiet.*)

Ach Mościa Dobrodziko!

LEONTYNA.

Coż to masz?

ROZALIA.

To koszyk.... to Bukiet.... Znalazłam go w Gabinecie W. Pani Dobr. na Gotowalni.... Oto i list który ią lepiey oświeci.

LEONTYNA, *biorąc list z prędkością.*

Ten sam iest charakter.... Tak, to od niego zapewne.... (*otwiera list i czyta po cichu.*)

ROZALIA.

On nas ściga.... Ja mowiłam dobrze... Ach nie czuię się od radości.

GRAF.
(*na ſtronie, przypatruiąc ſię Leontynie.*)
Drży cała. . . . Czerwieni ſię. . . .
Jakaż nadzieia łudzi ſerce moie!

LEONTYNA, *przyczytawſzy.*
Poydź ſobie Rozalio.

ROZALIA.
Moscia Dobr.

LEONTYNA.
Poydź ſobie mowię.

ROZALIA.
(*ſtawia koſzyk z Bukietem na ſtole i mowi odchodząc.*)
Dalibog, gdybym była na twoim mieyſcu, nie krążyłby on tak daleko.
(*wychodzi.*)

SCENA V.

LEONTYNA, GRAF.

GRAF, *po krotkim milczeniu.*
I iakże M. Dobrodziko, ieſt on tu?

LEONTYNA.
Przyznam ſię, że mnie to mocno zadziwia. . . . Na czytay liſt.

GRAF, *biorąc go.*

Muſzę zobaczyć iaki ſtyl. (*czyta*)
" Jażbym to miał bydź Mościa Dobr.
„ dla którego uciekaſz przed świa-
„ tem! Tak powolna miłość mogłaż
„ ci ſię nie ſpodobać? Nie chce ona
„ i nie wyciąga niczego; poprzyſięga
„ że ſię więcey nie oświadczy i nie
„ pokaże oczom twoim nieſzczęśliwa.
„ Jedna ieſt rzecz tylko, którey żą-
„ dam, to ieſt dowiedzieć ſię, ieżeli
„ ten hołd tak czyſty nie ściągnął
„ twoiego gniewu, a może i niena-
„ wiści. „ GRAF, *przerywaiąc.* I to
nazywa że niczego nie żąda, nic no-
wego nie wyciąga?

LEONTYNA.

Czy będzieſz ſię tak zaſtanawiał
nad każdym ſłowem? Czytay daley.

GRAF, *czyta.*

" A może i nienawiści. Spoſob do
„ okazania mi tego, ieſt ten. Tego
„ wieczora będzie weſele. Będzieſz
„ muſiała na nim pokazać ſię; otoż
„ ieżli będzieſz raczyła ſobie przy-
„ piąć ten Bukiet, który ci ofiaruię,
„ nie podchlebiaiąc ſobie, aby moie

„ przysługi były ci przyiemne, będzie
„ znakiem przynaymniey że ich nie
„ odrzucasz. Jeżeli go nie weźmiesz,
„ poczytam to za dowod pewny
„ wzgardy i nienawiści, a za tym
„ skaże mnie na wygnanie i milcze-
„ nie wieczne. Pamiętay Pani, że
„ łaska, o którą żebrę, nic innego zna-
„ czyć nie będzie procz dowodu nie-
„ oboiętności; gdyż to iest, na czym
„ się kończą chęci Amanta naywier-
„ nieyszego, powolnego, i nayprzy-
„ wiązańszego. „ (*oddaiąc list.*) Jak sztuczny wynalazek!

LEONTYNA.

Jakto sztuczny?

GRAF.

Zapewne, ten list komu innemu uczyniłby wiele zatrudnienia.

LEONTYNA, *z niecierpliwością.*

Komu innemu? Proszę W. Pana, niechciey mię wyłączać od innych kobiet. Alboż mię nie możesz chwalić bez ich pokrzywdzenia?

GRAF.

Jako! chciałabyś bydź porownaną z niemi? Bardzobyś na tym wiele straciła.

Leontyna.

Ten liſt zapewne ieſt zatrudniaiący.

Graf.

Więc ſłuſznie powiedziałem, że ieſt ſztuczny.

Leontyna.

Ach! zapewne ten co go piſał, nie myślał w nim użyć ſztuki i wybiegow.

Graf.

Słowem, iednak cię zatrudnia.

Leontyna.

Jego przyſługi pewnie nie czynią mi ukontentowania żadnego, i on o tym wątpić nie może., gdyż kto kogo kocha, to przed nim nie ucieka, i w moim ſtanie.... Ale pokazywać mu że go nienawidzę, byłoby rzeczą nieprzyzwoitą i śmiechu godną. On ieſt.... i powinien bydź dla mnie rzeczą oboiętną, a nadto nic więcey; co W. Pan rozumieſz?

Graf.

Ale ieżeli mam prawdę powiedzieć, wyznam, że w iego poſtępowaniu znayduię płochość obrażaiącą.

LEONTYNA.

Płochość! Ach nie myślałam, aby go o nią obwiniano.

GRAF.

Jednakże pomimo wszelkiey iego uniżoności, śmie ustawicznie przed tobą gadać o swoiey miłości. W każdey okoliczności z nią się popisuie, nigdy cię nie odstępuie, i wszędzie za tobą ściga, zakrada się, i kryie w mieyscach gdzie przemieszkiwasz, podgląda skrycie twoie postępki, twoie mowy, patrzy na ciebie, i słyszy mowiącą, a może i w ten moment ciebie szpieguie, i czyni sobie głupie nadzieie. Tego wieczora będzie się znaydował w gaiu, do którego się schodzi wesele, bo się spodziewa ciebie oglądać przybraną w swoy Bukiet.

LEONTYNA.

Czy rozumiesz że tam będzie?

GRAF.

Oczywiście w Bilecie wyraża.

LEONTYNA.

Ale czy znasz co dziwnieyszego?

Graf.

Ach, przyznaię, że nigdy miłość nie wygurowała do tego ſtopnia. Wcale ma głowę zawróconą, on cię adoruie, i iedynym iego ieſteś celem.

Leontyna.

To prawda, ſłuſznie mowiſz kochany Grafie, wart on ieſt politowania.

Graf.

O co to, to co inſzego. Nie moge ia litować ſię nad człowiekiem, który zdaie ſię kochać w ſwych utrapieniach, których ſam ieſt wynalazcą, i nie umie zwyciężać ſwey namiętności, która nigdy gory nie bierze, tylko przez naſzą winę.

Leontyna.

Nie mow nic o miłości, bo prawdziwie nie znaſz ſię na niey.

Graf, *z ſpokoynością zmyśloną.*

Tey też nieumieiętności winienem całą ſpokoyność życia mego.

Leontyna, *z roztargnieniem.*

Czy on ſię przebierze? czy ſię pokaże? . . .

Graf.

O kim to mowiſz?

LEONTYNA, *z pomieſzaniem.*

Myślałam o tym coś dopiero mowił; że ma mnie widzieć na dziſieyſzym weſelu. ... Bardzom ciekawa, iakim ſpoſobem. Ja z natury ieſtem niezwyczaynie ciekawa. . . . Co w tym naprzykład, ieſtem kobieta.

GRAF.

Może przyidzie przebrany po chłopſku.

LEONTYNA.

O! ſama mina, ułożenie, ſtąpienie, wſzyſtko go wyda.

GRAF.

Może ma fizognomią poſpolitą, przez co ſię łatwo w gminie ukryć potrafi, a możeś go iuż nie ſto razy widziała, nie ſądząc, aby on był.

LEONTYNA.

Jeſtem pewna, że go poznam między tyſiącem.

GRAF.

Ale iakim ſpoſobem?

LEONTYNA.

Ja nie wiem, alebym ſię założyła.

GRAF.

Ja ci nie radzę. . . . Mogłabyś utracić.

LEONTYNA.

Powiedź mi moy kochany Grafie, cobyś czynił na moim mieyſcu?

GRAF.

Co?

LEONTYNA.

Tak ieſt, tego wieczora.

GRAF

Nie wiem, a potym ia ciebie nie rozumiem.

LEONTYNA.

Ach! dla Boga. . . . z tym bukietem. . . .

GRAF.

Ach, ach, iuż zapomniałem; co w tym, nie umiem radzić, to do ciebie. . . .

LEONTYNA.

Albo rozumieſz, nie byłoby nierozſądkiem i niegrzecznością odmowić?

GRAF

Czyliż nie mowi on, że ieżeli iego bukietu nie przyimieſz, więcey o nim nie uſłyſzyſz? W takim razie lepieyby

bydź na godzinę niegrzeczną, chcąc ſię od niego uwolnić na zawſze.

LEONTYNA, *pomieſzana.*

Zapewne. ... I ia ieſtem tego zdania. Ale mi ſię zdaie, nie ma tego wyraźnie w iego liście. Jednakże muſzę go ieſzcze odczytać i zobaczyć.

GRAF, *na ſtronie.*

Muſzę ią zoſtawić; ale w ten moment iak mi ieſt ciężko od niey ſię oderwać! (*głośno.*) Uſtępuię i ia tym czaſem, gdyż mam piſać kilka liſtow. (*na ſtronie odchodząc.*) Ach! zaczynam oddychać. (*wychodzi.*)

SCENA VI.

LEONTYNA, *ſama.*

(*Siada przy ſtoliku, na ktorym ſtoi koſzyk z bukietem.*)

JEGO humor ſurowy i dziki, barziey mi ſię nie podoba, iak nigdy.

Ma

Ma w ſobie iakąś oſchłość, która mnie od niego odraża. Przy rozumie, cnotach, i przymiotach nawet, nie ieſt miłym. Ach! to dla tego, że nie ma duſzy czułey, nie poymuie tego, iak można kochać z żywością. W iego radach ieſt iakaś oſtrość, która obruſza, a nie przekonywa. Może też on ma i prawdę. Nie potrzeba, abym ſię ſtroiła w ten Bukiet. (*Bierze go w ręce, i przypatruie ſię koſzykowi*) Nie należy tą powolnością ośmielać miłości nierozſądney. Co za miłość! Jak ia boleię nad biednym który iey doznaie! Otoż właśnie tak kochałam. Cała ta awantura mnie zaſmuca, zadziwia, i mieſza. Dziś w wieczor widzieć mnie będzie! Jeſt w tym pałacu, może ſtoi bliſko mnie? (*Porywa ſię i obraca z zaleknieniem.*) To Dorota. Wſzyſtko mię dziś mieſza i ſtraſzy.



SCENA VII.

LEONTYNA, DOROTA

LEONTYNA.

Poydź kochana przyiaciołko, mam ci wiele rzeczy powiedzieć.

DOROTA.

Rozalia i Graf o wſzyſtkim mi powiedzieli.

LEONTYNA.

To dobrze, i coż mi radziſz? Ale wprzod czytay ten liſt. (*podaie go, a Dorota czyta po cichu.*) Nie taię ſię przed tobą, że moia ciekawość ieſt nadzwyczayna, ale oraz lękam ſię, aby zezwalaiąc na to, czego żąda, nie powziął iakich nadziei, czego ſobie nie życzę. Jeſtem bardzo pomieſzana. Racz mną kierować w tym razie.

DOROTA, *przeczytawſzy.*

Jak się możeſz w tym chwiać, kiedy on ſam mowi, że nie uzna tey

łaſki tylko za dowod oboiętności? Coż na tym ſtraciſz, gdy mu pod tą kondycyą uczyniſz? Nacoż go wprawiać w rozpacz niepotrzebną. Prawdziwie byłoby to okrucieńſtwem, któregobym ci nie darowała.

LEONTYNA.

Ale on nie przeſtanie czynić ſwoich uſług, których ia unikam.

DOROTA.

Twoy odiazd powinien mu był oczy otworzyć, że o te przyſługi nie dbaſz. Zna on dobrze, iak ſobie ma w tey mierze poſtąpić. Nieprzydaway do iego nieſzczęścia, że go nienawidziſz; byłabyś nieſprawiedliwą i nierozſądną.

LEONTYNA.

Ale gdy pona że ſię nim nie brzydzę, będzie za mną łaził, i kochał; mamże to znoſić, i utraciwſzy taką ſpoſobność oddalenia go na zawſze, mogęż ſię potym uſkarżać?

DOROTA.

Zezwalaiąc na to czego żąda, nie obowiązuieſz ſię w niczym. Zdaie ſię

że przewidział twoią boiaźń, gdyż ſobie odpowiada wcześnie, i tłomaczy ſię iaśnie. Noſząc ten Bukiet nie okażeſz mu ſwoich chęci, tylko mu po proſtu niby powieſz: *Ja ſię tobą nie brzydzę.* Jeſzcze ci raz powiadam, że ieſt rzeczą niepodobną, abyś go niewidziała. Dać mu dowod niegnawiści, byłoby nieſłuſznością i głupſtwem nie porownanym. A do tego, piękny proiekt, odpędzić go na zawſze! Poſtanowiwſzy go nigdy nie kochać, powinnaś przez wdzięczność ſtarać ſię go poznać, i ſama ciekawość powinna ci bydź powodem do oglądania końca tey Awantury tak oſobliwey, i iak długo ieſzcze trwać może.

LEONTYNA.

Wſzyſtkom ia to myślała. Łatwo mnie przekonywaſz, ale on ſię nigdy nie obiawi.

DOROTA.

Ach! toż ſamo nie ieſtże ciekawością, doświadczyć! Jak na mnie, dałabym nie wiem co, żebym go w ten moment widzieć mogła. Jego

liſty, iego wierſze, iego poſtępki, okazuią dowcip, wdzięk, i miłość którey mieć nie może tylko człowiek naydelikatnieyſzy i naymilſzy z ludzi. Nie ieſtem Romanſową, i miłości nie lubię z natury, ale gdybym nie była wzruſzoną i czułą na tę awanturę, muſiałabym bydź wcale kamienną.

Leontyna.

Ja nie wiem czy ty lubiſz miłość, ale widzę że maſz głowę nadto żywą i że kochaſz rzeczy oſobliwe, toż ſamo dowodzi.

Dorota.

Twoia krew zimna mocno mnie gniewa.

SCENA VIII.

LEONTYNA, DOROTA, ROZALIA, JOHANKA, KOLIN.

Rozalia.

MOścia Dobr. oto ſą, Piſarz, Johanka, i Kolin.

LEONTYNA.

Każ in wniść.

(*Rozalia wychodzi.*)

DOROTA.

Uczyniſz tedy ich ſzczęśliwemi. Radabym żeby dziś wſzyſcy byli kontenci.

LEONTYNA, *uśmiechaiąc ſię.*

Dla twoiey przyſługi poſtaram ſię.

ROZALIA,

(*powraca, trzymaiąc iedną ręką, Johankę, a drugą Kolina, Piſarz idzie za niemi.*)

LEONTYNA.

Przyſtąpcie moie dzieci. I iakże Johanko, ieſteś kontenta?

JOHANKA, *kłanaiiąc ſię.*

Ach tak, Mościa Dobr.

DOROTA.

A ty Kolinie?

KOLIN.

Oy będę dziś tańcował z całego ſerca.

LEONTYNA, *do Kolina.*

O połnocy Johanka będzie twoią na całe życie. Wiele ona ma lat?

JOHANKA.

Siedmnaſty, Mościa Dobr. a on ośmnaście ſkończy w tym Mieſiącu.

Leontyna, *na ſtronie.*

Ten wiek, ich miłość, ich ślub, wſzyſtko mi przywodzi na pamięć.... O Boże! co za wſpomnienie.

Dorota.

Johanka prawdziwie ładna.

Rozalia.

To ia fryzowałam ią.

Leontyna.

Powiedz mi Kolinie, kto z was oboyga lepiey kocha? Odpowiedź ſzczerze.

Kolin.

Nigdym o tym nie pomyślił.

Johanka.

I ia nie.

Leontyna.

Ale teraz?

Johanka.

Zarowno, nie prawda Kolinie?

Kolin.

Poſzedłbym o zakład.

Johanka.

Pewna ieſtem.

Leontyna.

Czy uważaſz rożnicę w ich odpowiedzi? Ona ieſt pewna, nie wątpi.

DOROTA.

Ach mnie ſię zdaie, że i Kolin nie źle odpowiedział do twoiey myśli.... To ieſt męſzczyzna, muſi bydź mniey czulſzym.

LEONTYNA.

Gdzie ieſt Piſarz? Niech ſię przybliży.

ROZALIA, *do Piſarza.*

Przyſuń ſię W. Pan. (*Piſarz pokazuie intercyzę Leontynie, a ona podpſuie.*)

KOLIN, *do Johanki.*

Czy widziſz ty Johanko, co ona robi? to naſz ślub. Jak ia żałuię że nie umiem czytać! Jakbym kontent był wytłomaczyć to piſmo!

DOROTA, *do Leontyny.*

Czy uważaſz co Kolin mowi? To ſtanie przynaymniey za odpowiedź Johanki.

LEONTYNA.

Idźcie moie dzieci, winſzuię ſobie żem podpiſała waſzę ſzczęście, oby było czyſte i trwałe! Czekaycie na mnie w Laſku, przyidę ia tam za godzinę. (*Rozalia ich wyprowadza.*)



SCENA IX.

LEONTYNA, DOROTA.

LEONTYNA.

BAWI mnie ich otwartość. Co za dzień dla nich szczęśliwy! kochaią się, obowiązuią się kochać na zawsze; spodziewam się, że będą szczęśliwi. Szczęście, moia kochana Doroto, iest podobno tylko dla tey klassy ludzi, nam zaś go wydzieraią prożne rozrywki, i fałszywe uciechy. Nie umiemy w nim smakować, oni go sami tylko używaią. Szczęśliwość spokoyna wkrotce nam się uprzykrzy. Chcemy ią odmieniać, ale ona od nas ucieka. Oni zaś niczym nie są roztargnieni ani omamieni. Kolin nie odstąpi swoiey Johanki, tylko dla uprawy roli, po pracy zaś stanie mu się milszą i przyiemnieyszą, iako dzieląca z nim wszelkie utrudzenia, będzie razem iego pociechą, towarzyszką, i przyiaciołką. Zaden inny

związek nie potrafi przeszkodzić temu złączeniu tak roskosznemu, we dwoygu tylko na świecie żyć będą; słowem zażywać mogą naywyższego szczęścia, które dla nas iest samą chimerą.

DOROTA.

Otoż iest; susz sobie głowę nad zazdrością tych biednych pasterzow, iesteś ładna, wolna, młoda, kochana, udarowana talentami natury i maiątku. To prawda, Johanka tysiąc razy w lepszym iest stanie od ciebie, bo iest rozsądnieysza. ... Ach! moia kochana przyiaciołko! pokiż będziesz truła goryczą przeznaczenie twoie nayświetnieysze! Więcże twoy rozum, twoia czułość na nic ci się nie przyda, tylko na twoie nieszczęście? Na coż używasz tych tak drogich darow?

LEONTYNA.

Prawdziwym moim pożytkiem było serce czułe. ... Ale i to niestety napełniło życie moie ugryzieniem, na którego wspomnienie wzdrygam się. I coż! gdyby mi dawano świat cały,

abym się wróciła do pierwszego stanu, i wyrzekła się na zawsze mych chuci, które mnie tak udręczyły. . . .

Dorota.

Nigdybyś nie przyięła ?

Leontyna.

Nie zaiste. Wzdycham na to wszystko com ucierpiała ; ale iednak miłe mi iest dla mnie samo wspomnienie. Przypominam sobie momenta rozkoszne którychem doznawała wśrzod moiego utrapienia, i które są sto razy szacownieysze nad życie oboiętne i spokoyne. Jedno weyrzenie ; iedno słowo, ieden moment nadgradza rok cały udręczenia. Prawdziwie nie żyie człowiek, kiedy nie kocha, a choć cel kochania wydarty z serca będzie, miło iest spoyrzeć na ślad, który po nim został.

Dorota.

Ale niedawno byłaś innego zdania, pragnęłaś pokoiu, przyiechałaś go tu szukać.

Leontyna.

Tak iest, pragnęłam. . . Ach sama sobie się przeciwię.

DOROTA.

Ale coż to ia słyszę? Muzyka, posłuchaymy. (*Słyszeć się daie Symfonia zdaleka grana*)

LEONTYNA.

W tym mieyscu Muzyka?

DOROTA.

Czy domyślasz się?

ROZALIA, *biegnąc prędko.*

Ach Mościa Dobr. poydźno, poydź, obacz.... Illuminacyą, Faierwerk.... Fetę.

LEONTYNA.

Fetę? a to za co?

ROZALIA.

Ach czy potrzebaż się o to pytać? To nowa grzeczność bezimiennego.

LEONTYNA.

Czy to bydź może?

DOROTA.

Poydźmy, poydźmy, dowiemy się.

LEONTYNA.

Ja nie wiem gdzie iestem.

DOROTA,

(*zatrzymuiąc się i biorąc Bukiet.*)

A Bukiet?

LEONTYNA.

Nie, zoſtaw go moia Doroto.

DOROTA.

(*Wziąwſzy Bukiet, bierze pod rękę Leontynę*)

Poydź, poydź, co tu ceremonii!

ROZALIA.

Już tedy kiedy naſz Sylf ieſt zawſze ten ſam, nie żałuię więcey Paryża. (*wychodzą.*)

Koniec Aktu drugiego.



AKT III.

Teatr ſię odmienia, i wyſtawia Gay obſzerny, illuminowany, i ozdobiony wieńcami z Roż i Cyframi Leontyny. W pośrzod gaiu ieſt ſiedzenie z darniu przygotowane dla Leontyny.

SCENA I.

JOHANKA, KOLIN.

JOHANKA.

ACH! iak zadziwiemy wſzyſtkich!

KOLIN.

Czy umieſz dobrze twoią Pioſneczkę?

JOHANKA.

Tę co dla naſzey Pani, która nas żeni? O umiem całą na pamięć.

KOLIN.

Jak naſza Pani grzeczna! Szkoda że ieſt tak ſmutna.

JOHANKA.

Ach moy kochany Kolinie, wſzak to ona tak od śmierci ſwego męża, to naturalnie.

KOLIN.

A ty Johanko, gdybyś była na iey mieyſcu, czy także byś ſię ſmuciła?

JOHANKA.

A pſe; otoż piękna myśl w dzień weſela!

KOLIN.

Jak to! a ty płaczeſz? Ach dla Boga, wybacz.

JOHANKA.

Na cożeś mi tak powiedział?

KOLIN.

Ach, moia biedna kochaneczko!

JOHANKA.

No, cicho, cicho. . . . Otoż idą wſzyſtkie Dziewki i Chłopcy ze wſi. (*Przychodzą Wieśniacy ubrani w bieli, ſtawaiąc w koło Johanki i Kolina.*)

JOHANKA.

(*obracaiąc do nich mowę.*)

Pani tu przyidzie. Pamiętaycie dobrze o waſzych pioſneczkach i tańcach, któreśmy powtarzali.

KOLIN.

Już w puł do osmey, przyidzie nie bawiąc.

JOHANKA.

Słyſzę ſzeleſt, to zapewne ona. (*do Wieśniakow*) ſtańcie tam w głębi gaiu. (*Uſuwaią ſię.*) Tam, tam.

SCENA II.

JOHANKA, KOLIN, LEONTYNA, DOROTA, ROZALIA.

LEONTYNA.

(*przybrana w Bukiet, zatrzymuie ſię z zadziwieniem wchodząc do Gaiu.*)

COż ia widzę, co za widok nowy!

JOHANKA.

Pani, oto twoie mieyſce.

LEONTYNA.

Ale Johanko, kto ci powiedział?..

DOROTA.

Ale będziemy ſię wypytywać potym, proſzę, nie mieſzaymy Fety.. Gdzież to ieſt Graf?

ROZALIA.

Oto ieſt, i P. Oſemon idzie za nim.

SCENA III.

JOHANKA, KOLIN, LEONTYNA, DOROTA, ROZALIA, GRAF, OFEMON, PIKARD.

(*Graf zbliża się, a widząc Leontynę przybraną w Bukiet, pokazuie znak radości, który ona bierze za zadziwienie.*)

Leontyna, *na stronie.*

O iakże ieſtem pomieſzana! z iaką miną Graf mi ſię przypatruie! Jak mi ten Bukiet cięży!

Graf, *do Leontyny.*

Jeżeli tu ſię znayduie bezimienny, muſi bydź kontent.

Leontyna.

To Dorota przymuſiła mnie koniecznie.

Johanka.

Już tedy, iuż wſzyſcy ſię zeſzli, zaczynaymy.

Leontyna

Wprzod chcę wiedzieć Johanko, za czyim rozkazem. . . .

DOROTA.

Dayże pokoy proszę, teraz się przypatruy, a potym się dowiesz.

GRAF.

Jeymość Dobr. dobrze mowi. Zapewne ostrożność tak była we wszystkim zachowana, że Johanka nic nie wie przez kogo się to dzieie, więc z tego co usłyszysz od niey, mało się dowiesz.

DOROTA.

No, usiądźmy. (*do Leontyny.*) Poydź na swoie mieysce.

LEONTYNA.

Zostańże tu przy mnie.

DOROTA.

Bardzo dobrze.

LEONTYNA.

Grafie, siądź tu. (*Siadaią wszyscy troie na kanapie z darniu, Leontyna we śrzodku. Pikard i Rozalia odstąpiwszy troche siadaią na ziemi koło siebie. Osemon sam zostaie na drugiey stronie Teatru.*

GRAF, *na stronie.*

Jak iestem pomieszany!

OSEMON. *na stronie.*

Dotąd wszystko idzie dobrze. Muszę uważać ułożenie Leontyny.

DOROTA.

Johanko, iuż możefz zaczynać.

JOHANKA

(uderzywfzy trzy razy w ręce.)

ROZALIA, *do Pikarda.*

Moy Boże, iak we mnie ferce biie! *(Odzywa się Muzyka wieyska. Wieśniacy zaczynaią tańcować, potym z tańcu biorą Johankę i Kolina, i prowadzą przed Leontynę. Muzyka przeftaie.)*

DOROTA.

Co to za ukontentowanie!

PIKARD, *do Rozalii.*

Ja ci mowiłem, że tu mufzą bydź Czary.

ROZALIA.

Cicho, cicho, Johanka śpiewa. *(Johanka śpiewaiąc oddaie wieniec z kwiatow Leontynię. Chor wieśniakow na końcu każdey Strofy powtarza wierfz oftatni. Po fkończoney pieśni, Muzyka zaczyna. Wieśniacy biorą fię za ręce, i odchodzą tańcuiąc. Johanka i Kolin zoftaią. Pikard i Rozalia wychodzą.)*

DOROTA.

Nigdym nie widziała nic pięknieyfzego i dowcipniey ułożonego.

OFEMON, *na ſtronie.*

Dalibog, naſze intereſſa nie źle idą. Leontyna wyraźnie ieſt pomieſzana.

LEONTYNA, *na ſtronie.*

Zapewne on tu był zamieſzany między wieśniakami.

GRAF.

Teraz wypytuymy ſię Johanki.

LEONTYNA.

Dobrze, Johanko odpowiedź.

GRAF.

Jeymość Dobr. chce wiedzieć, kto ſprawuie ten Feſtyn?

JOHANKA, *do Doroty.*

Czy mogę teraz powiedzieć?

DOROTA.

Dobrze, powiedź.

JOHANKA.

I na coż! Pani ma przed oczyma oſobę. . . .

LEONTYNA.

Ktoż mi go daie?

KOLIN.

Tak Mościa Dobr.

LEONTYNA.

Jak to?

Dorota.

Otoż co nowego!

Graf.

Obaczyſz że to ia.

Johanka, *pokazuiąc na Dorotę.*

Nie, to Jeymość.

Dorota.

Ja?

Kolin.

W. Pani, W. Pani.

Dorota.

To nię źle ułożno. Jakto! iam ci powiedziała? . . .

Johanka.

Ale nie, tylkoś mi kazała powiedzieć. . . .

Dorota.

Już ſię domyślam reſzty. Powiedź nam Johanko, iakim ſpoſobem ia w to ieſtem wmieſzana?

Johanka.

To było we Czwartek.

Kolin.

Nie, w Piątek.

Johanka.

Ja ci mowię że we Czwartek.

KOLIN.

Ale dla Boga, to w ten czas iakeśmy powracali pod wieczor.

JOHANKA.

To było. . . .

LEONTYNA.

Ale mnieyſza o dzień, mowcie daley.

JOHANKA.

Otoż tedy we Czwartek. . . . Stara Pani przyiechała do nas.

OFEMON, *na ſtronie.*

Nie tak ſtara.

JOHANKA.

Pytała ſię o mego Oyca, potym o mnie, potym o Kolina, który był tam, a potym zaprowadziła nas do naſzego ſadu, miała za ſobą trzech ludzi.

KOLIN.

Nie, czterech.

JOHANKA.

Ja bo dobrze rachowała.

KOLIN.

I ia także.

LEONTYNA.

Ale przeſtańcie ſię ſprzeczać.

Ofemon.

Jaka uparta bieda.

Dorota.

No, Johanko, wroć się do swoiey relacyi. A ty Kolinie milcz.

Kolin.

Niech mi da mowić.

Johanka.

Oy nie.

Kolin.

Ale. . . .

Leontyna.

Jeszcze raz mowię, skończcież.

Johanka.

Pani, iuż nie pamiętam na czym stanęłam.

Graf.

Na tym, iak stara Pani przyiechała.

Johanka.

Ale, ale, tak, otoż nam stara Pani powiedziała że przyiechała od Pani Doroty, która chce dać piękny Festyn dla Jeymości Dobr. a to w wielkim sekrecie, żebyśmy o tym przed nikim niewspominali. Potym dała mi tę piosneczkę, potym pieniędzy, a potym powiedziała wszystko co ma-

my czynić, potym ſłużący którzy szli za nią oddali nam koſze pełne wieńcow z kwiatow. . . . przytym ſukien wiele. . ., a potym ſtara Pani uciekła. . . . i potym. . . . i iuż wſzyſtko. . . . Coż teraz mowiſz Kolinie?

KOLIN.

Zapomniałaś iedney rzeczy naypięknieyſzey. Zacznę ia z początku.

LEONTYNA.

Nie, bynaymniey, nie potrzeba, Doſyć tego, idźcie ſobie Johanko.

DOROTA.

Idźcie moie dzieci, idźcie do weſelnikow. (*Odchodzą, Oſemon wychodzi także.*)

GRAF.

Ja wiedziałem dobrze, że oni o niczym nie wiedzą.

LEONTYNA.

W ſamey rzeczy Doroto, czy tylko nie ty?

DOROTA.

Tak, tak ia. . . Jakżeś zaraz nie pomiarkowała, oſobliwie z pioſneczki? Romans pełny narzekania i

miłości... to ieſt oczywiſta.... Zaiſte, piękne wrzucaſz pytania.

Leontyna.

Stara Kobieta....

Graf.

O! to zapewne ſię przebrał.... Może to on, ktoż wie?

Leontyna.

Za ſtarą Kobietę! Co za imaginacya!

Graf.

Ale my nie wiemy, w iakim on ieſt wieku.

Leontyna.

To nie podobieńſtwo, aby go można wziąć za ſtarę Panią, zepewne muſi bydź młody.

Dorota.

Jeymość prawdę mowi.

Graf.

Byłoby to iednak bardzo zabawnie, gdyby to był ſtarzec iaki ſzalony, co nam głowy pozawracał.

Leontyna.

Ja nie widzę nic w tym zabawnego, bardziey mi ſię zdaie rzeczą niepodobną.

GRAF.

Z tym wſzyſtkim iednak ta taiemnica zdaie mi ſię ma ſprawiedliwe przyczyny kryć ſię; może albo wiek, albo figura, albo urodzenie iego ſą na przeſzkodzie.

LEONTYNA.

Co do wieku byłoby rzeczą śmiechu godną ſądzić, że ſtarzec zgrzybiały kocha ſię; co do figury łatwo ſię oſzukać można, zwłaſzcza że niedoſtatek urody nadgrodzić może przymiotami rozumu; a co do urodzenia, iego liſty, iego wſpaniałość, iego poſtępki, nie oznaczaią czegoby miał ſię wſtydzić.

GRAF.

Ale gdyby był młody, urody nie odrażaiącey, maiątku uczciwego, i urodzenia podobnego tobie, przecież byś go poznała. Strawiwſzy wiek twoy przy Dworze i na wielkim bardzo świecie, mogłaś go widzieć nie ſto razy. Powiada że cię kocha od lat ośmiu, iakże ſię mógł nie wydać, widząc cię zawſze w kompaniach? Samo ſpoyrzenie byłoby do ciebie

przemowiło. Alboż rozumiesz że się znaydzie na świecie człowiek, aby mogł bydź panem nad sobą, i tak długo ukrywać miłość gwałtowną?

Dorota.

Znał on swoią cnotę.

Leontyna.

On był bez żadney nadziei.

Graf.

Jak można przyyiść do tego stopnia szacunku i poszanowania dla Osoby, którey nie znamy tylko powierzchownie i z samey reputacyi? Milczeć i karmić się skrycie chucią nieszczęsną, ukrywać ią przed oczyma ludzkiemi przez lat ośm, możeż to bydź rzeczą podobną i naturalną?

Dorota.

Jednakże tak iest. Możemy tego nie poymować, ale nie możemy bynaymniey wątpić.

Graf.

Jeżeli tak iest, prawdziwie mnie on interessuie.

Leontyna.

To iest pewna, że ciężko nie bydź ciekawą.

DOROTA.

O co mnie, to łatwo, bo ia ſię nie wſtrzymuię, i całym ſercem pragnę. On mnie rozrzewnia, on mię intereſuie, i radabym żeby ſię tu gdzie w kącie znaydował, i mnie ſłyſzał.

GRAF.

Nie żartuy, on ieſt gotow to uczynić, aniby mnie to zdziwiło, gdyby mi kto powiedział, że co do ſłowa ſłyſzał naſzą rozmowę.

DOROTA.

Wierzę temu, gdyż podobieńſtwo ieſt, że chciał ſię dowiedzieć o zdaniu Leontyny względem ſwego Feſtynu. Jabym ſię założyła, że on ſię tu gdzie ukrywa w iakiey dziurze umyślnie zrobioney. Czy widziſz to wielkie drzewo? z tyłu może wydrążone, pewna ieſtem. . . (*do Leontyny.*) Dla Boga coż ci ieſt! bledniejeſz?

LEONTYNA.

Słabo mi. . . . cierpię bol głowy nieſłychany.

DOROTA.

Trzeba ſię wrocić.

Leontyna.

I nic to, nie ſzkodzi wcale. . . . Już ona mnie tak boli od dnia wczorayſzego.

Graf.

Poydźmy do pokoiu.

Leontyna.

Owſzem, wolne powietrze pomoże mi.... Dobrze mi tu, daleko lepiey, niż bydź zamkniętą w pokoiu.

Dorota.

Wracaiąc ſię do tego com ci mowiła, upewniam że on tu bydź muſi.... Otoż tak, nim ztąd odeydziemy, powiedz mu co grzecznego. Naprzykład, że radabyś go bardzo poznać.

Leontyna.

Co za ſzaleńſtwo!

Graf.

To ſzaleńſtwo ieſt bardzo weſołe. No, Mościa Dobrodziko, przyſtań na to.

Leontyna.

Ale moy kochany Grafie nie zaſtanawiaſz ſię.

Dorota.

Proſzę cię, moia kochana przyiaciołko.

LEONTYNA.

Prawdziwie. . . .

DOROTA.

Ale bardzo proſzę, uczyńże to dla mnie.

GRAF.

Uczyń to dla niey. Coż tu złego?

LEONTYNA.

Ale coż chcecie, żebym powiedziała?

DOROTA.

Ze maſz wielką ciekawość widzenia go. No!

LEONTYNA.

Dobrze, tak, czy iuż kontenci ieſteście?

DOROTA.

O, to niedoſyć, muſiſz ſię obrocić do drzewa i ſama powiedzieć.

LEONTYNA.

Co za dziecinność! co za uprzykrzenie!

GRAF.

Otoż żebyś ſię nas pozbyła, mow to wciąż. Wyſtaw ſobie, iak on biedny ieſt nieſpokoyny, ſłuchaiąc tey naſzey ſprzeczki, iak on pragnie

żebyśmy ciebie nakłonili, pewnie musi bydź bardzo strapiony.

Leontyna.

Ale Grafie, ty iesteś dziś humoru prawdziwie wesołego. Musiała ci Dorota udzielić swey wesołości, bardzo ci ona do twarzy.

Graf.

Chwaląc mnie chcesz się wykręcić, abym zapomniał o co cię prosiemy. Ale. . . .

Dorota.

No, obroć się do drzewa.

Leontyna.

(*obraca się, a tym czasem Graf wysuwa się gładko, i kryie za drzewem.*)

I iakże, czy tak?

Dorota.

Tak, tak, bardzo dobrze, no, mow teraz.

Leontyna.

Trzeba bydź bardzo dobrowolną iak ia iestem.

Dorota.

Dowiedźże tego i skończ.

LEONTYNA.

(Obraca ſię do drzewa.)

Potraſiłes mię nabawić wielkiey ciekawości, i radabym cię poznać.

DOROTA.

Coż ia widzę? drzewo ſię ruſza.

LEONTYNA.

O Nieba!

GRAF.

(wyſkoczywſzy ſzybko z za drzewa, klęka u nog Leontyny, która w pierwſzym momencie zadziwienia upada na ręce Doroty.)

Poznay nakoniec tego, który cię adoruie, oto go widziſz przed ſobą.

DOROTA.

Ach! czy to Graf?

LEONTYNA.

Prawdziwie rozumiałam... Naſtraſzyłeś mnie.

DOROTA.

Ot to wyśmienity żart, wyśmięnity! Zrazu wcalem ſię oſzukała, takem ſię zmieſzła, żem go nie mogła poznać.

LEONTYNA, *do Grafa.*

Przelękłeś mnie niewypowiedzianie.

GRAF

GRAF.

Bardzo W. Panią Dobr. przepraszam, ale chciałem sztuczkę zrobić umyślnie dla Doroty, widziałem ią tak ciekawą.

DOROTA.

To bardzo ładnie, bardzo ładnie, zupełniem była oszukana; ieszcze się śmieię iak sobie wspomnę. Ale iak grał swoią rolą, z iaką miną Amanta upadł do nog twoich! oświadczaiąc się... wymawiaiąc słowa... ten który cię adoruie.... Ach iak on to wymowił! prawdziwie, iakby było w rzeczy samey.

LEONTYNA.

Ale to iuż poźno iest. Musiemy poyść do wieczerzy. Bol głowy coraz mi się powiększa.

DOROTA.

Czy byłeś we śrzodku drzewa? Widziałam, iak się wszystkie gałęzie zatrzęsły.

GRAF.

Nie, stałem za drzewem.

DOROTA.

A to koncept przewyborny! Prawdziwie, nie widziałam cię ieſzcze nigdy ani tak weſołego, ani tak miłego. Założyłabym ſię, że muſiſz grać Komedyą przecudownie, maſz naturalną ſpoſobność....

GRAF.

Podług materyi.

DOROTA.

Tego tylko poiąć nie mogę, iakeś ſię nie rozśmiał, widząc naſze miny przeſtraſzone. Gdyby tak na mnie....

LEONTYNA.

Poydźcie do ſtołu, poydźcie.

DOROTA, *wychodząc.*

Piękna Scena wcale!

LEONTYNA.

Bardzo ieſtem chora.

GRAF, *na ſtronie.*

Już co teraz mogę ſię ſpodziewać.

(*wychodzi.*)

Koniec trzeciego Aktu.



AKT IV.

Teatr ſię odmienia, i prezentuie Gabinet Leontyny.

SCENA I.

LEONTYNA, *ſama.*

ONI ſiedzą u Stołu, a iam ſię przecie uwolniła. Nie wiem ſama co mi ieſt, tak ſmutną mam duſzę. . . . Ich weſołość była dla mnie uprzykrzoną, oſobliwie Dorota mnie gniewa. . . . Ach! wſzyſtko mi ſię dziś ſprzeciwia. Ale ktoż tam idzie mi przeſzkadzać?

SCENA II.

LEONTYNA, OFEMON.

LEONTYNA.

A czy to W. Pan M. Panie Ofemon? Czego chceſz odemnie? Ja ieſtem hora, chcę zoſtawać ſama.

OFEMON.

Kiedy tak, to uſtąpię. Chciałem W. Pani Dobr. powiedzieć iedną awanturkę.

LEONTYNA.

Coż to ieſt takiego ?

OFEMON.

I nic, to o tym bezimiennym.

LEONTYNA.

Jak to? wytłomacz ſię.

OFEMON.

Niechcę Pani fatygować, opowiem to iutro.

LEONTYNA.

To mnie gniewa. Mowże, coż ſię ſtało ?

OFEMON.

Jeymość Dobr. ieſt chora, nie chcę iey głowy zatrudniać taką bagatelą.

LEONTYNA.

Ale M. Panie Ofemon, kiedy ia mowię że chcę wiedzieć.

OFEMON.

To nie warto tego,

LEONTYNA.

Co za nieznośny człowiek ! Prawdziwie do oſtatniey niecierpli-

wości mnie przywodziſz. Ja nie ſtoię o rzecz, która dla mnie ieſt oboiętną, ale nie mogę znieść, gdy na ciebie nalegam, a ty odpowiadać nie chceſz.

Ofemon.

To iuż dobrze Mościa Dobr. zaraz powiem; oto widziałem go.

Leontyna.

Tyś go widział?... kogo?

Ofemon.

Bezimiennego.

Leontyna.

Bezimiennego? Ale iakim ſpoſobem? Powiedzże, ſkończ.

Ofemon.

Daruy mi, ale ſię nie mogę utrzymać od śmiechu nad żywością naturalną W. Pani Dobr. która okazuie... (*śmieie ſię.*)

Leontyna.

Smierci ſię rowna.... Ach iak mnie to gniewa. Czy ſkończyſz, ieſzcze ci raz mowię, iakeś go widział?

Ofemon.

Powiedziano mi pod czas wieczerzy, że przyſzedł człowiek, który

chce ze mną mowić w bramie Pałacowey. Nayprzod rozumiałem, że ſię ſtała iaka zwada między chłopami podczas weſela. . . albo bitwa iaka... albo. . . .

LEONTYNA.

Ach na co mi ſię przydadzą twoie rozumienia? Coż potym, poſzedłeś tam?

OFEMON.

Nie; ſkończyłem wieczerzę ſpokoynie.

LEONTYNA.

Nie byłeś tam?

OFEMON.

Byłem, ale wſtawſzy od ſtołu.

LEONTYNA.

I iakże, cożeś tam widział?

OFEMON.

Słuſznego Męſzczyznę, który mię wziąwſzy za rękę rzekł, iż ma rzeczy ważne mi powiedzieć, i zaprowadził mnie aż na koniec ulicy. Tam przyznał ſię, że ieſt Amantem bezimiennym, i że mnie zna z reputacyi, wiedząc iż mię zaſzczycaſz twoim zaufaniem. Przerwałem mu ſpytaiąc

ſię czy czytał oſtatnie moie Dzieło o Chimii.

LEONTYNA.

A to właśnie było rzeczą potrzebną! Uważałżeś iego urodę? Jaka fizognomia?

OFEMON.

Nie, bynaymniey; bo było bardzo ciemno, choć oko wykol. Widziałem tylko że wyſoki, urodziwy, wſpaniały.

LEONTYNA.

A twarzy iego nie mogłeś ſię przypatrzyć? . . .

OFEMON.

O! nie, wcale.

LEONTYNA.

Czy wyſoki? iakiey talii bydź może?

OFEMON.

Zdał mi ſię. . . . Nie wiem iak mam powiedzieć? .. Oto naprzykład wzroſtu Pana Grafa; tak prawie.

LEONTYNA.

Skończże; coż ci o mnie powiedział?

OFEMON.

Och! głupstwa same... że cię adoruie, że kocha, że nie żyie tylko dla ciebie.... Już i nie pamiętam.... A potym powiadał mi, że słyszał twoią rozmowę w gaiu.

LEONTYNA.

Jak to! On się tam ukrywał?

OFEMON.

Tak nieinaczey. Biedny nieborak! cieszy się żeś była przybrana w iego Bukiet, a nadewszystko żeś powiedziała, że go pragniesz poznać, i dlatego wysłał mię do ciebie.

LEONTYNA.

I coż, i coż?

OFEMON.

Oto żebym ci powiedział, że twoia chęć iest dla niego prawem.

LEONTYNA.

Czy nazwał się?

OFEMON.

Nie, to iest Sekret, którego nie chce powiedzieć tylko tobie samey... Prosi aby mogł z tobą mowić sam na sam, a że niechce od nikogo bydź widzianym, suplikuie abyś mu wy-

znaczyła czas o świcie o piątey godzinie.

LEONTYNA.

O piątey godzinie z rana?

OFEMON.

Tak iest, i dodaie, iż ieżeli nie zechcesz go widzieć, oddali się na zawsze i bez powrotu.

LEONTYNA.

Ale przyimować Męszczyznę o tey godzinie sam na sam?

OFEMON.

Powiada że nie powinnaś wątpić ani o iego uszanowaniu, ani o delikatności, przyrzeka nawet nic nie wspominać o swoiey miłości, owszem pozwala, abym i ia był przytomny tey rozmowie, ieżeli tego chcesz koniecznie.

LEONTYNA.

O co tak, to co inszego, w samey rzeczy. Ale. . . . ia go niechcę widzieć wcale.

OFEMON.

Ja też to mu powiedziałem, że nigdy na to nie pozwolisz; że ta mniemana ciekawość którąś okazała, była

tylko żartem, że iego przysługi tobie się nie podobaią i przykrzą, że naostatek masz go za szalonego, który wart bydź oddany do domu szalonych.

LEONTYNA.

Ale poco się W. Pan wtrącasz? na co się przyda to gadanie? Kto cię prosił abyś tłomaczył moie chęci?

OFEMON.

Chciałem uleczyć iego szaleństwo, bo prawdziwie iest wielkie. Jak wziął mowić z taką żwawością, z taką wymową, z tak podniesionym głosem, że aż do serca przenikał. Już co mnie przyznam się że skruszył, i ieżeli mu odmowisz, prawdziwie boię się żeby sobie co złego nie uczynił.

LEONTYNA.

A przecie mu powiedziałeś, że iego przysługi są mi nie miłe i obmierzłe.... Pięknieś się popisał, przywodząc do rozpaczy nieszczęsnego, nad którym ubolewam, i który mnie interessuie.

Ofemon.

Słowem Mościa Dobr. od ciebie zależy pocieſzyć go, i przywrocić mu życie.... Czeka on na mnie, obiecałem powrocić od ciebie z odpowiedzią.

Leontyna.

Wſzyſtko coż mu powiedział imieniem moim, ieſt oſtatnią niegrzecznością i grubiańſtwem. . . . Jeſtem nieiako obligowana naprawić ten twoy poſtępek nieſprawiedliwy, patrzayże, do czego mię przywodziſz.

Ofemon.

Stało ſię to prawda. Atoli gdy mu z ſobą mowić nie pozwoliſz, chocbym naygrzecznieyſze rzeczy mowił od ciebie, nie uwierzy.

Leontyna.

Byłbyś mnie uwolnił od tego zatrudnienia, gdybyś ſię był z nim obſzedł nie tak po grubiańſku. Dla uleczenia onego, trzeba mu było ieſzcze powiedzieć, że ſię kocham w innym. Założyłabym ſię żeś może i tego nie przemilczał. Sam ſzalonym będąc chciałeś go leczyć. . . .

OFEMON.

O co w tey materyi nic wyraźnego nie powiedziałem, ale mu tylko dałem do zrozumienia.

LEONTYNA.

Może ſię mylę; ale naprzykład czy to ieſt rzecz do poięcia? Ja ieſtem w gniewie, w pomieſzaniu. . . . Zapewne piękną́ś mu o mnie uczynił opinią. On rozumie że ia nim gardzę, że go nienawidzę, że go wyśmiewam, że ieſt celem moich żartow, i że mam Amanta ktoremu w ſekrecie ſprzyiam.

OFEMON.

Ale pozwol W. Pani Dobr. ia mu tego nie powiedziałem, i nawet gdy mnie ſię wypytywał, kogo bardziey lubiſz, ia mu odpowiedziałem, że nie wiem doſkonale.

LEONTYNA.

Ach! ledwie ſię upamiętać mogę, w oſtatniey ieſtem złości. . . . On nie widzi u mnie tylko Grafa, będzie zapewne rozumiał, że ieſt ſkrytym moim Amantem.

Ofemon.

Coś mi on w tey mierze namienił, ale uczyniłem ſię głuchym.

Leontyna.

Idź do niego, idź nietrawiąc czaſu, bo mnie wiele intereſſuie moia ſława, moy honor, abym go wyprowadziła z błędu.... Powiedz mu niech przyidzie o piątey godzinie dla widzenia ſię ze mną. . . . Otoż ieſt do czego mnie przywiodłeś! Ten to ieſt ſkutek rzadkiey twoiey roſtropności!

Ofemon.

Idę go ſzukać.

Leontyna.

Poczekay. Przykazuię ci, ażebyś słowa przed nikim nie mowił co ſię ſtało.

Ofemon.

Znam że ieſtem niezręczny, i nieſprawny, ale co do zachowania ſekretu. . . .

Leontyna.

Idź, idź, zoſtaw mię.

Ofemon, *na ſtronie odchodząc.*

Muſzę donieść piękną nowinę.

(*wychodzi.*)

SCENA III.

LEONTYNA *sama*.

I iakże! będę go widziała? zezwalam na to? Ach! cożem uczyniła? Wszak to wysłałam po niego! Coż on sobie pomyśli o postępku moim tak przeciwnym dotąd memu ułożeniu? Co za wstyd dla mnie? Ale z drugiey strony, wprawiać go w rozpacz, niechcieć go poznać, wyrzec się onego na zawsze, coż mnie z tego wszystkiego? o Boże! Zkąd pochodzi, że się do niego tak interessuie? Nim się tylko zatrudniam, o nim tylko myślę.... Przez iaką fatalność ten nieznaiomy? ach! nieśmiem szperać w sercu moim.... Ale nie, co za boiaźń nadzwyczayna! osobliwość tey Awantury, ciekawość, a podobno i prożność, te są pewnie przyczyny moiego pomieszania. Ktoś idzie, ieżeli Ofemon, to się iuż z nim widział, powie mi... O! Nieba, to Dorota z Grafem. Co za naprzykrzenie!

SCENA IV.

LEONTYNA, DOROTA, GRAF.

GRAF.

PRZYszliśmy dowiedzieć się o twoim zdrowiu.

DOROTA.

I iakże! czy iuż minęła migrena?

LEONTYNA.

Muszę się położyć, bardzo potrzebuię spoczynku.

DOROTA.

Nasza wieczerza była bardzo wesoła. Graf był w naylepszym humorze, i zdarzenie w gaiu było materyą naszey rozmowy. Ja bardzom ciebie żałowała, bośmy się serdecznie cieszyli.

LEONTYNA.

Wierzę temu, ale ia teraz nie iestem w stanie weselić się z wami, bom bardzo strapiona.

DOROTA.

Jak troche zaśniesz, będziesz zupełnie zdrowa.

LEONTYNA.

Ach! dziękuię wam, wcale nie mam ſnu na oczach.

DOROTA.

Będą tańcować całą noc w pałacu; ia ſię nie będę kładła aż do białego dnia. No! i ty bądź ze mną w kompanii.

LEONTYNA.

Zapewne, na nic ſię wam nie przydam będąc chora iak ieſtem.

DOROTA.

Będziemy widzieli iak wſchodzi Jutrzenka, to ieſt ciekawa, wyſtaw ſobie. Ty która maſz wyobrażenie wieyſkie, która tak lubiſz ſkały, maſz bydź nie czułą na Jutrzenkę? Ach! to bydź nie może.

LEONTYNA.

Drwiy ſobie, nie ſpiy, tańcuy, ale mnie pozwol, niech ſię położę, proſzę cię.

DOROTA.

Wſzak ty Graſie mnie nie odſtąpiſz?

GRAF.

Jeżeli tego po mnie wyciągasz, chętnie poświęcam dla ciebie moy spoczynek.

DOROTA.

Otoż to grzeczność a przytym i wesołość. Ach! iakbyś się ze mną zgodził! (*do Leontyny.*) ale na nic się nie przydadzą nasze żarciki, widzę że iuż oczy mrużysz. No! to iuż trzeba iey dać pokoy. Wszak poydziesz do łożka, nie prawda?

LEONTYNA.

Tego momentu.

DOROTA.

Jeszcze nie ma dwonastey, przynaymniey dasz nam iutro śniadanie? Obudziemy cię o piątey godzinie, i będziesz widziała Jutrzenkę.

LEONTYNA.

Prawdziwie nie macie politowania, widzicie iak cierpię, i....

DOROTA.

Już tedy ściskam cię, pozwolemy ci spać do południa.

LEONTYNA.

Żart na ſtronę, gdybyście mi ſen przerwali, bardzoby mi zaſzkodziło.

DOROTA.

Nie boy ſię, nie przeſzkodziemy. Poydźmy iuż Grafie. Jeżeli ſię nie położyſz, a będzieſz nas potrzebować, to przyſzliy po nas, będziemy w ogrodzie.

GRAF, *do Leontyny*,

Z żalem cię odſtępuię... prawdziwie muſiſz bydź bardzo ſłaba.

LEONTYNA.

Zdaie mi ſię że mam gorączkę.

GRAF.

Ja ſię znam troche, czy pozwoliſz?... (*bierze ią za rękę i maca pulſu.*)

LEONTYNA.

Jak ci ręka drzy.

GRAF, (*trzymaiąc zawſze za rękę.*)

To drżenie ieſt u mnie naturalne, iuż ia to cierpię od wielu lat. Mogłaś to dawniey uważać.

LEONTYNA.

W twoim wieku! to dziwna. Nigdym tego nie uważała,

Dorota.

Przebog! Grafie, masz minę osobliwszą, cały iesteś zadziwiony. Czy ma wielką gorączkę? Jak znayduiesz iey puls?

Graf.

Ach radbym, żeby był mocnieyszy.

Dorota.

A to piękne życzenie!

Graf.

Ale tak, bo iest bardzo wolny.

Dorota.

Ach lękasz mię. . . . Już co teraz, chciałabym, żeby się położyła, a mybyśmy przed iey pokoiem noc przesiedzieli.

Leontyna.

Ach! proszę. . . .

Dorota.

Czy ieszcze z nami będziesz robić ceremonie?

Leontyna.

Nie, nie pozwolę na to.

Dorota.

Posiedziemy tylko do piątey, albo do szostey, a potym poydziemy spać.

GRAF.

Nie, będziemy przeszkadzać, zostawmy ią, wierz mi.

DOROTA.

Byway więc zdrowa. ale z tą kondycyą, że nam dasz znać, skoro się obudzisz.

LEONTYNA.

Dobrze, przyrzekam.

DOROTA.

Czy nie chciałabyś żeby ci co czytać dla prędszego snu?

LEONTYNA.

Och nie, bynaymniey.

DOROTA.

Zegnam cię moia kochana przyiaciołko.

GRAF, *na stronie.*

Jak iest przyiemna! o iak iestem szczęśliwy! (*wychodzą.*)

LEONTYNA, *sama.*

Przecie żem się ich pozbyła, i to z iaką trudnością! Ale widzę Pana Osemona.



SCENA V.

OFEMON, LEONTYNA, ROZALIA.

Leontyna.

I coż; ſprawiłeś?

Ofemon.

Sprawiłem Mościa Dobr. Prawdziwie naſza rozmowa była bardzo czuła, w niewypowiedzianey teraz zoſtaie radości.

Leontyna.

Powiedziałeś mu pewnie kondycye, pod któremi pozwoliłam widzenia się ze mną. Sam będzieſz przytomny, i nic mi wſpominać nie będzie o ſwoiey miłości.

Ofemon.

Bądź ſpokoyna, dopełni on to wſzyſtko.

Leontyna.

Więc kontent ieſt zupełnie?

Ofemon.

Niewypowiedzianie, prawie ſzaleie od radości.

LEONTYNA.

Mufiał fię zadziwić?

OFEMON.

Słowem ci powiadam, iż doſzedł zamiaru ſwych chęci.

LEONTYNA.

Mowiłeś z nim iuż dwa razy, a nie możeſz poznać kto ieſt. Ton głoſu, ułożenie iego....

OFEMON.

W rzeczy ſamey gdy fię zaſtanawiam, głos iego zdaie mi fię bydź znaiomy.

LEONTYNA.

Dobrze, iakżeś mi tego nie powiedział? Czy widziałeś go kiedy u mnie?

OFEMON.

Zapewne żem widział; ia go znam, tylko że nie pamiętam.

LEONTYNA.

Zapewne ci fię zdał bydź młodym?

OFEMON

Tak, młody ieſt, pewnie nie ma iak lat trzydzieści dwa, lub trzy naywięcey

LEONTYNA.

Powiedźże mi ieſzcze, co o mnie mowił?

OFEMON.

Często mi powtarzał, że będzieſz bardzo zdziwiona.

LEONTYNA.

Że ia będę zdziwiona? . . . To zapewnem go nie widziała. . . To ieſt rzecz niepoięta.

OFEMON.

To może ieſt Cudzoziemiec. Ja wiele woiażowałem, możem go widział w Anglii, we Włoſzech. . . . Tak mi ſię zdaie. . . .

LEONTYNA.

Czy ma Akcent iaki?

OFEMON.

Nie bynaymniey, mowi po Francuſku wybornie, mile, i wdzięcznie...

LEONTYNA.

Dobrze mowi?

OFEMON.

Lepiey ieſzcze niż piſze.

LEONTYNA.

To nie podobna.

ROZALIA, *nadchodząc.*
Powiedziano mi, że się Pani ma położyć.

LEONTYNA.
Idź do mego pokoiu, przygotuy wszystko co potrzeba, i nie czekay na mnie, ia się sama rozbiorę.

ROZALIA.
Jeymość Dobr. nadto dobra. Ja będę czekała poki sama zechcesz.

LEONTYNA.
Uczyń tak iak każę.

ROZALIA.
Przyrzekłam Pani Dorocie, że spać nie poydę, i że będę siedziała przy Pani.

LEONTYNA.
Wszyscy się dziś zmowili, aby mnie gniewać. Jeszcze ci raz mowię, abyś tak uczyniła, iak ci każę; day mi pokoy.

ROZALIA *na stronie odchodząc.*
Nigdym iey nie widziała w tak złym humorze. (*wychodzi.*)

LEONTYNA, *do Ofemona.*
Poydziesz więc o piątey godzinie, poszukasz go i wpuścisz fortką od Zwierzyńca. Czy masz klucz?

OFEMON.
Mam Mościa Dobr.

LEONTYNA.
Nie kładźże ſię, żebyś nie zaſpał.

OFEMON.
O! będę pilnował.

LEONTYNA.
W całym Pałacu nie ſpią, patrzayże, żeby go kto nie poſtrzegł.

OFEMON.
Bądź Pani ſpokoyna.

LEONTYNA.
Już tedy ia poydę do mego pokoiu, i będę was czekała o piątey godzinie.

OFEMON, *na ſtronie odchodząc.*
O co teraz naſza wygrana.

(*wychodzą.*)

Koniec czwartego Aktu.



AKT V.

SCENA I.

LEONTYNA *ſama, w nocnym ſtroiu.*

W iakim ia ieſtem pomieſzaniu! Na cożem ſię wyſtawiła? Słowem, otrzymał odemnie widzenie ſię ſekretne, widzenie ſię o świcie! Czy mogłaż mię ſama ciekawość tak daleko unieść i nakłonić do takiego poſtępku; którego ſię dziś wſtydzę i niepochwaliłabym nikomu.... Gdyby ieſzcze przez czułe przywiązanie do kogo, ale do nieznaiomego. . . . Ach znam ſerce iego, znam umyſł, a potrzebaż więcey? I iakże! mamże na ſiebie wyznawać takowe ſzaleńſtwo? Czyliżem ſama przed nim nie uciekała? Na cożem ſię tu ſchroniła, tylko abym wſzelką mu nadzieię odięła? Jeden dzień mogłże popſuć tak mo-

ene ułożenie? Nieſtety! czyliżbym była przed nim uciekała, gdybym ſię go nie obawiała! Samam ſię oſzukała, i nie rychło oczy otwieram.... Jako! mogęż ieſzcze kochać!.. Ach! cóż ſłyſzę? ktoś podobno puka? (*nadſtawia ucha i ſłyſzy pukanie.*) Tak, nie mylę ſię, puka, to zapewne on.., Muſiał poprzedzić godzinę. Muſzę otworzyć. Nie mogę.... Co zapomieſzanie ſtraſzne! Ledwo ſię mogę utrzymać na nogach. (*Wſpiera ſię na Stoliku i ſłyſzy ieſzcze pukanie.*) To on... to on.... trzeba otworzyć. (*idzie drzwi otwierać.*)

SCENA II.

LEONTYNA, GRAF.

LEONTYNA.

Gdy wchodzi Graf, ona ſię w tył caſa z zadziwieniem, i mówi na ſtronie

O! nieba! to Graf, co za traf nie miły!

GRAF.

z naywiękſzym wzruſzeniem.

Nieſpokoyność o twoie zdrowie tu mnie ſprowadza.

LEONTYNA, *na ſtronie.*

Coż mu powiem? (*głośno.*) Nic nie ſpałam; ieſtem bardzo pomieſzana.

GRAF.

Jam ſię przechodził pod twoiemi oknami, zdało mi ſię, żem cię ſłyſzał chodzącą, i dla tego wſzedłem.

LEONTYNA.

Dziękuię ci, ale mi uczyniſz łaſkę gdy mię zoſtawiſz ſamą.

GRAF, *na ſtronie.*

Jak ona ieſt blada i mizerna! ach! ia ieſzcze więcey drżę niż ona. . . . (*głośno.*) Ach Pani!

LEONTYNA.

Coż, czegoż chceſz?

GRAF.

Nieśmiem cię proſić o moment rozmowy. Wyznaię iednak że iey pragnę gorąco, i chciałbym ci odkryć moie ſerce.

LEONTYNA.

Zadziwiaſz mię ; coż ci ſię ſtało?

GRAF.

Zanurzony w myślach moich od dwoch godzin, iakem ſię rozſtał z Dorotą, chęć niezmierna mowienia z tobą poufale, przywiodła mię do tego, żem ſię ſtał w ten moment dla niey natrętem. Powiem ci nawet, że nim tu przyiechałem, myślałem o tym. Ale zawſze, nie byliśmy z ſobą tylko na krotki moment.

LEONTYNA.

Maſz mi więc wielkiey wagi rzecz powiedzieć?

GRAF.

Tak, taiemnicę życia moiego.... Teraz ieſt czwarta godzina... Jeżeli mię raczyſz poſłuchać, ta rozmowa nie zabawi, o puł godziny tylko proſzę.

LEONTYNA.

Czwarta dopiero godzina? (*na ſtronie.*) I mogęż mu odmowić. (*głośno.*) Moy kochany Grafię nie powinieneś wątpić o moiey przyiaźni ku ſobie. Wſzyſtko co ciebie dotyka,

ſzczerze mnie intereſſuie ; ale że ieſtem ſłaba i zmęczona, trzeba nam ſię wkrotce rozeyść.

GRAF.

Wierz mi, że nie uzyię na złe twey dobroci. Za poł godziny rozeydziemy ſię, ale muſzę z tobą pomowić, muſzę ſię poradzić.

LEONTYNA.

O coż to chodzi?

GRAF.

Widziałaś mię częſto ſmutnym, ponurym, przez długi czas oddalonym, nigdy pewnie nie domyśliſz ſię tego przyczyny.

LEONTYNA.

W ſamey rzeczy, bawiłeś przez ośm mieſięcy w ſwoich Dobrach, nie raz dziwiłam ſię temu, ale nie mogłam dociekać przyczyny.

GRAF.

Otoż Pani, namiętność niezwyczayna i ſkryta. ...

LEONTYNA.

I maſz ią dotąd?

GRAF.

Wyznaię, że ſię nad tym zadziwiaſz.

LEONTYNA.

I nadzwyczaynie. . . . Jak to! ty znaſz miłość?

GRAF.

Ona iedna ſtanowi los moiego życia, ona niſzczy moią ſpokoyność, moie uſzczęśliwienie; ona mi dała uczuć zgryzot i udręczenia, których wyliczanie możeby cię rozrzewniło, dla niey poświęciłem wſzyſtko, ſpokoyność, ambicyą, kompanią, uciechy.

LEONTYNA.

Jako! Ty któregom ſądziła bydź tak zimnym, tak ſpokoynym! Ach! moy kochany Grafie, iak to zaufanie ſprawuie we mnie przyiaźń ku tobie tym żywſzą, tym czulſzą! Szacowałam cię dotąd, ale teraz interes nayczulſzy, nayſprawiedliwſzy łączy mnie z tobą na zawſze.

GRAF.

Nieſtety! Gdybyś wiedziała, gdybyś wiedziała Pani, iak ten moment ieſt dla mnie miły!

LEONTYNA.

A na cożeś przedemną taił tak długo twoie chuci? Czy powątpiewałeś o moim ſercu? Nie byłżeś pewny że twoie umartwienia ſą iego podziałem?

GRAF.

Ach gdybym ſię tego mogł ſpodziewać, iuż bym był one od dwoch lat wyiawił.

LEONTYNA.

Muſzę ſię żalić na takowe milczenie, które mnie boli i i obraża.

GRAF.

Obraża! Nie, wierz mi żem nie myślił o tym. Przeſzkoda nieprzełomana przymuſzała mię do milczenia; a do tego chciałem ſię uleczyć.

LEONTYNA.

Powiedź mi, czy pewnie ieſteś kochanym?

GRAF.

Ach! nie śmiem ſobie ieſzcze podchlebiać, iednakże iuż mniey ieſtem nieſzczęśliwy.

LEON.

Leontyna.

Jeżeli nie zachodzi nic przeciwko powinności, miłość tak gwałtowna, powinna bydź wzaiemna.

Graf.

Czy tak mowisz Pani?

Leontyna.

Miły, wierny, przywiązany, powinieneś bydź kochany, i iestem pewna, że iesteś.

Graf.

Kocham nadzwyczaynie, nikt podobno nigdy tyle nie kochał; a ta iest szczegulnie moia zasługa i iedyne prawo, przez które mogę podobać się.

Leontyna.

Ach! to iedno stanie za wszystko.

Graf.

Przebog! co mowisz Pani? Przyiaźń twoia chce cieszyć nieszczęsnego, który się zwieść nie da, a twoy przykład znosi i wywraca z gruntu tak podchlebną mowę.

Leontyna.

Jak to?

GRAF.

Ten Amant bezimienny dosyć cię przekonał o swoiey miłości ku tobie, a iednak serce twoie nieczułe nie zmiękczyło się dotąd! Ach ieżeli mu odbierasz nadzieię, i ia nie mam się czego spodziewać.

LEONTYNA.

Nie mow nic o mnie, ia tylko myślę o tobie. Dokończ moy Grasie twych dolegliwości, gdyż mnie tak interessuią, że wyrazić tobie nie umiem. Coż ci przeszkadza do twoiego uszczęśliwienia? Osoba którą kochasz zapewne iest wolna, ale może iey urodzenie, iey stan....

GRAF.

Nie M. Dobr. ze wszech miar wybor serca mego zgadza się z rozumem. Ach! czemu ona nie urodziła się w inszey kondycyi! Jakby mi słodko było poświęcić dla niey prożne przęsądy, i złożyć u nog iey maiątek moy cały; ale tego szczęścia nie mogę bydź uczęstnikiem. Los ią uczynił ze wszech miar szczęśliwą, a miłość nie może iey dać więcey nad serce wierne i przywiązane.

Leontyna.

Za każdym słowem które wymiawiasz coraz w większe wpadam podziwienie. Jako! ty umiesz kochać z taką gwałtownością? Jakeś mogł dotąd ukrywać serce tak czułe?

Graf.

Ach! poiąć tego nie zdołasz, iak mnie to wiele kosztowało.

Leontyna, *na stronie.*

Godzina się zbliża.

Graf.

Czy się więc lituiesz nademną? Chciey mi ieszcze raz powtorzyć.

Leontyna, *na stronie.*

Co moment niespokoyność moia pomnaża się. (*głośno.*) Poźno iuż iest, rozeydźmy się. Bądź zdrow moy kochany Grafie, iutro ci lepiey okażę. . . .

Graf.

Ach! Pani, gdybyś wiedziała to wszystko co ci mam powiedzieć ieszcze. . . . Nie powierzyłem ci dotąd, ty'ko połowę sekretu. Nie wiesz o nazwisku Osoby ktorą kocham, a

znaſz ią dobrze, i maſz wſzelką moc nad nią.

LEONTYNA.

Ach mow. Jeżeli ci mogę bydź użyteczną, ſpuść ſię na uſiłowania nayſzczerſzey przyiaźni.

GRAF.

Więc mi przyrzekaſz, że ſię nie będzieſz ſprzeciwiać moiemu ſzczęściu?

LEONTYNA.

Kto, ia? Czy możeſz pomyśleć?...

GRAF.

Przebog! Pani, pomimo tego przyrzeczenia uſta moie nie śmieią ieſzcze wymowić Imienia tak ulubionego i ukrywaiącego ſię w ſercu moim. Podobno tylko na ſamym milczeniu zaſadzać ſię będzie moie ſzczęście. Gdybym był ſtracił ieſzcze i nadzieię, którą mi czyniſz....

LEONTYNA, *na ſtronie.*

On widzę nie ſkończy, a tu czas upływa. Co za uprzykrzenie! (*głośno.*) Ale która godzina?

GRAF, *dobywaiąc Zegarka.*

Nie ſądziłem, aby było tak poźno.

Leontyna.

Jak to?

Graf.

Już piąta godzina.

Leontyna.

Piąta godzina? Ach dla Boga! wynidź, zoſtaw mię proſzę. . . . . Coż widzę? iuż dnieie. O Nieba! uciekay.

Graf.

Ty bledniejeſz?

Leontyna, *ſiada w krześle.*

Coż ſię ze mną ſtanie?

Graf.

(*Przyſtąpiwſzy bierze ią za rękę, gdy tym czaſem ona drugą zaſłania ſobie twarz.*)

Zkądże pochodzi tak okrutne pomieſzanie, ta boiaźń którą chceſz ukryć przedemną? Ach Pani! kiedym ia tobie otworzył moie ſerce, nie powinnażeś wzaiemnie?...

Leontyna.

Przez litość day mi pokoy. Zdaie mi ſię, że ktoś puka. (*porywa ſię z prędkością.*)

GRAF.

Ja ciebie nie mogę odſtąpić w tym ſtanie iak ieſteś, pokiĳ ſię przynaymniey nie dowiem przyczyny tego pomieſzania.

LEONTYNA.

O nieba! do iakiegoż przyſzłam poniżenia! Muſzę ſię więc przyznać. . . .

GRAF.

Mow Pani, nayprzywiązańſzy twoy przyiaciel o to cię zaklina.

LEONTYNA.

Otoż tak, ten bezimienny.... ten Amant o którym mowiſz, że nim gardzę. . . .

GRAF.

Dokończ.

LEONTYNA.

Chcę ſię z nim widzieć, czekam na niego.

GRAF.

I za coż ſię maſz wſtydzić tego, do czego cię ſama ciekawość wiedzie?

LEONTYNA.

Nie, nie, poznay zupełnie ſerce moie. Wzruſzenie nadnaturalne,

ſentyment mocnieyſzy nad rozum, rządzi mną i powoduie. Znam ia go, niechcę ſię więcey zwodzić i zezwalam. . . . Coż to ieſt! widzę łzy w oczach twoich, ty płaczeſz. Ach! moy przyiacielu; iak mię ta czułość do żywego przenika. Nieſtety! mogłamże ſię ſpodziewać u ciebie tyłe pobłażenia!

GRAF.

Czy to bydź może, ty Leontyno!.. ty kochaſz?

LEONTYNA.

Patrzayże, iak to ſzczere wyznanie muſi mię wiele koſztować, aleś ty godzien onego.

GRAF.

Prawda, godzien ieſtem, tak....

LEONTYNA.

Nieſtety! godzina iuż upłynęła, a on nie przychodzi.

GRAF.

Ukaże on ſię, nie wątpiy o tym. Upadnie on zaraz do nog twoich nayſzczęśliwſzy z ludzi. (*rzucza ſię do nog iey.*)

LEONTYNA

Coż ia widzę ... Co robiſz?

GRAF.

Ach! I nigdyż mię nie poznaſz?

LEONTYNA.

O Boże! coż ia ſłyſzę! Czy to bydź może?

GRAF.

Tak, tak ieſt, ia ieſtem ow Amant rozpalony.

LEONTYNA.

Ty, o Nieba! . . .

GRAF.

Otoż to ieſt moy cały ſekret.

LEONTYNA.

Co! I iaż to ieſtem, która cię kocham od lat ośmiu?

GRAF.

Przebacz moim wybiegom, taiemnica miłości powinna ie uſprawiedliwić. Nieſtety! możem ſię obłąkał, ale chciałem ſerce twoie pozyſkać? lecz nie oſzukać. Zbytnia delikatność przywiodła mnie do wybiegow, na które ſama teraz narzeka, a to ieſzcze w ten moment, w który powinienem z niey pożytkować, w ten

moment mowię, gdy z uſt twoich odbieram wyznanie, którego całym życiem dokupować mi ſię należało. Ale Pani! pozwalam ci ſię wrocić do ſiebie, i do twoiego zaſtanowienia, ieſteś wolna, niceś mi nie obiecała, rozrządzay moim przeznaczeniem.

LEONTYNA.

Prawda, gdybym ci nie była winna nayſłodſzego ſzczęścia i nieſpodzianego, przyznam ſię iż trudnoby mi było darować tę lękliwość twoią, która mnie obraża. Jakiż moment ſobie obrałeś na to okrutne niedowiarſtwo. Jako! możeſzże ſądzić, abym była tak niewdzięczną, i ieſzcze ſię chwiała?

GRAF.

Niceś mi nie winna, ia poſzedłem za poruſzeniem ſerca mego, a ty nie ſłuchay tylko twey ſkłonności.

LEONTYNA.

Otoż tak, cokolwiek wdzięczność, przyiaźń i miłość może ſprawić naymilſzego i czułego, wſzyſtko to czuię i mam dla ciebie.

GRAF.

Ach przez cożem zasłużył tę szczęśliwość, która sto razy przewyższa moie nadzieię?

LEONTYNA.

Tyś więc iest któregom kochała!.. Tey chuci którąś mi tak czule odmalował, tey miłości którąś przez lat ośm karmił w sercu twoim, ia była celem! Biedny, ileż ci zadałam udręczenia! Ach! przywiązanie moie czy potrafi go nadgrodzić? To iedyczy nym odtąd będzie mym staraniem, to iedyną zabawą życia moiego! Ach dla Boga! czemużeś mi dawniey nie powiedział? Będąc miłym i powabnym, tego ci tylko nie dostawało w oczach moich, abyś mi okazał serce czułe, któreś ukrywał. Mogłam się na nim nie poznać, posądzać o surowość, oboiętność, i pokrzywdzać nie raz!

GRAF.

Ach! Mogłemże drogo kupić to szczęście, kiedy mnie kochasz?

Leontyna.

Kocham cię, iakem nigdy nie kochała, to ieſt doſyć powiedzieć, wieſz o tym nieſtety! Ach! mogęż wſpomnieć bez wzdrygnienia ow czas nieſzczęſny, w którym ſtawſzy ſię ofiarą chuci nierozſądney, co dzień przez okrutne zaufanie, ſztylet w ſerce twoie wrażałam. Tyś mię ſłuchał, a iam ſię rozpaczą napełniała. Przypomniy ſobie tę miłość tak czułą tak gwałtowną, którąm ci na ow czas wyſtawiała, a oraz wierz, że teraźnieyſza, którą mię zniewalaſz ieſt ſto razy żywſza.

Graf.

Więc tedy co ſłużyło na moie udręczenie, odtąd ma bydź moim uſzczęśliwieniem? Gdyby mi przyſzło kiedy na myśl to ſmutne wſpomnienie, mogę ſobie powiedzieć, że ona mię kocha dziś tym więcey. Ałe czy poymuieſz dobrze co czyniſz dla moiego uſzczęśliwienia?

Leontyna.

Mogęż kiedy wyrownać temu, coś uczynił dla mnie? Tyś dla mnie

wſzyſtko łożył, iam ci wſzyſtko winna; twoie rady przez lat ośm mną rządziły, twoia cnota, twoy rozſądek zwracał mnie na drogę rozumu. Bez ciebie, na cożbym była przyſzła? Ach! każde wſpomnienie, każdy moment życia moiego, który ſobie przypominam, ieſt nowym obowiązkiem mey wdzięczności który przywiązuie do ciebie. Twoie poſtępki, twoia wſpaniałość ſą bez przykładu, i naśladowcy mieć nie będą! Ach! iak ieſt słodka kochać, co ieſt warto kochania! Jak mi teraz daieſz poznać ten ſentyment roſkoſzny, któregom ſobie nigdy nie wyſtawiała!

SCENA III.

GRAF, LEONTYNA, DOROTA, OFEMON.

DOROTA, *do Ofemona.*

Już wſtała, ia ci powiadam, że iuż. Słyſzałam iey głos. A widziſz, patrzayże!

LEONTYNA.

Ach poydź M. Panie Ofemon, wſzyſtko ſię odkryło. W. Pan mnie oſzukiwałeś; ale iakżem ci wiele za to winna! (*do Doroty.*) Poydź kochana przyiaciołko, dziel ſię moim ſzczęściem. Ten nieznaiomy który cię intereſſował. . . .

DOROTA.

I coż?

LEONTYNA.

O to ieſt przed twoiemi oczyma. To on, on ieſt. . . .

DOROTA.

Kto, Graf?

GRAF.

Tak ieſt, oto mnie widziſz W.Pani Dobrodzika, który dopiąłem moich chęci.

DOROTA.

Czy doprawdy ſądziſz, że uwierzę? . . .

LEONTYNA.

Jako!

DOROTA.

Tak, tak, ia ieſtem łatwowierna, ale nie tak daleko.

OFEMON.

Trzeba ſię ſpodziewać że przed ſkończeniem dnia dziſieyſzego wcale ſię przekonaſz.

DOROTA.

Jak oni ſię wſzyſcy rozumieią. A to piękna zmowa i ładnie ułożona.

LEONTYNA, *do Ofemona.*

Poydź poſzukay Piſarza, niech przyidzie.

DOROTA.

Tak, tak, i nie baw ſię.

OFEMON

Jeſt na dole z weſelnikami, zaraz go ſprowadzę, i ogłoſzę weſołą nowinę w całym Pałacu. (*wychodzi.*).

GRAF, *do Leontyny*

Nie ieſt to tylko omamienie? Jako! ty będzieſz moią?

LEONTYNA.

Tak ieſt, oddaię mię tobie, tak, ieſzcze dziś nawet.

DOROTA.

A to przecudownie, iak z iedney, tak z drugiey ſtrony. Co Grafowi nie dziwuię ſię, bo znam iego przymioty, ale Leontyna wielce mnie za-

dziwia, iey oczy, iey głos, iey mina wſzyſtko dowodzi.

LEONTYNA.

Jakże, czy ieſzcze nie wierzyſz, nie dosyć dla ciebie ſpoyrzeć na mnie? Możnaż ſię oſzukać, widząc tak ſzczęre i tak ſłodkie ukontentowanie!

DOROTA.

Już co teraz, nie wiem co mam myśleć.

SCENA IV.

GRAF, LEONTYNA, DOROTA, OFEMON, ROZALIA, PIKARD, JOHANKA, KOLIN, PISARZ, i Gmin Wieśniakow wołaiących: Pani idzie za mąż... Pani idzie za mąż..., Pan Graf ieſt bezimiennym.

DOROTA.

PRAwdziwie to on bydź muſi! On bydź muſi pewnie naſzym Amantem bezimiennym. Ale to nie do wierzenia.

LEONTYNA.

Pozbądźmy ſię tego tłumu.

DOROTA.

A kiedy tak, iuż teraz wierzę. Ach! moy kochany Grafie, iak ty ieſteś godzien tego daru, który nakoniec otrzymuieſz! Jakżem ia kontenta! Ale mam ſię ciebie pytać o wiele rzeczy.

LEONTYNA.

Poydź do mego pokoiu, to ći opowiemy.

GRAF, *do Leontyny.*

Już tedy przeznaczenie oddaie mi to, co mi była nieroſtropność wydarła! Po tylu zgryzotach i łzach wylanych, przecie znayduię ciebie; iuż więc ieſteś moią!

DOROTA.

Co za Awantura, o Boże!... i to co ſię działo w Gaiu.... i Feſtyn... i liſt.... wſzyſtko to było iego! Nie mogę przyiść do ſiebie.

LEONTYNA.

Poydź zemną moia kochana Doroto, poydź będzieſz widziała uſkutecznienie ſzczęśliwości moiey. Mospanie

Ofemon

Ofemon, weź z ſobą Piſarza. (*Graf podaie iey rękę, Dorota bierze ią z drugiey ſtrony, wychodzą. Oſemon z Piſarzem idą za niemi.*)

OFEMON, *wychodzi.*

Poydźmy, ieſzczem nie zapomniał po Łacinie w tym domu.

SCENA V.

i oſtatnią.

ROZALIA, PIKARD, JOHANKA, KOLIN, i Wieśniacy.

ROZALIA.

JUż tedy Amant bezimienny odkrył ſię. Jednakże Graf ſtanie za Sylfa, bardzom kontenta, że ſię w niego przemienił.

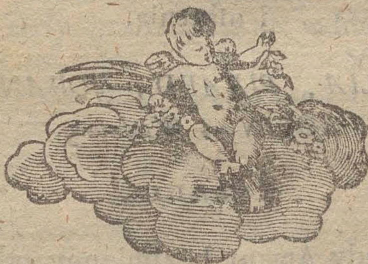
PIKARD.

Dwa weſela razem! co zo błogoſławieńſtwo! (*do Wieśniakow.*)

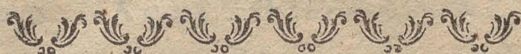
Poydźcie moie dzieci, tańcowaliście aż do dnia, teraz tańcuycie aż do nocy; obchodźcie uroczyście Miłość i wytrwanie. Prawdziwie gdy te razem są złączone, zawſze ſwego dokazać muſzą.

(Wieśniacy zaczynaią Balet !)

Koniec piątego i Oſtatniego Aktu.



MIŁOŚĆ
MACIERZYNSKA
KOMEDYA.



OSOBY.

HRABINA de ROZAN.

KOMMENDOR de ROZAN, *Szwagier Hrabiny,*

BARONOWA de BLEMONT, *Kuzyna Hrabiny.*

L'ABÉ DURAND, *Nauczyciel Hrabiego de Rozan, ſyna Hrabiny.*

WIKTORYA, *Pokoiowa Hrabiny.*

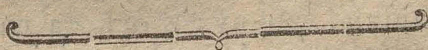
MAŁGORZATA, *kobieta ſtara uboga.*

Scena w Paryżu u Hrabiny.



MIŁOŚĆ MACIERZYNSKA

KOMEDYA w IEDNYM AKCIE.



SCENA I.

L'ABE, WIKTORYA.

L'Abe.

PANI Hrabina czy wyiechała? ...

Wiktorya.

O dla Boga! tak, wyiechała; iuż to dziś trzeci raz.

L'ABE.

Ona ieſt naturalnie nieſpokoyna... przed nadchodzącą bataliią, na którey może utracić ſyna iedynaka, naylepſze dziecię.... naycnotliwſze.... Nie dla tego to mowię, że ieſt moim uczniem, ale że ſzczerze powiadam, iż żadnego z młodych nie widzę, któryby ſię z nim mogł porownać.... W pietnaſtym roku iuż tak dobrze umiał Łacinę, iak ia.

WIKTORYA.

A potym on tak kocha Matkę... Ach dla Boga, iak czułe było ich pożegnanie.... Pan Hrabia, który nigdy nie widział woyny; z ochotą na nią wyieżdżał.... Ale z Jeymością pierwſzy raz w życiu ſwoim rozſtawał ſię, i pomimo chęci ſławy miał ſerce żalem ściśnione. Jeymość z ſwoiey ſtrony chciała ſię wſtrzymać od płaczu, ale widać było, że łzy duſiła.... i dla tego ledwie wyſzedł z iey pokoiu, mało nie umarła.

L'ABE.

Jednakże w czaſie pokoiu widziałem, że pragnęła ſzczerze woyny, aby

P. Hrabia de Rozan miał okazyą dystyngwowania się. . . . W ten czas zdawało się, że mocno żąda sławy. . . .

WIKTORYA.

Prawda, ale tylko zdaleka. . . . bo z bliska wierz mi, że iey się nie zdaie bydź tak piękną.

L'ABE.

Nie pierwsza ona iest tego zdania.

WIKTORYA.

Jednakże nie zbywa iey na męstwie; bądź tego pewny, iż gdyby mogła poyść za Hrabią, i z nim dzielić niebespieczeństwa, których się teraz lęka, byłaby bardzo szczęśliwą. . . .

L'ABE.

Powiedź mi M. Panno Wiktoryo, gdzie iest Jeymość teraz? . . .

WIKTORYA.

U swoiey przyiaciołki Pani Marszałkowey, chcąc się od niey dowiedzieć iakiey nowiny. Ma ona dwoch synow w woysku, są oni obydwa przyiaciołami, a to iest co czyni związek. . . .

L'ABE.

A potym Pani Marſzałkowa ma łatwieyſzą ſpoſobność mieć wiadomości, bo ieſt Sioſtrą Miniſtra....

WIKTORYA.

Wczoray była pogłoſka, że była potyczka... ale to nie wzięło potwierdzenia... Ach! ieżeli ta niepewność potrwa zkilka dni, ia ſię bardzo boię o moią Panią.., z nieſpokoyności i żalu umrzę zapewne....

L'ABE.

To prawda, że ieſt bardzo zmieniona.

WIKTORYA.

Jey charakter ieſzcze więcey ſię odmienił niż twarz; ia iey, która ieſt tak ſłodka, tak łagodna, od wyiazdu iey ſyna prawie nie poznaię... każda bagatela ią zmartwi, do gniewu pobudzi.... a potym ma wſzyſtkie ſłabości, któremi ſama przedtym gardziła.... wierzy w ſny; kiedy iey ſię co złego przyśni, iuż będzie przez cały dzień w złym humorze. Wczoray rano ſtłukłam Zwierciadło, to ledwie nie płakała. Panie l'abé, ty

który ieſteś tak uczony, wytłomacz mi ieżeli możeſz.

L'ABE.

To naturalna, Pani Hrabina iako i wſzyſtkie Kobiety nie uczyła ſię nauk, ieſt nieuczona i łatwowierna, a te dwie rzeczy prowadzą do zabobonności.

WIKTORYA.

Ale ia iey ſłużę od lat pietnaſtu, i zawſzem ią widziała aż do tego momentu bardzo daleką od tych błazeńſtw, ſama ſię nawet z nich wyśmiewała, i mnie wyprowadziła, mnie która z tobą mowię. W czaſie ſwoiey ciężkiey choroby, iakiegoż nie pokazała męſtwa! . . . Załowała ſwego Męża i ſwego Syna, gdyż nieboſzczyk Pan ieſzcze żył na ten czas. . . ale tylko mowiła, zoſtawuię ſynowi memu dobrego oyca, umieram ſpokoynie; wſzak W. Pan to dobrze pamiętaſz.

L'ABE.

O! iak dziś.

WIKTORYA.

No, a przecie nie miała w ten czas więcey nauki iak i teraz, była iak

nazywaſz Filozofką ; a co większa młodą i ładną ; iakże to wſzyſtko pogodzić można ?

L'ABE

Zdawna Mędrzec powiedział, że hiſtorya ſerca ludzkiego ieſt niedościgła i nie poięta, a to zdanie mianowicię ściąga ſię do kobiet.

WIKTORYA.

Ja o twego Mędrca nie ſtoię, bo ieſt tak nie umieiętny iak i ia,

L'ABE.

Moie dziecię, cały owoc umieiętności ieſt wątpliwość i niepewność.

WIKTORYA.

Na coż ſię przyda tyla męczyć nad kſiążkami, kiedy uczony i ia, ieſteśmy iedno..... Ale ktoś idzie...

L'ABE.

To może Jeymość.

WIKTORYA.

Oy nie, to iey kuzyna, Pani Baronowa de Blemont.

L'ABE.

Och ! to ia odchodzę ; ona ieſt nadto wrzaſkliwa dla mnie. To ieſt kobieta trzpiot, kokietka....

WIKTORYA, *śmieiąc się.*

Zle o niey sądzisz. . . . Ona umie zawracać głowy. P. Hrabia de Rozan mogłby o niey wiele powiedzieć.....

L'ABE.

To ieſt kobieta niebeſpieczna! Szczęściem że panowanie kobiet do niey podobnych nigdy długo trwać nie może....

WIKTORYA.

Cichoż, cicho, oto i ona

(*L' abé wychodzi.*)

SCENA II.

WIKTORYA, BARONOWA.

BARONOWA, *mowiąc we drzwiach.*

No, to będę na nią tu czekała.... Wiktoryo proſzę cię day mi krzeſło, bom bardzo zmordowana.

WIKTORYA.

Jeymość powroci nie bawiąc....

BARONOWA.

Ja tu byłam wczoray, ale mi powiedziano że chora, i nikogo nie przyimuie. . . .

WIKTORYA.

Ach dla Boga, tak; a to z przyczyny, którey zgadnąć nigdy nie można, gdyż usłyszała wystrzelenie z Armaty u Inwalidow że Krol przyiechał wczoray do Paryża. . . .

BARONOWA.

I coż potym! . . .

WIKTORYA.

Oto M. Dobrodziko, ia byłam sama z nią w iey pokoiu, zdawała się bydź bardzo spokoyną, gdy iednym razem usłyszawszy strzelenie porwała się i krzyknęła: *Coż to iest! coż to iest?* . . . I to Krol przyieżdza M. Dobr. rzekłam. . . . Ach co za huk straszny, odpowiedziała. . . . A potym zaczęła płakać, i to trwało aż do wieczora.

BARONOWA.

Ach, bardzo iestem kontenta, więc ia nie sama iestem co się lękam wystrzelenie z Armaty! Od woyny zaczętey nie mogę słyszeć tego huku

nieſzczęſnego bez uczucia i pomieſzania.... zadrętwienia nerwow.... i iakieyś opreſſyi! . . . Nie można tego wyrazić.... Słowem ieſtem bardzo rada, że Pani de Rozan ieſt tak, iak i ia, to ſamo pokazuie, że nie ieſtem nierozſądna.... Jak ſię ona ma dziſiay?

WIKTORYA.

Och zawſze iednakowo; nie ſypia.

BARONOWA.

A ktożby ſpał podczas woyny? w takim pomieſzaniu... Czy nie wieſz, Wiktoryo, Jeymość czy będzie dziś w ſwoiey Loży?

WIKTORYA.

Ja nie wiem. . . . gdyż od ogłoſzenia woyny Jeymość i nie poſtała na Komedyi.

BARONOWA.

Co za nierozſądek!... Wſzak to rozrywa.... Ja bym umarła bez Komedyi.... Im kto ieſt czulſzy, tym więcey potrzebuie rozrywki. . . . Ja bywam na Operach, na Balach, upewniam że to czynię nie z przywiązania, ale przez rozum.

WIKTORYA.

Bez wątpienia; na co ſię przyda chorować.

BARONOWA.

Wiktoryo, iak ci ſię podoba moia ſuknia?

WIKTORYA.

Przedziwna; ale Jeymość Dobr. ubrała ſię bardzo wczas.

BARONOWA.

Och; ale bo ia przez cały dzień do ſiebie nie powrocę. . . . Cierpieć nie mogę domu. . . .

WIKTORYA.

Od odiazdu Pana Barona Blemont?

BARONOWA.

Moy dom zdaie mi ſię bydź grobem. . . . To ieſt okrutna rzecz ta woyna. . . . Lękać ſię o męża, o braci, o krewnych, o przyiacioł. . . .

WIKTORYA, *na ſtronie.*

A nawet i o Amanta. . . .

BARONOWA.

Wiktoryo, czy dawno ieſteś u Pani Rozan?

WIKTORYA.

Tak M. Dobr. na ſiedm lub ośm lat przed W. Pani zamęściem.

BARONOWA.

To bardzo dobra Kobieta, ta Pani Rozan; ſłyſzę była piękną iak powiadaią.

WIRTORYA.

Jeſzcze i teraz ładna....

BARONOWA.

Powiadaią że maluie ſobie brwi..... Ale ia temu nie wierzę.

WIKTORYA.

Czy tak ieſt, ia o tym nie wiem, ale to ieſt pewna, że iey piękność naymniey ią zatrudnia, i nigdy o nią niedbała nawet za życia Jegomości...

BARONOWA, *śmieiąc ſię.*

Za życia Jegomości.... Alboż rozumieſz, że wdowa nie powinna ſię ſtarać podobać?...: Czy nie może bydź tey pretenſyi tylko dla Męża?.. *Za życia Jegomości*, to zabawna, muſzę pamiętać.... Wiele maſz lat Wiktoryo?

WIKTORYA.

Trzydzieſty pierwſzy M. Dobrodziko.

BARONOWA.

Trzydzieſty pierwſzy? . . . Nadto maſz na twoy wiek niewinności. . . Och moie dziecię, poday mi taboret, bo mam nogi tak popuchłe. . . Przeklęty ten Bal wczorayſzy. . . .

WIKTORYA.

Jeymość Dobrodzika tańcowała tey nocy? . . .

BARONOWA.

Ach dla Boga, tańcowałam. . . . Powiadaią że taniec pomaga bardzo zdrowiu. . . To prawda, że dla mnie ieſt bardzo potrzebny. Ja potrzebuię koniecznie agitacyi. . . iak ſkoro tey nie mam, zaraz choruię na ſpazmy. . .

WIKTORYA.

Czy mogę ſię ſpytać, iak ſię zowie Doktor Jeymości Dobr.? . . .

BARONOWA.

Dla czego?

WIKTORYA.

Bo chciałabym go ſobie także obrać, gdyż zdaie mi ſię, że iego Recepta ieſt nie zła. . . . Jakoż widzę że ona W. Pani Dobr. dobrze ſłuży; Jeymość ieſt tak czerſtwa. . . .

BARONOWA.

Jednakże mocnom ſchudła. . . a do tego cierpieć nie mogę kłaść rużu zrana, i dla tego ieſtem blada iak śmierć.

WIKTORYA.

Czy do prawdy Jeymość Dobr. nie kładła rużu?

BARONOWA.

Ani odrobiny.

WIKTORYA.

Prawdziwie, nikt by nie uwierzył. (*na ſtronie.*) I ia też temu nie wierzę.

BARONOWA.

Ale Pani Rozan nie przyieżdza.

WIKTORYA.

Wrzeczy ſamey to oſobliwa. . . . Tylko że podobno powracaiąc od Pani Marſzałkowey wſtąpiła do więzienia Pałacowego, albo do Podrzutkow.

BARONOWA.

Jako! Coż to ſię znaczy?

WIKTORYA.

Och, ale bo Jeymość Dobr. ieżdzi czaſem uwalniać więźniow, i rozdaie

iałmużnę w Szpitalu Podrzutkow, niekiedy bywa wzruſzona do tego punktu litości nad temi biednemi, że ich bierze na ſwoie ſtaranie. Wiem nawet o czworgu, że ich ſama wychowuie. Ona ieſt bardzo miłoſierna.

Baronowa.

To mi ſię bardzo podoba... Ja lubię dobroczynność.... Wiktoryo, obacz no, czy ſą tam moi ludzie proſzę cię, bo muſzę iechać. Powieſz Pani Rozan, że bardzo żałuię, iż nie mogę dłużey czekać, ale w wieczor powrocę. Czy miała oſtatniey Poczty wiadomość o ſwoim ſynie?

Wiktorya.

Miała M. Dobr. ale odtąd nic więcey.

Baronowa.

Bardzo ubolewam nad iey nieſpokoynością, kocham ią ſerdecznie, i Syna iey także...

Wiktorya.

W Pani Dobr. w rzeczy ſamey winna ieſteś nieco przyiaźni J. Pana Hrabiego.

BARONOWA.

Bo ieſt moim Kuzynem, nie prawdaż Wiktoryo? . .

WIKTORYA.

Ale zupełnie rozumiem Mościa Dobr.

BARONOWA.

Pan Rozan mnie wielce intereſſuie... Nie ieſt on moim przyiacielem, ale czuię że nim będzie. teraz ieſzcze ieſt nadto młodym. . . .

WIKTORYA.

Ach M. Dobr. on ma lat dwadzieścia i dwa.

BARONOWA.

A czy wieſz Wiktoryo, że ia iuż ieſtem ſtara, rokiem iednym ieſtem ſtarſza od niego.

WIKTORYA, *na ſtronie.*

Otoż ieſt, iuż ſię młodſzą zrobiła czterma laty. (*głośno.*) Prawdziwie W. Pani Dobr. nie wydaieſz iak dwadzieścia.

BARONOWA.

To prawda, że iabym ſię łatwo mogła ukryć z moim wiekiem, ale ia powiadam iawnie. Zegnam cię ko-

chana Wiktoryo. . . . Ale, ale, nie zapomniy ſpytać Pani Rozan, czy nie dyſponowała ſwoią Lożą na Komedy i Francuſkiey?

WIKTORYA.

Dobrze M. Dobrodziko.

BARONOWA.

Przyſzleſz mi Bilet, ia tu zoſtawię iednego z moich ludzi, niech zaczeka.

WIKTORYA.

To ia zawołam kogo do W. Pani Dobr.

BARONOWA.

Nie, nie potrzeba, tylko pamiętay o Loży. . . .

WIKTORYA.

Dopełnię roſkaz W. Pani Dobr.

BARONOWA.

Byway zdrowa Wiktoryo, prawdziwie ieſteś nie oſzacowana; ale przyſzliyże moy Bilet i każ go napiſać przy ſobie, bo czaſem Pani Rozan ieſt tak roſtargniona, że może zapomnieć. Ach dla Boga uciekam, iuż trzy kwadranſe na pierwſzą.

(*wychodzi*)

SCENA III.

WIKTORYA, sama.

OT to głowa. . . . piękna wprawdzie. . . . ale ſzalona. . . . Moy Boże, coby to było za umartwienie dla Jeymości. . . . Widziałam taki moment, w którym Pan Hrabia uwiedziony iey umizgami, ledwie ſię do niey ſzczerze nie przywiązał... ſzczęściem że to długo nie trwało. Ale ſłyſzę Karetę. . . . O co teraz zapewne moia Pani.

SCENA IV.

WIKTORYA, L' ABE, HRABINA.

WIKTORYA.

A coż M. Panie l'abé, czy to Jeymość przyiechała? . . .

L'ABE.

Tak ieſt, oto idzie.

(*Hrabina wchodzi.*)

WIKTORYA.

Ona widzę ieſt ſmutnieyſza niż była.

HRABINA,

Moy Szwagier czy powrocił ?

WIKTORYA.

J. Pan Kommendor? . . . Nie. M. Dobrodziko.

L'ABE.

I iakże M. Dobr. nie ma żadney wiadomości ? . . .

HRABINA.

Nie ma. Pani Marſzałkowa rano wyſłała iednego z ſwoich ludzi do Werſalu i ieſzcze nie powrocił. . . . ten iak tylko powroci, zaraz mi przyſzle reſpons ſwego Brata. Zoſtawiłam u niey Lapiera aby czekał. . . .

WIKTORYA.

O którey godzinie Jeymość Dobr. rozkaże obiad ?

HRABINA.

Mnie ſię zdaie, że Lapier ieſt trucień. . . . wolę na iego mieyſce poſłać Jana ;

L'ABE.

Tylko że M. Dobr. na przyniesienie listu, nie potrzeba wielkiego rozumu.

HRABINA.

Jednakże ia chcę aby poszedł Jan, Wiktorya, poydź mu powiedź. . . . Słuchayże, niech okulbaczy konia, aby prędzey powrocił.

WIKTORYA.

Konia kulbaczyć; aby doyść na koniec ulicy. . . . Muszę poyść. . . (*chce wychodzić.*)

HRABINA, *wołaiąc.*

Wiktorya, powieśz żeby koni nie wyprzęgano, gdyż ia w lada moment mogę wyiechać.

WIKTORYA.

Dobrze M. Dobrodziko. (*wychodzi.*)

HRABINA.

Moy l'abé proszę cię spytay się o moy Regestr, gdyż muszę przemazać niektóre osoby, które mi zapewne nic nie doniosą.

L'ABE.

Zaraz poszukam. (*wychodzi.*)

HRABINA, *sama.*

O moy Synu! . . . moy synu! . . . Coż to iest za stan moy? . . . Wszyscy co mnie otaczaią, są mi obmierzli. Niestety! Zdaie się że nikt tak nie czuie, iak ia, oprocz iedney Marszałkowey, i dla tego, iak ia ią kocham! . . . iak mi teraz stała się lubą! . . . (*siada.*) iestem dziś niezmiernie strapiona. . . . nie mogę się utrzymać na nogach. . . . Ja nie wiem sama co się ze mną dzieie. . . . to nie naturalna. . . . Moy Boże, czy to tylko nie przeczucie. . . . Ach moy Synu. . . . (*wspiera głowę na rękach.*)

SCENA V.

HRABINA, L'ABE trzymaiąc Regestr.

HRABINA.

I coż l'abé, Jan czy poszedł?

L'ABE.

Już Mościa Dobr. siada na Konia... (*podaiąc.*) Oto iest Regestr któregoś chciała.

HRABINA.

Dobrze, czytay.

L'ABE. *czytaiąc.*

J. Pan Prezydent d'Arcy . .

HRABINA.

Ach wymaż tego. . . . Wſzyſtkich ludzi cywilnych cierpieć teraz nie mogę. . . . Są dla mnie nadto ſzczęśliwi

L'ABE.

Ale J. Pan Prezydent ieſt Jey Wuiem?

HRABINA.

I coż mnie z tego? . . . .

L'ABE

Szukam ołowka. . Oto ieſt. (*maże.*) A Szwagier Jeymości Dobr. nie ma co mowić. . . . Idźmy daley. (*czyta.*) Pan Baron d'Erville. . . .

HRABINA.

O co tego zoſtaw. biedny on, tak ieſt ſtrapiony, iak i ia; iego ſynowiec, iak i moy Syn ſą na pierwſzey Kampanii. . . .

L'ABE.

Baron d'Erville. . . . to ten, co ieſt tak ſtary i głuchy. . . . Bardzoś ſię

dla niego odmieniła; gdyż ia pamiętam, że cię podczas niezmiernie nudził.

HRABINA.

Daley.

L'ABE.

Xiężna de Ponteuil

HRABINA.

Zmaż ią.

L'ABE.

Ale Mościa Dobr. ona była twoią przyiaciołką.

HRABINA.

Moią przyiaciołką? . . . Kobieta prawuiąca się z moiemi Dziećmi. . . . Kobieta która patrzała ozięble i z nieiaką srogością, gdy wyprawiała na woynę Synow iednego po drugim. . . .

L'ABE.

Od dawnego czasu Interes rządził ludźmi. Kto czytał cokolwiek, wiadomo mu iest. . . .

HRABINA.

Ach! przestań W. Pan M. Panie z swoiemi uwagami, proszę cokolwiek mam łaski. . . .

L' ABE, *na ſtronie.*

Co za humor! (*głośno czyta.*) Pani Senantes.

HRABINA.

Zmaż, zmaż. .. Ona ieſt Wdową; nie ma dzieci, ani Braci, nic ią nie obchodzi.

L' ABE, *czyta*

Pani Baronowa de Blemont.

HRABINA.

Zoſtaw ią, zoſtaw.... chociaż iuż od dwoch tygodni nie ſłyſzałam iey mowiącey....

L' ABE.

O iuż co to, to mię zadziwia! Kokietka, która ci zadała tyle umartwienia, która ieſt przyczyną że Pan Hrabia odrzucił partyą tak pomyślną; Kobieta trzpiot, pułgłowiek, którey widziałem żeś ſię obawiała, a nawet i nienawidziła ...

HRABINA.

Już tego wſzyſtkiego nie ma więcey.... a nadewſzyſtko nie ma złego ſerca.... Ona kochała mego ſyna....

L' ABE.

Ona kochała!.... ona kochała, i to ią zaſzczyca?...

Hrabina.

Ach dla Boga! są słabości których nie należy potępiać, ale tylko ubolewać nad niemi.... A do tego wiesz tak dobrze iako i ia, że ona nie ma nic w swych postępkach procz rostrzepania. Baronowa iest letkomyślna, ale uczciwa.... a ieżeli na swoie nieszczęście pokazała się bydź czułą, mogęż iey odmowić tey pociechy, aby wraz ze mną rozrzewniała się.... Nie, nie, ieżeli iey serce cierpi w skrytości.... niech będzie u mnie, niech tu przyidzie, będzie dobrze przyięta.

L'Abe.

Prawdziwie M. Dobr. ty w którey upatrywałem tak czyste i delikatne sentymenta, zadziwiasz mię nieskończenie.

Hrabina.

Ja ciebie zadziwiam? ... Ach, to bydź tak powinno. ... Trzeba mieć serce czułe podobne moiemu, chcąc mnie zrozumieć. Ale kończ.

L'Abe.

Już wszystko.

HRABINA.

Ktoś idzie. Moy Boże! to może Jan. . . . Obacz. . . Ale nie, ia poydę. (*Wstaie.*)

SCENA VI.

HRABINA, L'ABE, KOMMENDOR.

KOMMENDOR.

Dobry dzień moia Siostro. . . . Coś iesteś pomieszana. . .,

HRABINA.

A mogęż bydź spokoyna? Moy Braciszku nie wiesz tam co nowego?

KOMMENDOR.

Nie wiem nic. Idę od Baronowey Blezac, która powinna co wiedzieć, iak ci wiadomo. . . .

HRABINA.

I coż!

KOMMEDOR.

Ja mowię, że musi co wiedzieć, gdyż iey Synowiec kommenderuie woyskiem.

HRABINA.

I coż, widziałeś go?

KOMMENDOR.

Ciężko ieſt bardzo, od niego ſię czego dowiedzieć.

HRABINA.

Coż ci powiedział?

KOMMENDOR.

Byłem u niego, i rozumiałem, że go zaſtanę, gdyż choruie na pedogrę, alem ſię omylił, bo wyiechał do Werſalu.

HRABINA.

Wyiechał do Werſalu?... pomimo pedogry.... to muſi bydź coś. . . . moy Braciſzku....

KOMMENDOR.

I coż tedy?...

HRABINA.

L'abé, poſzliy ieſzcze do Marſzałkowey.. Ale nie, poſzliymy raczey do Werſalu.... Moy Braciſzku....

KOMMENDOR.

Ale to wſzyſtko nadaremnie. . . . Uſpokoy ſię. . . .

L'ABE.

Pani Marſzałkowa W. Pani Dobr. przyobiecała. . .

HRABINA.

L'abé, moy kochany.... proſzę cię poydź do niey....

KOMMENDOR.

Ale co za ſzaleńſtwo!,..

HRABINA.

Ja ſię chcę wrocić do niey,...

KOMMENDOR.

Tam do Kata, ſłuchayże... Ja mam mego Kamerdynera w Werſalu. . . . Oſadziłem go u Bleſaka z rozkazem wyraźnym, aby zaraz powracał, ſkoro uſłyſzy co nowego. Jeſt to Dumont, ty go znaſz, wieſz iak ieſt dowcipny i ſprawny. . . .

HRABINA.

Ale on gdy powroci; poydzie do ſiebie . . .

KOMMENDOR.

Och nie, bynaymniey, ponieważ ſię myślę u ciebie zabawić, kazałem mu tu powracać, gdyż mnie pewniey tu zaſtanie, niż w moim domu.

HRABINA.

To ty mnie nie odſtąpiſz?...Moy Braciſzku, coż to znaczy? . . . Dla

Boga! czy nie wieſz czego? Moy Braciſzku może ſię taiſz przedemną...

KOMMENDOR.

Co u Diabła ci ſię ſtało?...

HRABINA.

Nie wieſz o niczym?

KOMMENDOR.

Ale o czym?

HRABINA.

O batalii... Nic mi nie odpowiadaſz?... Już zapewne ieſt wydana... Moy Synu!... (*upada na krzesło.*)

KOMMENDOR.

Moia Sioſtro, moia Sioſtro.... Ty mnie z rozumu wyprowadziſz; nic nie wiem nowego, powtarzam ci i poprzyſięgam.... Dalibog maſz głowę zawroconą.

HRABINA.

Ach odetchnęłam... Ach moy Braciſzku wybacz mi... Nieſtety! ktoż mnie uſprawiedliwi, ieżeli nie ty?

KOMMENDOR.

Nie, ia cię nieuſprawiedliwiam, ieſteś bardzo dziwna. Coż u Diabła, twoy Syn ieſt moim Sioſtrzeńcem, oſtatni z naſzego imienia, czyliż rozumieſz

zumieſz, że mi nie ieſt rownie miły iak i tobie?...

Hrabina.

Ach nie rownaymy ſię.

Kommendor.

Coż u Kata! ia cię nie poznaię.... Przypomniy ſobie, iak wiele razy wraz ze mną pragnęłaś woyny?...

Hrabina.

To pragnienie było nie ludzkie, nie rozumne, Bog mnie wyſłuchał wprawdzie, ale razem i ukarał, że przyſzło do woyny....

Kommendor.

A, iak widzę, gdybyś znalazła iaki ſpoſob powrocenia twego Syna, zarazbyś go wykonała, i....

Hrabina.

O Nieba! coż ty myśliſz?... Ach iak źle mnie znaſz... Bądź pewny, że ſława daleko mi ieſt milſza nad iego życie....

Kommendor.

Ach! otoż to ieſt, iak powinna mowić Francuſka....

L'ABE.

Już druga godzina .. Czy Jeymość Dobr. nie będzie u Stołu?

KOMMENDOR.

Poydźmy, poydźmy moia Siostro do Stołu.

HRABINA.

Nie, nie będę dziś iadła.

KOMMENDOR.

Ja na to nie pozwolę... Czy chcesz się umorzyć?...

HRABINA.

Moy Braciszku.... prawdziwie nadtom iadła wczoray na wieczerzy. . . . Idź, proszę cię zostaw mnie, na miłość Boską zaklinam cię....

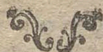
KOMMENDOR.

No, L'abé podźmy; tylko nas dwoch przy rozumie w całym domu. (*wychodzi.*)

HRABINA, *sama.*

Moy Syn, *ostatni z tego Imienia*, to iest, co go uderzyło.... Ach dla Boga! iak mu to głowę zaiąć mogło?... Jak iest pycha podła i szpetna, która przytłumia wszelki sentyment. . . . Naylepiey mi kiedy iestem sama. . . .

i zupełnie od wſzyſtkich oddalona.... Wſtrzymuią moy żal, ale mnie rozerwać i na moment nie mogą... Ja nie żyię.... nie.... każdy poranek radabym, aby był końcem dnia.... Niepewność, oczekiwanie.... nadzieia co moment dręczą mnie na przemianę. Jakżem ia bezrozſądna, może.... Tak ieſt, może ten ſtan, w którym ſię dziś znayduię, ieſt ſzczęśliwſzy w porownaniu z tym, który mnie czeka!.. Co za uwaga rozpaczy pełna! Nieſtety! Ja żądam wiadomości, a ta może w grob mię wpędzi.... Jeżeli ieſtem przeznaczona na okropne nieſzczęśca, to przynaymniey w tym pociecha, że ich nie przeżyię.... Jabym miała żyć na ten czas?... a to iak, i dla kogo?... o moy Synu?... niechcę żyć tylko dla ciebie.... twoy los ieſt przeznaczeniem moiego. (*Wſpiera głowę na ręku zaſłoniwſzy chuſtką twarz, ſiedząc u Stolika, który ſtoi przy niey.*)



SCENA VII.

HRABINA, WIKTORYA, MAŁGORZATA.

HRABINA,
porywaiąc ſię nagle, widzi Wiktoryą

KToż tam? czego chceſz?

WIKTORYA.

I to nic M. Dobrodziko. . . to Małgorzata, ta ſtara Kobieta, którąś wyprowadziła z nędzy, przyſzła ci podziękować.

HRABINA.

Co za naprzykrzenie, w takim ſtanie iak ieſtem . . . czemuś iey nie odprawiła?

WIKTORYA.

Chciałam ſię ſpytać Jeymości Dobr.

HRABINA

To dobrze, powiedzże iey, że nie mogę z nikim ſię widzieć. . . .

WIKTORYA.

Ta biedna Kobieta, ieſt także wielce ſtrapiona. . . .

HRABINA.

Jeżeli ieſzcze potrzebuie pieniędzy, niech iey dadzą..

WIKTORYA.

Och to nie oto. Moy Boże! ona teras z łaſki W. Pani Dobr. ieſt doſyć bogatą, tylko że ma Syna....

HRABINA.

Ona ma Syna!...

WIKTORYA.

Tak ieſt, ma Syna Zołnierzem, i....

HRABINA.

Ona ma Syna Zołnierzem!.... Ach biedna Kobieta, iak ia iey żałuię.... Niech nie odchodzi, Wiktoryo chcę ią widzieć....

WIKTORYA.

Jey Syn ieſt Zołnierzem właśnie w Regimencie Pana Hrabiego....

HRABINA.

Niech przyidzie, niech przyidzie...

WIKTORYA.

Poydę ią zawołam... Będzie bardzo kontenta.... (*wychodzi,*)

HRABINA, *sama.*

Słodko mi będzie widzieć tę Kobietę ubogą, słyszeć, i płakać z nią razem.... Otoż i ona.... (*Wiktorya powraca z Małgorzatą, Hrabina wstaie i idzie ku niey.*) Przybliż się, przybliż. Wiktoryo poydź sobie. (*Wiktorya wychodzi.*)

MAŁGORZATA.

Wybacz Pani ...

HRABINA.

Poydź....

MAŁGORZATA.

Ach Pani, przez twoie wspaniałe opatrzenie życieś mi zachowała.... Wybacz mi Pani, że się stawię w oczach twoich nie wesołą...., i ieżeli po mimo mnie....

HRABINA.

Ty płaczesz biedna.... iak mię ona rozrzewnia! ...

MAŁGORZATA.

Niestety! Pani, bo ia mam Syna...

HRABINA.

Tak, wiem.... Jak się nazywa?

MAŁGORZATA.

Tulip, Pani, to ieſt imie iego woyſkowe, ſłuży w Regimencie Pana Hrabiego.

HRABINA.

Wiele ma lat? ...

MAŁGORZATA.

Dwodzieſty pierwſzy Pani, on ieſt iedyną moią pociechą.... Poki ſię nie zaczęła woyna, byłam Pani tak ſzczęśliwa....byłam zdrowa, mogłam pracować, miałam z czego żyć.

HRABINA.

Moia kochaneczko, bądź ſpokoyna, nie będzie ci na nieczym zbywało.

MAŁGORZATA.

Och Pani, udarowałaś mnie nad potrzeby moie.. . ale Syn moy. . . . Nieſtety! Pani, ieżeli zginie, wſzyſtko coś dla mnie uczyniła, ſtanie ſię nieużytecznym .. Znam ia dobrze, co to zgryzota....

HRABINA.

Nie, nie, moia kochanko, Bog ſię zlituie nad tobą i nademną.... przywroci nam naſzych Synow.

Małgorzata.

Ach tak Pani, co dzień nawet zaczęłam Nowennę.

Hrabina.

dobywszy worka z pieniędzmi, daie iey.

Na moie dziecię....

Małgorzata.

Pani... prawdziwie nie przyszłam tu po to..

Hrabina.

Weź, weź.... Schoway te pieniądze dla swego Syna, oddasz mu iak powroci....

Małgorzata, *ocieraiąc oczy.*

O! moy biedny Tulipie... Wybacz Pani, ty znasz co to bydź Matką....

Hrabina.

Słuchay mię.... Ja napiszę do mego Syna zalecaiąc twego, i żeby mi doniosł o nim.... Napiszę mowię, ieszcze tego wieczora....

Małgorzata.

Ach Pani! iak ty mnie cieszysz; gdyż ieżeli Syn moy iest raniony, ktoż o nim mieć będzie staranie?

HRABJNA.

Ach dla Boga! co za ſmutne wyobrażenie!... A ieżeli i z moim toż ſamo ſtanie ſię?...

MAŁGORZATA.

Byle tylko ieſzcze na tym ſkończyło ſię!..., gdyż nieſtety! gdy kto idzie na woynę, ieden tylko Bog wie czy powroci zdrowo....A iak na nieſzczęście, im kto odważnieyſzy, tym prędzey wpadnie w niebespieczeńſtwo... A moy Syn ieſt tak śmiały, tak odważny!...

HRABINA.

Idź ſobie moie dziecię, idź.... zoſtań w moim domu, będzieſz u mnie mieſzkać, będę o tobie miała ſtaranie, będę cię u ſiebie chowała... Potym przyidzieſz do mnie, ale teraz idź ſobie.... muſzę ſama zoſtać.

MAŁGORZATA.

Bog cię błogoſławić będzie... Tak Pani... będzieſz oglądała Syna twego, uyrzyſz go w krotce w zupełnym zdrowiu.... Serce moie to przeczuwa....

Hrabina.

Ach biedna Kobieto! ty mnie cieszysz; iest to pierwszy moment pociechy, którey doznaię.... Uściskay mnie....

Małgorzata.

Ach Pani! Pani....

Hrabina.

Moia kochana przyiaciołko, iak moy Syn powroci, będę prosiła o abszyt dla twego, ożenię go, osadzę, przyrzekam ci.

Małgorzata, *upadaiąc do nog.*

Pani, czy to podobna!...

SCENA VIII.

HRABINA, MAŁGORZATA, KOMMENDOR.

Kommedor.

PRAwdziwie wyśmienicie podiałem.... Otoż znowu coś nowego... Co tam u Diabła moia Siostra robi?...

HRABINA, *podnoſząc Małgorzatę.*

Idź kochana Małgorzato, ieſzcze ſię dziś nie raz z ſobą obaczemy, idź.

MAŁGORZATA, *odchodząc na ſtronie.*

O moy Boże! ty ieſteś ſprawiedliwy, zachoway iey Syna....

(*wychodzi.*)

KOMMENDOR.

I coż moia Sioſtro, ty ſię łzami zalewaſz. . . . Na moy honor tyś widzę oſzalała.

HRABINA.

Czego chceſz moy Braciſzku, ia ſię nie mogę odmienić.

KOMMENDOR.

L'abé mi powiadał o tobie iedną rzecz, która mię bawi.

HRABINA.

Coż takiego?

KOMMENDOR.

Ześ wſzyſtkich wymazała z twego Regeſtru, a zoſtawiłaś Panią Baronowę de Blemont, a to dla pięknych układow, które miała o twoim Synie... Gdy ſobie wſpomnę wſzyſtkie proroctwa, któreś mi o niey powiadała,

twoie boiaźni.... twoie wzdychania, twoie płacze... Ach żałowałbym całe życie, i moiego głupiego politowania, i tyle nocy ſtrawionych na zreflektowaniu ciebie. Pani Baronowa de Blemont ieſt ſzalona.... oſławiona.... zgubiona... głupia, na którą ia ſam, mam tyſiąc przyczyn uſkarżania ſię....

HRABINA.

Czy iuż wſzyſtko powiedziałeś?

KOMMENDOR.

Nie, bynaymniey, uſłyſzyſz mię aż do końca. Nie wchodzę, z iakiego powodu to czyniſz, ale ieżeli ten ieſt omylny i dziwaczny, coż na to odpowieſz?

HRABINA.

Jak to?

KOMMENDOR.

Tak, Baronowa dla tego ma do ciebie przyſtęp, iż ſadziſz że ieſzcze kocha mego Synowca, nieprawda?

HRABINA.

I coż ztego?

KOMMENDOR.

A ia ci powiadam, że ona tyle o nim myśli, co o Sułtanie Tureckim.

HRABINA.

Prawdziwie moy Braciſzku bez zaślepienia mogę ſądzić, że moy Syn może bydź kochany; to pewna że ona miała ſkłonność do niego, okoliczności i niebeſpieczeńſtwo w którym zoſtaie, powinny utwierdzić ſentymenta, które nie były zupełnie odmienione.

KOMMENDOR.

Sentymenta! ... Smieſzna rzecz.... Tak, Baronowa ieſt Kobieta do Sentymentow.... Twoy Syn ieſt młody, ładny, kſztałtny, ſądzę że miała do niego fantazyą żywą....

HRABINA.

Co za myśli!... Co za wyrazy!..

KOMMENDOR.

I iakże, to cię ieſzcze nie odraża? Ach ia ci radzę bydź roſządną.... w ten czas nawet gdy chceſz przyimować naychętniey Kobietę, o ktorey... proſzę mi nie wſpominay. . . . Ale wrocmy ſię do rzeczy. — Otoż Mościa Pani, ia utrzymuię, że Pani Baronowa de Blemont nie ma żadney potrzeby, aby przyieżdżała W. Panią cieſzyć.

HRABINA.

Nie potrafiſz odmienić moiego mniemania.

KOMMENDOR.

Tak właśnie, owſzem potrafię, ſłuchay. ...

HRABINA.

Dla Boga! moy Braciſzku, day pokoy tey mowie.

KOMMENDOR.

Jeſzcze tylko powiem iedno ſłowo. Baronowa była dziś rano u ciebie.

HRABINA.

Ach! ona u mnie była, a nikt mi o tym nie powiedział!

KOMMENDOR.

O była zapewne.

HRABINA.

Otoż widziſz, że o mnie nie zapomniała.

KOMMENDOR.

Ale czy wieſz dla czego? ... Zgadniy. . . . Otoż ia ci powiem, przyiechała proſić ciebie o Lożę.... I coż powieſz na to? a potym hiſtorycznie opowiedziała Wiktoryi, iak całą noc tańcowała. . . . A co! nic nie mo-

wiſz? Otoż to Kobieta ſtrapiona, Kobieta pełna ſentymentu, którego nigdy nie miała. . . . Moia Sioſtro, poznay ſię lepiey na twoich przyiaciołach; nie należy we trzydzieſtym osmym roku bydź tak łatwowierną iak ieſteś. . . .

Hrabina.

Ach moy Braciſzku, ſłyſzę tam hałas. . . . To zapewne z nowiną.

Kommendor.

To może Dumont.

Hrabina.

Obacz. . . . obacz. . . . ach moy Braciſzku! . . .

SCENA IX.

HRABINA, KOMMENDOR, L'ABE, WIKTORYA.

Wiktorya, *biegąc.*

Mościa Dobr. oto Liſt.

Hrabina.

Liſt. . . . a od kogo? . . .

WIKTORYA.

Od Pani Marſzałkowey.

HRABINA.

Ach day mi go.,. (*upada na krzeſło.*)

L'ABE, *pocichu do Kommendora.*

Wygraliśmy batalią. o innych okolicznościach nic nie wiem.

KOMMENDOR.

O Boże! tylko cicho. . . .

HRABINA.

czyta odpieczętowawſzy Liſt, co ſię długo przeciąga dla iey zmieſzania.

Nieſtety Mościa Dobrodziko ieſtem wielce ſtrapiona. (*przerywa.*) Ach moy Synu umieram.... (*upada zemdlawſzy.*)

KOMMENDOR.

Ach dla Boga, moia Sioſtro,...

WIKTORYA, *biorąc ią za rękę.*

Ona ieſt bez zmyſłow.

L'ABE.

Trzeba ią ratować.

KOMMENDOR.

Wody, wody. . . . Odepniycie iey kołnierz. . . . L'abé zawołay na Ludzi. . . . (*L'abé przyprowadza Ludzi, którzy ſię krzątaią.*)

WIKTO-

WIKTORYA.
Ona ieſt iak nie żywa....

KOMMENDOR, *do Wiktoryi.*
Czy trzymaſz ią dobrze?...

WIKTORYA.
Trzymam Mości Dobr.

KOMMENDOR.
Obaczmy ten Liſt nieſzczęſny.... czy to prawda ... (*Gdy Hrabinę ratuią, on bierze Liſt i czyta pocichu, potym przeczytawſzy zawołą głośno.*) L'abé, L'abé, moy Sioſtrzeniec zdrow cuda dokazywał, i naymnieyſzey rany nie odnioſł.

L'ABE.
O Boże!

WIKTORYA.
Ach M. Panie Kommendor poydź, przywroć moiey Pani życie....

KOMMENDOR.
Ona przeczytała tylko pierwſze słowa Liſtu..., Co u Diabła! te Kobiety zawſze zaczynaią od mdłości... Ona mię tak zmieſzała ... że aż mi słabo....

Wirtorya.

Zdaie mi się, że przychodzi do siebie.

L'abe.

Poczekaycie poczekaycie, przyszło mi na myśl. Gdy powroci do zmysłow, a powiemy nagle o prawdzie, trzeba się obawiać, aby gorzey nie zapadła. Bywaią przykłady, że Kobiety od radości nagle pomarły, iak owa niegdyś sławna Lacedemonka....

Kommendor

Co tam L'abé teraz wyieżdżasz z tą Lacedemonką. . . .

Wiktorya.

M. Panie Kommendor, ia rozumiem że Pan L'abé dobrze mowi . . . potrzeba koniecznie Jeymość Dobr. troche przygotować.

Kommendor.

Z Panem Bogiem, ale zrobcie to sami, bo ia tego nie umiem. . . .

L'abe

Dobrze, dobrze, spuść się na mnie... i nie mow nic, poki ia nie dam znaku.

Kommendor.

Dobrze, byle to było nie długo...

Wiktorya.

Już bladość z twarzy ustępuie troche. . . .

L'Abe.

Przychodzi do siebie. . . . przychodzi. . . . M. Panie Kommendor stań tam za nią, bo iak na ciebie spoyrzy, to będzie po wszystkim. . . .

Kommendor.

Dobrze, dobrze, ale spiesz się.

Hrabina, *otwieraiąc oczy.*

Moy Synu! . . . moy Synu! . . .

L'Abe.

Pani pamiętay się.

Hrabina.

Moy Synu! . . . Puśćcie mnie. . . . Daycie mi umrzeć . . .

L'Abe.

Ale W. Pani Dobr. tego Listu nie dokończyła, a my go czytali. . . . ieszcze dla niey zostaie iakaś nadzieia. . . .

Hrabina.

Czy żyie ieszcze?. . .

KOMMENDOR.

Tak, tak, żyie....

HRABINA.

Ach moy Braciſzku! ach moy kochany Braciſzku!... To tylko śmiertelnie raniony?...

KOMMENDOR.

Nie, nie....

HRABINA.

upadaiąc na Kolana.

O moy Boże!... moy Boże, chciałam umrzeć, przepuść mi.... Zachoway mi Syna mego....

KOMMENDOR.

Doſyć tego przygotowania.... L'abé!

L'ABE.

Jeſzcze momencik....

HRABINA.

Moy Braciſzku... Moi Przyiaciele... Syn moy czy nie ieſt śmiertelnie raniony?... Czy tylko mnie nie zwodzicie?...

KOMMENDOR.

I moia Sioſtro....

L'ABE.

Uſpokoy ſię W. Pani Dobr. podziękuy Bogu...

HRABINA.

Powinnam mu dziękować. . . Ach Boże! o moy Boże! Zycie moie ci poświęcam, ieżeli Syn moy ieſt zdrow.

KOMMENDOR.

Jeżeli ty L'abé nie ſkończyſz, to ona ſię wyrzecze Swiata, ieſzcze moment to i Karmelitką zoſtanie. Moia Sioſtro ſłuchay, otrzyi łzy daremne, nie powinnaś ich wylewać tyko od radości. Rozumieſz mię?...

HRABINA.

Od radości. . . . Ale Syn moy ieſt raniony. . . .

KOMMENDOR

Nie, mowię ci że wcale nie. . .

HRABINA.

wſtawſzy rzuca ſię Bratu na ſzyię.

Coż ia ſłyſzę! ach moy Braciſzku, czy to bydź może? ...

KOMMENDOR.

On ſię ma lepiey od nas.

HRABINA, *ściskaiąc Brata.*
O nieba! ... moy Bracifzku...,.
L'ABE.
Tak Mościa Dobr.
WIKTORYA.
Nayukochańfza Pani moia, nic prawdziwfzęgo....
HRABINA.
Ale ten lift....
KOMMENDOR.
Marfzałkowa ci donofi, iż bardzo ieft ftrapiona, że Syn iey ieft raniony, ale zletka. Pifał nawet fam do Matki donofząc o fobie i o twoim Synie, który iak powiada dyftyngwował fię fpofobem nayświetnieyfzym....
HRABINA.
On fię dyftyngwował! ... Ach nie wątpiłam o tym.... ale on żyie... nie ieft raniony?...
KOMMENDOR.
I batalia wygrana.... zupełnie, i pokoy wkrotce naftąpi....
HRABINA.
Pokoy! ... pokoy....I przezcożem zafłużyła na tyle pomyślności?

Moy Synu, będę cię oglądała, po tylu łzach i udręczeniu! Ty mi będziesz powrocony.... Moy Braciszku uściskayże mnie, i ty także kochany L'abé, i ty moia biedna Wiktoryo... Winszuycie wszyscy Matce nayszczęśliwszey w Swiecie. (*Kommendor i L'abé ściskaią ią, a Wiktorya caluie w ręce.*)

HRABINA.

List moy.... gdzie on iest, niech go przeczytam....

KOMMENDOR.

Oto iest, (*bierze go.*) Co za dzień szczęśliwy batalii wygraney... Jak mi żal żem porzucił służbę.... Za cożem nie dosłużył do tego momentu pomimo mego wieku i pedogry!

HRABINA, *przyczytawszy.*

Ach Synu moy, moy kochany Synu!... Coż za szczęśliwość moiey wyrowna!... Ale ta biedna Marszałkowa.... Poydźmy Braciszku, pocieszmy ią.

KOMMENDOR.

Syn sam pisze do niey że iest letko raniony.

HRARINA.

Ach! wiem ia, iak ieſt trudno pocieſzyć ſerce Macierzyńſkie... Poydź moy kochany Braciſzku, nie odſtępuy mnie, a nadewſzyſtko ukrywaymy zbytek naſzey radości przed nią, aby ſię nie pomnożyło iey udręczenie.

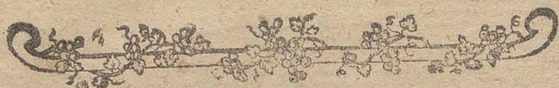
(*wychodzą.*)

KONIEC.



WIĘZIENIE

KOMEDYA.



OSOBY.

BARON de TERVILE.	
ORPHISE,	*Siostra Barona.*
ZOFIA,	*Corka Barona.*
TERVILLE,	*Brat Zofii.*
KLEANT,	*przyiaciel Barona.*
LINDOR,	*Amant Zofii.*
MARTA,	*Pokoiowa Zofii.*

Scena w Zamku Barona.



WIĘZIENIE

KOMEDYA

w IEDNYM AKCIE.



SCENA I.

Teatr wystawia Salon.

BARON, KLEANT.

BARON.

ZNAYduiesz nas wszystkich od godziny w wielkim zamieszaniu; o przyczynie tego powiem ci zaraz.

KLEANT.

Coż się stało ?

BARON.

Oto iest tak : Ja ci obiecałem moią Corkę, i że nie poydzie za kogo innego ; nasza dobra przyiaźń, nasze Dobra w Sąsiedztwie, wszystko to iest powodem. . . .

KLEANT.

Ale do czego zmierza ta mowa? proszę mow, o co idzie moy kochany Baronie.

BARON.

O to idzie, że Zofią kocha inny Młodzieniec, ktorego ia także wielce kocham, a ten iest Lindor moy Synowiec.

KLEANT.

I za coż mu nie daiesz pierwszeństwa ? . . .

BARON.

Ty żartuiesz ze mnie, Lindor iest w wieku Zofii, porodzili się właśnie iednego dnia, i w tym samym pałacu. . . .

KLEANT.

Ja to znayduię bardzo czule. . . .

BARON.

Tak, bardzo czule, otoż właśnie iak moia Siostra....

KLEANT.

Z tego wszystkiego wnoszę, że mi się należy ustąpić; w moim wieku nie potrzeba passować się z miłością, i młodością połączoną....

BARON.

Co za bzdury!... Rozumiesz pewnie, iżbym mogł ci przyobiecać Corkę, gdybym nie był pewny, że iey serce iest zupełnie wolne?

KLEANT.

Znam dobrze szacunek wdziękow i powabow Zofii, który zasadzam na nierozerwanym węzle naszey przyiaźni, ale ią iestem w wieku tym, gdzie rozum powinien strzedz od miłości, i Rywał który się wydarza....

BARON.

Piękny Rywał, który nie ma lat siedmnastu, Student!...

KLEANT.

Takich się naywięcey obawiać potrzeba....

BARON.

Ja ci powiadam, że Zofia ani myśli o nim, ona ieſt bardzo rozſądna...

KLEANT.

Ponieważ tak mowiſz, doſyć dla mnie, ieſtem ſpokoyny; ale ieſzcze raz powiadam, ia nie poymuię, iak chuć tego młodzieńca nie nakłoniła cię na iego ſtronę.

BARON.

Bo ieſt nadto młody, i nie bardzo bogaty. Brat moy ſtracił fortunę i zoſtawił mi tego chłopca na moiey opiece. Zofia i on byli razem wychowani w tym pałacu.

KLEANT.

Przyznay ſam, że prawie ſam los przeznaczył iedno dla drugiego.

BARON

Oy nie, to roſtropność Rodzicow ſtanowi los dla Dzieci.... Tak tedy Lindor nie wiedząc ſam o niczym zakochał ſię w Zofii, a iako mam dobre oko na wſzyſtko, poſtrzegłſzy to, wyſłałem go do Strazburga; przyiął ſłużbę od roku, i iuż będzie dwa lata iak nie widział ſwoiey Kuzynki,

w pietnaſtym roku z nią ſię rozſtawſzy. Ty znaſz dobrze co to ieſt ta chuć piękna i iak bywa gruntowna; ale biedny chłopiec ma głowę żywą, ieſt z natury popędliwy i gorący.... Dowiedziawſzy ſię w Strazburgu, że mam wydać Zoſią za mąż, wyiechał natychmiaſt i przybiegł tu dopiero; otoż to ieſt com ci miał powiedzieć.

KLEANT.

Jak to, on tu ieſt?

BARON.

Tak, tu ſię znayduie. . . . Wſzedł ſekretnie do pokoiu mego Syna, który mnie o tym przeſtrzegł; nie chciałem go widzieć, tylko poſłałem moią Sioſtrę, aby mu głowę zmyła należycie, i kazała mu ſię wrocić nazad. Gdyż nie omylnie ożeniſz ſię iutro z moią Corką, muſiemy ſię dziś go pozbydź koniecznie.

KLEANT.

A Zofia wie o tym? . . .

BARON.

Nie wie i odrobiny o tym wſzyſtkim. — Ale ſłyſzę głos Orphisy, dowiemy ſię, czy Lindor nakłonił ſię wyiechać dobrowolnie.

SCENA II.

BARON, KLEANT, ORPHISE.

BARON.

I Coż moia Siostro?

ORPHISE.

Ach biedne Dziecko, biedne!

BARON.

I coż poiechał?

ORPHISE.

Jeszcze, ale ia mowiłam mu z powagą i żwawo, że zapewne się pomiarkuie powoli. Z tym wszystkim strasznie mi zranił serce, iak się dowiedział, że kuzynka iego iutro idzie za mąż; omdlał, a potym wpadł w furyą, i raz płacze, drugi raz się gniewa, na koniec zostawiłam go z twoim Synem, który go zechce zaspokoic; i kazałam Marcie, aby tu do nas przyprowadziła Zofią, żeby się nie spotkała z tym szalonym Młodzieńcem.

BARON.

BARON.

Coż tedy będziemy robili? Jeżeli zoſtanie, zrobi tyſiąc głupſtw....

KLEANT.

A choćbyś mu gwałtem kazał wyiechać, on ſię ſkryie gdzie bliſko....

BARON.

O! nie bardzo mnie łatwo oſzukać.. Ale mi przychodzi myśl wyborna, słuchayno co ia myślę... (*do Kleanta.*) Co byś ſię miał iutro żenić, weź ślub dziſiay w wieczor. Nic łatwieyſzego; intercyza ieſt gotowa. . . .

KLEANT.

I coż za tym poydzie?

BARON.

Oto tak; poydę do mego Synowca, będę go namawiał łagodnie, aby wyiechał, z kondycyą iednak, że mu dla konwoiu do Strazburga przydam Kamerdynera, którego ieſtem pewny.

ORPHISE.

Tak, la Fleur.

KLEANT.

Bardzo dobrze, a ieżeli nie zechce konwoiu?

BARON.

O! na ten czas użyię mocy, i zamknę iak nieposłusznego w Officynie nowey aż do iutra.

ORPHISE.

To nadto surowo.

KLEAAT.

Prawda, ta konieczność byłaby okropna.

BARON.

Jednakże tak musi bydź, upewniam. . . .

ORPHISE.

Ach moy Braciszku!. . .

BARON.

Ach moia Siostro, ia wiem dobrze że ty masz litość nad Lindorem, ale tu idzie o to, aby uprzedzić złe skutki, które bydź mogą niebespiecznieysze, niż niewola przez 24. godzin.

ORPHISE.

Ale gdy go zamkną, a on zacznie wrzeszczeć. . . .

BARON.

O! niech wrzeszczy iak chce, nie będzie słyszany od nikogo; ta Offi.

cyna ieſt dobrze opatrzona, nikt w niey nie mieſzka, dziedziniec i ogrod ią oddziela, więc....

ORRPHISE.

Jak ſobie chceſz, mow tedy z nim, tylko ia bardzo wątpię żebyś co wſkorał.

BARON.

O! on ſię mnie boi, ſpodziewam ſię że mnie uſłucha i wyiedzie. Bądźcie zdrowi: Ty moia Sioſtro miey oko na Zofią, żeby o tym wſzyſtkim nic nie wiedziała, boby ſię na nic nie przydało. (*wychodzi*)

SCENA III.

ORPHISE. KLEANT.

KLEANT.

PASSYA tego młodzieńca wielce mnie obchodzi, tak prawdziwa i tak gwałtowna. Czy W. M. Pani rozumieſz, iż Zofia dowiedziawſzy ſię do

iakiego ſtopnia on ią kocha, okaże na to ſerce nieczułe ?

ORPHISE.

Kto! Zofia?.... Ona ieſt tak proſta i niewinna!

KLEANT.

Czy nigdy nie ſłyſzała o miłości ſwego Kuzyna?

ORPHISE.

Ach! mogę cię zapewnić, że naymnieyſzey rzeczy o tym nie wie; iam ią wychowała, ia ią znam lepiey iak mnie ſamą, bom ią ſtarała ſię poznać ſzczegulniey, a wieſz dobrze że mi nie zbywa na przeniknieniu. Zofia ieſt dobra, łagodna, powolna, ale co chuci iey wſzyſtkie ſłabe i umiarkowane; ona przy moim ſtaraniu nie zna nazwiſka nawet miłości, i poprzyſięgam ci, że nie ieſt zdolna uczuć ią kiedy.

KLEANT.

Będzie tym ſzczęśliwſza.

ORPHISE.

Ma ona wſzyſtkie przymioty, które męża uſzczęśliwić mogą; powiem ci nawet. że gdyby Lindor miał ſześć

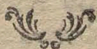
lub ſiedm lat więcey, mogłabym nakłonić Brata mego, aby wydał Zofią za niego, a na uwieńczenie tego związku, byłoby mi miło zapiſać cały moy maiątek; ale moy Siostrzeniec może ſię lepiey ożenić, ma piękne imie, urodę kſztałtną, mam napiętą dla niego żonę, Corkę bogatą iednego z Poborcow. . . . Ale podobno ſłyſzę głos Zofii, muſzę iey oznaymić że ślub będzie tego wieczora.

KLEANT.

Ja ciebie z nią zoſtawuię, tylko moia Pani, nadewſzyſtko proſzę, abyś ſię iey ſkłonności w niczym nie ſprzeciwiała. (*wychodzi.*)

ORPHISE, *ſama.*

O ia nie pozwolę, aby miała ſkłonność przeciwną moiey woli; nigdym ia nie zcierpiała z ſobą rezonować ani tłomaczyć. Tak to potrzeba edukować młode Panienki! Ale otoż i ona. . . .



SCENA IV.

ORPHISE, ZOFIA, MARTA.

ORPHISE, *na ſtronie.*

MUSZĘ wprzod pomiarkować czy iuż nie wiedzą o czym. (*głośno.*) Zbliż ſię Zofio; ſpoźniłaś ſię tu z twoim przybyciem, czyś ſię z kim nie ſpotkała?

ZOFIA.

Nie Mościa Dobr.

ORPHISE.

A ty Marto?

MARTA.

Spotkałam ſię z P. Kleantem, który miał minę ſmutną i zamyśloną, właśnie nie przyſtałą na P. Młodego przed ſwym ślubem.

ORPHISE.

Ale, ale, moia Sioſtrzenico, mam ci powiedzieć dobrą nowinę; miałaś iutro poyść do ślubu....

Marta.

Czy się iuż rozeszło wesele?

Orphise.

Cicho, milcz.... (*do Zofii.*) Ułożyliśmy że weźmiesz ślub tego wieczora!...

Zofia.

Tego wieczora!... (*na stronie.*) o Nieba!...

Marta.

I koniecznie z P. Kleantem?...

Orphise.

Co zagłupie pytanie, a z kimże?

Marta.

Ale W. Pani Dobr. powiedziała, że masz powiedzieć dobrą nowinę!

Orphise.

Już to od dawnego czasu Marto, twoie głupstwa są mi nieznośne, potrafię ukrocić one.

Zofia.

Tego wieczora!... Przyznam się moia Ciotko, że ten pospiech mnie zadziwia.

Orphise.

Jestem pewna, że ci on nie czyni przykrości, idziesz za Męża bardzo uczciwego i kochanego....

MARTA.

Och! . . .

ORPHISE.

Eyże. . . .

MARTA.

Ja Mościa Dobr. nic nie mowię.

ORPHISE.

Znaſz twoie powinności i poſłuſzeńſtwo, które ieſt nadewſzyſtko, związek ktory cię czeka, pewnie nie zaſmuci twego ſerca.

MARTA, *na ſtronie.*

Piękny wnioſek i rozumny....

ORPHISE.

Muſzę uczynić rozporządzenie potrzebne względem weſela; wy tu obydwie zoſtańcie, i nie wychodźcie poki wam nie każę. . . . Rozumieſz Marto?

MARTA.

Rozumiem Mościa Dobr. ale nie poymuię, dlaczego tu nas oſadzaſz w areſzcie....

ORPHISE.

Ja nigdy nie daię przyczyny, kiedy roſkazuię, powinnaś to wiedzieć.

MARTA, *na ſtronie.*
Chwalebny i przyiemny zwyczay!..

ORPHISE.
Żegnam cię, ſtaray ſię bydź weſołą, i nie przychodź dziś w wiezcor z miną poſępną, która wcale nie przyſtoi do twego Stanu. (*wychodzi.*)

SCENA V.

ZOFIA, MARTA.

MARTA.
TAK, tak, nie daway nam przyczyny, wiemy my dobrze co mamy czynić....

ZOFIA.
Ach Marto!...

MARTA.
I coż Mościa Panno; coż będziemy czyniły? Naradźmy ſię. Lindor ieſt tu; gdyby iako można ſztucznie go poſtawić na mieyſcu Kleanta. . . .

ZOFIA
Ach w oſtatniey ieſtem rozpaczy.

MARTA.

Czyniſz twoią powinność, tak bydź powinno; ale ia co więcey mam krwie zimney, mogę pomyśleć i zaſtanowić ſię. . . . Powiedź mi M. Panno, czy to Brat W. Panny opowiedział wſzyſtkie okoliczności tak nagłego przybycia?

ZOFIA.

Jużem ci powiedziała, Brat mi oznaymił o wſzyſtkim w ſwoim bilecie.

MARTA.

Powiadałaś mi to bardzo krotko, i tak prędko. . . .

ZOFIA.

Lindor ieſt u mego Brata, który na niego nalega, aby wyiechał. . . .

MARTA.

Ale twoy Brat, który cię tak kocha, powinienby zrządzić abyście ſię z ſobą widzieli, co łatwo bydź mogło w ten czas, gdy twoy Oyciec, Ciotka, i mniemany Kawaler tu bawili.

ZOFIA.

Moy Brat dał ſłowo Ciotce, że Lindor nie wyidzie od niego, ale widząc ſwego Kuzyna nieſzczęſnego w rozpaczy, tyle mu łaſki na proźbę iego uczynił, że mu pozwolił napiſać liſt, który do mnie odeſłał.

MARTA.

Dobrze i to.

ZOFIA.

Oto ten liſt luby i ukochany, który mi wolno ieſzcze ſkrapiać rzewliwemi łzami, bo ieſtem wolna; ale tego wieczora, o Boże! będę muſiała wyrzucić z pamięci miłość iak czułą tak nieſzczęśliwą.

MARTA.

Prawdziwie ty pięknie rozprawiaſz; każdyby to ſłyſząc powiedział, że ſzczerze kochaſz, a iednak nie ma nic z tego.

ZOFIA.

Jak to?

MARTA.

Ach gdybyś W. Panna kochała, nie byłabyś tak boiaźliwą w oświadczeniu ſię Rodzicom i odſtąpieniu ſwego Amanta bez odporu.

ZOFIA.

Coż chceſz abym czyniła? Nauczono mnie dwoch tylko prawideł, które były zaſadą moiey edukacyi; ſłuchać i milczeć; Ja ich dopełnię, ale i żyć przeſtanę.

MARTA.

Tam do Kata, piękne nauki, a ieſzcze dla Kobiety.

ZOFIA.

Moia Ciotka nie pozwoliła mi nigdy i na moment poufałości do ſiebie. . . .

MARTA.

Prawda, ona nie lubi ani odpowiedzi, ani wymowki, i gdy ſama ſię nagada do woli, każe milczeć, i nic nie chce ſłuchać. Ja wiem mowi ona, że ty myśliſz to, że w tym zdanie twoie ieſt przeciwne; a co nayśmieſznieyſza, że iey domyſł nigdy nie ieſt ſprawiedliwy, i zawſzeby można odpowiedzieć przeciwnie. . . .

ZOFIA.

I dla tego byłoby mi bardzo trudno przed nią z czym otworzyć ſię. Ach iakby mi było miło patrzyć na

nią iak na Przyiaciołkę, iey się poradzić, wyznać przed nią moie słabości, obrać ią sobie za przewodniczkę, i poyść za radą podaną z dobroci i przywiązania! . . .

MARTA.

Ach Mościa Dobr. pocieſz się tym przynaymniey, że rzeczy są ułożone lepiey dla ciebie i dla mnie. Gdyby twoia Ciotka była twoią przyiaciołką, iabym nie była twoią Konfidentką, a rady które ci podam, będą pewnie zdatnieyſze do twoich zamysłów, niżeli którebyś od niey odbierała.

ZOFIA.

Słyſzę kogoś. . . . Ach dla Boga! to moy Brat. . . .

MARTA.

Tak ieſt, właśnie.

SCENA VI.

ZOFIA, MARTA, TERVILLE.

ZOFIA.

ACH moy Braciſzku. ... A coż Lindor? . . .

TERVILLE.

Oyciec moy chciał go namowić do wyiazdu, ale Lindor z niepoiętą zaciętością oświadczył śię, że nic go na świecie do tego nakłonić nie potrafi; że ieſteś ieſzcze wolna, że chce śię z tobą widzieć, mowić, i innych tyśiąc głupſtw nagadał.

ZOFIA.

I coż moy Oyciec uczynić zamyśla?

TERVILLE.

Ach ieden ſpoſob, ktory ci śię zda bydź gwałtowny, ale iednak w iſtocie. . . .

ZOFIA.

Jak to moy Braciſzku?

TERVILLE.

Ale uſpokoy śię. Dałem ſłowo memu Oycu, że nie dozwolę Lindorowi widzieć śię z tobą, tobie zaś przyrzekłem zdawna moie zaufanie i dochowam wiernie moich obowiązkow. Otoż tak powiadam ci ſzczerą prawdę. Oyciec moy kazał ſobie zawołać Lindora do nowey Officyny, tam po długiey rozmowie Lindor przez ſwoią u-

porczywość przywiodł Oyca mego do ostatniego.

ZOFIA.

I coż? . . .

TERVILLE.

Oto Oyciec moy wyszedł nagle z pokoiu i drzwi za sobą na dwa rygle zamknął, a biedny Lindor został w więzieniu.

ZOFIA.

Jak to! w więzieniu?

MARTA.

Otoż nieszczęście!

TERVILLE.

Tak iest w więzieniu, ale tylko do iutra, gdyż moia Siostro dziś w wieczor poydziesz za Kleanta; po twoim ślubie Lindor będzie wolny, i zapewne sam będzie chciał odiechać. . . .

ZOFIA.

Nieszczęsny, będąc tak czułym i popędliwym, iak się musi gniewać! o Nieba! a moy Oyciec i Ciotka, nie lękaią się iakiego nieszczęścia?

TERVILLE.

Kamerdyner La Fleur iest z nim.

MARTA.

Ach tym gorzey, to ieſt Głupieę nie ubłagany.

TERVILLE.

Zofio, ty płaczeſz?

ZOFIA.

Ach! nie kryię ſię z tym. . . . o Lindor! nieſzczęśliwy Młodzieńcze na któregom z tak dawna poglądała iak na Brata; Ja to ieſtem przyczyną twoich troſkow. Jedna ſzczegulnie litość moia dla ciebie pozoſtała, a i ta na nic ci ſię nie przyda; Coż mowię! może on rozumie że i ia ieſtem ſpolniczką obrzydłey zmowy, która mu nawet wolność wydziera.... ach! ta iutro będzie mu przywrócona, ale ia, ia, o Boże! . . . (*upada na krzeſło i zakrywa ſobie twarz chuſtką.*)

TERVILLE.

Moia Sioſtro, dla Boga upamiętay ſię, gdyby cię kto zaſtał w tym ſtanie.. . . .

ZOFIA.

Ach przynaymniey pozwol mi mowić ten raz oſtatni.

TER-

Terville.

Zdawna ia czytam w fercu twoim.

Zofia.

Nie, nieznafz wcale moiey flabości, byłam kochana, kochałam, co większa, odważyłam się wyznać...

Terville.

Jako! to wie Lindor, że go kochafz?

Zofia.

Wyieżdżaiąc de Strazburga pifał do mnie, nie odpifywałam mu przez fześć miefięcy, aż nakoniec...

Marta.

Korrefpondencya się zaczęła ciągle z obu ftron, upewniam.

Terville.

Zadziwiam się nad milczeniem Lindora, nie wymowił i iednego flowa zkądby można pofądzić....

Zofia.

Zachowuie moy rozkaz; gdy mi moy Oyciec oświadczył przed ośmią miefięcami, że mnie ma wydać za Kleanta, pifałam do Lindora odeymuiąc mu wfzelką nadzieię, ale dla

wſzyſtkiego oſtrzegłam go, że moie poſtanowienie nie może bydź prędzey iak za lat dwie lub trzy; proſiłam go, aby żadnego nie czynił kroku, przydaiąc że więcey piſać do niego nie będę.

TERVILLE.

Jako! czy to bydź może, aby Lindor z natury tak popędliwy, mogł to zachować, czegoś po nim wyciągała?

ZOFIA.

Ach! czułość uśmierza iego zapędy, boiaźń mnie ſię niepodobania, lub oſtawienia, wſzyſtko nad nim może, i wola moia ieſt dla niego wyrokiem nieodzownym. Dotego podchlebiał ſobie, że czas odmienić może ułożenie Oyca mego. . . . Ale dowiedziawſzy ſię o moim ślubie z Kleantem w tych dniach naſtąpić maiącym, rozpacz i miłość tu go ſprowadziły; nie chciał on pewnie tylko widzieć ſię ze mną, i odwołać ſię do prawa którem mu pozwoliła nad ſercem moim. . . . Nieſtety! ten był iedyny iego zamyſł, mogł wſzyſtko obiawić

memu Oycu, pokazać mu moie liſty, lubom ſię tego nigdy nie obawiała. Ach znam ia Lindora, ieſt on gwałtowny, popędliwy, zdeſperowany, ale iednak milczeć potrafi, i nigdy bez mego zezwolenia ſkrytości naſzych nie wyiawi.

MARTA.

Dalibog! Mościa Panno, iabym rada żeby on ſię przyznał; P. Kleant uſtąpiłby mu mieyſca, i iego nieuważność byłaby dla nas pożyteczniey-ſzą, niżeli milczenie.

TERVILLE.

Ach! moia Sioſtro czemużem ia dawniey o tym nie wiedział!...

ZOFIA.

Nie byłeś obecny, i nie powróciłéś ſię aż po czaſie, gdym już nie mogła otworzyć ci ſerca mego, będąc obiecana Kleantowi....

TERVILLE.

Ach, iakżeś nie przeyrzała, że zbytnia młodość Lindora, i ſzczupłość maiątku iego, będą nie przełomaną zawadą?...

ZOFIA.

Ja go kocham od moiego poznania, wymowiłam się przed nim, wprzod nim wiedziałam, co iest miłość, którą we mnie wzniecił....

MARTA.

A potym kiedy się wie, to milczy, i nie śmie się słowa wymowić, ale samo milczenie mowi; Amant się domyśla, zapytuie, nalega, gniewa się, lęka, frasuie; nie kłamiąc wysyła się do Strazburga List dowcipny, który znosi wszelką wątpliwość.

TERVILLE.

Moia kochana Zofio, iak ia ciebie żałuię!... Lindor iest bardzo młody!.. wierzay mi, iż niech ma naywiększą miłość ku tobie, gdy straci nadzieię, wkrotce zapomni o wszystkim, i o dolegliwościach których doznał. Względem zaś ciebie moia Siostro, przywiązanie Familii którey dopełnisz życzenia, wesprze twoie męstwo w pierwszych momentach. Cnota zawsze nadgradza ofiarę dla siebie uczynioną. Doznasz kochana Zofio; a dotego Kleant ma tysiąc

pięknych przymiotow, nie ieſt pierwſzey młodości, ale ma rozum, łagodność, a nadewſzyſtko chęć uczynienia cię ſzczęśliwą.

Zofia.

Ja go ſzacuię, i poważam iego przymioty.... ala możęż ſię ſpodziewać bydź kiedy ſzczęśliwą? ... Ty mowiſz moy Braciſzku, że Lindor o mnie zapomni, nieſtety! ia życzę dla iego uſzczęśliwienia, ale wierzyć temu niechcę!

Terville.

Wſpomniy, że on ma lat ſiedmnaście.

Zofia.

I to ma bydź dowodem? Nie ieſteśmyż iednych lat? ...

Marta.

Cicho, cicho, ktoś idzie...

Zofia.

O Nieba! ...

Terville.

Jakże cała ieſteś drżąca. ... Moia Sioſtro pamiętay ſię! ...

Zofia.

Zdaie mi ſię, że ſłyſzę głos Kleanta. ...

MARTA.
Nie, nie, to Pani Orphiſe...

ZOFIA.
Ach moy Braciſzku nie odſtępuy mnie!

TERVILLE.
Nadewſzyſtko uday dobrze, że nie wieſz o niczym.

MARTA.
O! nie boy ſię, my ieſteśmy prawda boiaźliwe, ale umiemy pięknie ukrywać.

SCENA VII.

ZOFIA, MARTA, TERVILLE, ORPHISE.

ORPHISE, *do Zofii.*
ZOFIO, Oyciec ciebie woła, idź zaraz do niego.

ZOFIA.
Jak to moia Ciotko!... czy iuż do....

Orphise.

I coż to znaczy ta mina wyſtraſzona, o czym to ſądziſz? powiedz mi.

Zofia.

Czy iuż do podpiſu....

Orphise.

A choćby i tak było?... Albo nie wieſz że dziś maſz iść do ſlubu?... Otoż ſzlochy! prawdziwie robiſz ſię dziecięciem....

Terville.

Ach moia ciotko, mow z nią powolniey.

Orphise.

Nie, ona mnie gniewa... (*do Zofii.*) Ty ieſteś kontenta, że idzieſz za mąż, znaſz dobrze pożytki, które ci iednaią.... a iednak płaczeſz. . . . to nie zgadza ſię z rozumem. No, otrzyi te łzy, ieſtem pewna że ſą oſtatnie które widzę; iuż ſię na ciebie więcey nie gniewam, uściſkay mię.

Zofia.

Moia Ciotko, czy moy Oyciec ſam ieſt?

Orphise.

Tak, sam iest, czeka na ciebie. Idź Zofio, Marta poydź za nią.

Zofia,

na stronie wychodząc.

Ach iakże ukryię frasunek, który się pomnaża co moment. ... (*wychodzi.*)

SCENA VIII.

ORPHISE, TERVILLE.

Orphise.

TRUDNO iest uchodzić te młode głowy, muszę użyć wszelkich sposobow, abym swego dokazała.

Terville.

Jakże moia Ciotko, co robi Lindor?

Orphise.

Wielki harmider, ... prawdziwie w okropnym iest stanie. Coś to w tym bydź musi, zapewne sądzi że go ona kocha... w tym wieku wszystkiemu się wierzy.

TERVILLE.

To dobrze, czy tak myślisz?

ORPHISE.

Był wychowany razem z Zofią, odebrał wiele dowodow przyiaźni, i założę się, iż rozumie, że go ona kocha.

TERVILLE.

A ty rozumiesz pewnie, że on się myli?

ORPHISE.

O! iam ią wychowała, iestem spokoyna, patrzyłam na nią zbliska....

TERVILLE.

I Zofia ma dobrą naturę....

ORPHISE.

Przytym Edukacya daie wszystko.

TERVILLE.

Prawda, to iest pewna; i choćby w czym Zofia wykroczyła, nie można by narzekać tylko na ciebie.

ORPHISE.

I ia tegoż iestem zdania. Ach moy Siostrzeńcze, znam twoy rozsądek i serce, więc ci ieszcze chcę powierzyć ieden sekret, ale day mi słowo honoru, że nie wspomnisz o tym

przed nikim, nawęt i przed Kleantem.

TERVILLE.

Daię go.

ORPHISE.

Nie iesteś dzieckiem, można ci prawdę powiedzieć.

TERVILLE.

O coż to idzie?

ORPHISE.

Oto w ten moment twoy Oyciec opowiada Zofii o wszystkim, a między innemi i to, że Lindor przez to iest naywinnieyszy, że od trzech miesięcy ułożył ożenić się z iedną Panienką z tey Prowincyi, gdzie sam iest w Garnizonie, że ta Panienka iest bogata, i ładna, słowem że iuż wszystko było gotowo, gdy Lindor dowiedziawszy się o zamęściu Zofii w taką wpadł cholerę, iż nie wiedzieć z iakiego powodu nagle tu przyiechał....

TERVILLE.

Ale moia Ciotko, coż za koniec tey historyi?

ORPHISE.

Ale zaraz obaczyſz . . . Zofia będąc niewinna, i łatwowierna, uwierzy temu wſzyſtkiemu; potym moy Brat przyda, że ieſtem bardzo zagniewana na Lindora i że go wydziedziczę, gdyż wiem, że w ten czas gdym układała iego ożenienie, piſał do twoiey Sioſtry liſt miłoſny, i dla tego ona ieżeli chce, żebym ſię przebłagała i uczyniła wolnym Lindora, niech wyczyni przedemną iego głupſtwo, iż ſama nie poymuie iak ſobie mogł uroić w głowie, że go ona kocha, kiedy nie ma żadney ſkłonności do niego, i że z chęcią poydzie za Kleanta.

TREVILLE.

Jakto! Zofia ci to wſzyſtko ma powiedzieć, i na coż ſię to zda?

ORPHISE.

Ona tu będzie mowiła ze mną. . . . O ściane tey ſali maſz ſwoy gabinet, day mi tedy klucz, a ia tam każę wprowadzić Lindora. Przez to przepierzenie będzie ſłyſzał naſzą rozmowę, a na ten czas gdy ſię przekona, że Zofia nie ma żadney chęci ku niemu,

łatwo ztąd wyiedzie. Coż mowiſz o tym wynalazku, wſzak nie zły?

TERVILLE.

Ale moia Ciotko, czy doprawdy rozumieſz, że Lindor piſał do moiey Sioſtry?

ORPHISE.

Nie, to tylko dla poruſzenia umyſłu Zofii, udawać będę że ſię gniewam na Lindora.... Zofia miałaby odbierać Bilet miłoſny, bez moiey wiadomości, toby była rzecz bardzo śmieſzna... Oy! Panienka moiey pieczy powierzona, muſi bydź dobrze ſtrzeżona, wierzay mi; a potym niech to będzie między nami, twoia Sioſtra wcale ſię na niczym nie zna....

TERVILLE

A ty moia Ciotko tak przebiegła!.

ORPHISE.

O! ia ſię z tym nie chwalę; przenikłość ieſt darem z Nieba, oddzielnym od rozumu i doświadczenia; iam ſię tak urodziła... Ale nie traćmy czaſu, day mi klucz.

TERVILLE, *oddaiąc klucz.*

Zyczę żeby się ta ſztuka udała podług twoiey myśli, ale nie wiem, bardzo się boię, żeby to na złe nie wyſzło.

ORPHISE.

Nie turbuy się, ia się nigdy nie troſzczę o ſkutek tych rzeczy, do których się przyłożę.... Bądź zdrow, czekay tu na mnie, powrocę za moment. (*wychodzi.*)

SCENA IX.

TERVILLE, *ſam.*

SMIać mi się chce z iey przenikłości!... Gdyby chciała bydź Kobietą, nie taką iak ieſt, Zofia by ią kochała, a zaufanie byłoby ią zachowało od kłopotu, do którego Intryga nieſzczęſna ią przywiodła.... Biedna Zofio! zła edukacya nabawiła cię nieſzczęścia i błędow!... Co za koniec będzie tego wſzyſtkiego?... Jak ia się

lękam czułości moiey Siostry, oraz popędliwości iey Amanta! Jak on ią kocha! Jak ieſt godzien politowania w ſwey chuci! A co mnie naywięcey w nim zadziwia, to iego milczenie i delikatność, przy tak żywym charakterze tyle mieć utrzymałości! . . . Ach! zaiſte, miłość gdy ieſt prawdziwa, oświeca rozum; formuie ſerce, i umie nowe utwarzać cnoty.... Ale ſłyſzę iuż głos moiey Ciotki, tak ieſt nie mylę ſię, ona ieſt, ach iak zadyſzana!

SCENA X.

TERVILLE, ORPHISE.

TERVILLE.

A co, przyidzie?

ORPHISE.

Przyidzie zaraz... . Trzeba żebyś wiedział, że iuż ſzukał tyſiącznych ſpoſobow na ułudzenie La Fleur, czemu ia bardzo rada, gdyż iak

wieſz, umiem ze wſzyſtkiego pożytkować.... Naſtroiłam La Fleur, aby mu w ten moment powiedział, iż tknięty nakoniec iego ſtanem, pozwala mu poſłuchać mowiącey Zofii, która ieſt w ſali, i....

TERVILLE.

To dobrze, La Fleur ſprowadzi go do gabinetu; ale czy rozumieſz, że Lindor raz wyſzedłſzy z więzienia, zechce potym nazad powrocić?

ORPHISE.

O! wſzyſtkom ia przewidziała.... Mam ia głowę nie dla kſztałtu.... La Fleur mu więc powie, że ta ieſt iedyna łaſka, którą mu uczynić może, ale pod kondycyą, ieżeli mu da ſłowo honoru, że za poł godziny powroci dobrowolnie do Officyny.

TERVILLE.

Ach moia Ciotko! iuż co tego pochwalić nie mogę; Lindor ma lat ſiedmnaście, ieſt zakochany, pewnie ſłowa nie dotrzyma!...

ORPHISE.

Prawda, i ia ſię tego troche lękam.. Jednakże La Fleur przełoży mu ſku-

tki niebeſpieczne, gdyby miał uchybić ſwemu przyrzeczeniu....

TERVILLE.

Młodość, miłość, i rozpacz dokażą tego na nim, że zapomni o wſzyſtkim....

ORPHISE.

To prawda ... i to ieſt iedno, co mnie czyni nieſpokoyną....

TERVILLE.

Ale to ieſt punktem nayiſtotnieyſzym. . . . Nie beſpieczna ieſt wyſtawiać Lindora na niedotrzymanie ſłowa. . . . Dla Boga moia Ciotko, ty która ieſteś tak zdatna do wynalazkow, czybyś nie znalazła inſzego na to ſpoſobu? Prawdziwie co tego, trzeba koniecznie odſtąpić, który wyſtawia honor na niebeſpieczeńſtwo.

ORPHISE.

O! iuż nie ma czaſu, La Fleur pewnie powiedział, co miał powiedzieć, iuż ſię ſtało. . . .

TERVILLE.

Tym gorzey, to ieſt co mię ſmuci.

ORPHI-

ORPHISE.

Nie maſz iuż na to ſpoſobu, trzeba zapomnieć..., Ale czego tam chcą?... to pewnie. . . . ktoś idzie do mnie z oſtrzeżeniem. . . .

LOKAY.

La Fleur przyſłał mnie....

ORPHISE.

Czy iuż wyſzli z Officyny?...

LOKAY.

Tak Mościa Dobr. iuż idą....

ORPHISE.

Doſyć, idź ſobie, przyidzieſz mi powiedzieć, iak Lindor wniydzie do gabinetu. (*Lokay wychodzi.*) Twoia Sioſtra miała tu bydź, idź poſzukay iey, i zaraz mi ią tu przyſzliy.

TERVILLE.

Otoż ieſt, właśnie i ona, ia odchodzę.... ale koniec tego wſzyſtkiego wielce mnie trwoży... (*wychodzi.*)



SCENA XI.

ORPHISE, ZOFIA.

ORPHISE, *na ſtronie.*

JAK ona ma minę ſmutną!

ZOFIA, *na ſtronie.*

Lindor by mnie miał oſzukać!... o Nieba!... ach moia Ciotko, ſzukam ciebie.

ORPHISE.

I coż?... Ale poczekayno mam ci coś powiedzieć.... (*przyſuwa ſię do Lokaia który wchodzi i ſzepcze iey do ucha, ona kończąc.*) Dobrze, idź ſobie. (*na ſtronie.*) Jeſt iuż w Gabinecie, trzeba ſię przyſunąć do przepierzenia. (*Siada naprzeciw przepierzenia, Zofia ſtoi przed nią zamyślona, i nie uważa iey ruſzenia.*)

ORPHISE.

I coż Zofio! poydźże... czego chceſz?

ZOFIA *zbliżaiąc się.*

Moia Ciotko, ia wiem, że Lindor tu się znayduie, że iest zamknięty w nowey Officynie.

ORPHISE, *głos podnosząc.*

Ach! ach, ktoż ci to powiedział?

ZOFIA.

Moy Oyciec.

ORPHISE.

I coż tedy na to mowisz?

ZOFIA.

Ale moia Ciotko, ia tego nie rozumiem wcale.

ORPHISE.

Zdaie się że Lindor w tobie zakochał się?

ZOFIA.

Och, nie, moia Ciotko.... nigdy mię nie kochał, iestem pewna.

ORPHISE.

Ale iednak iego postępek pokazuie przeciwnie; mnie się zdaie żeście mieli z sobą porozumienie, i....

ZOFIA.

Ale moia Ciotko to cię naywięcey powinno przekonać, żeśmy się nie

kochali, gdy mię widzisz powolną Oycu memu bez oporu....

ORPHISE, *bardzo głośno.*

To prawda, żeś pokazała radość z wyboru Kleanta, ale możeś nas zwodziła, przyznay mi się teraz szczerze, wszak ieszcze nie po ślubie, czy z ochotą poydziesz za Kleanta?..

ZOFIA, *na stronie.*

Ach co za proba....

ORPHISE, *ciszey troche.*

Odpowiedz tedy.

ZOFIA.

z miną przymuszoną.

Tak moia Ciotko.... z ochotą....

ORPHISE, *głośno.*

Otoż to iest mowić z szczerego serca, z wyrażeniem i miną która mnie przekonywa; No, iuż tedy ci wierzę. Taką rzeczą Lindor byłby szalony, bezrozumny....

ZOFIA.

Ach! pewnie w iego postępkach nie upatruię tylko nieuwagę i nierozsądek.... Ale dla Boga! coż to ia słyszę za hałas za ścianą?...

ORPHISE.

Coż ci ieſt, blednieieſz ? ...

ZOFIA.

Ja nie wiem, coś za głos w ten moment. . . .

ORPHISE.

O ! to w gabinecie. . . . to Brat twoy zapewne. . . .

ZOFIA.

Poiąć nie mogę, iakem ſię zmieſzała ! . .

ORPHISE, *na ſtronie.*

Co to ieſt Inſtynkt. . . . Idź Zofio do ſwego pokoiu, iak będzie czas, to ci dam znać. . . .

ZOFIA.

Moia Ciotko, czy koniecznie dziſiay ? . . .

ORPHISE.

Dziſiay, o poł nocy poydzieſz za Kleanta, to ieſt za cztery godziny.

ZOFIA, *na ſtronie odchodząc.*

Za cztery godziny, o Nieba ! . . . (*wychodzi.*)

ORPHISE, *ſama.*

Lindora zapewne iuż nie ma w gabinecie, muſzę ſię dowiedzieć. . . . Ale otoż i moy Brat !

SCENA XII.

ORPHISE, BARON, TERVILLE.

ORPHISE.

A cóż Lindor? . . .

BARON.

Biedny chłopiec, dotrzymuiący słowa, wrocił się iak baranek do swego więzienia.

ORPHISE.

O! ia byłam tego pewna, przewidziałam to.

TERVILLE.

A co ia przyznam się, bardzom się obawiał, i ten sam Lindora postępek, tym więcey mnie do niego przywiązuie.

BARON.

I ia z moiey strony podsłuchiwałem; Lindor wyszedł zapalczywy, czy nie słyszałaś iak zawołał?

ORPHISE.

Bardzo wyraźnie, i Zofia także, ale ona nic się nie domyśla, zupełnie się

zdaie na twoię wolą; iuż tedy dzięki moim ſtaraniom, zupełnie wyſzliśmy z kłopotu.

BARON.

Kazałem Kamerdynerowi, aby go zamknął w iego pokoiu i zoſtawił ſamego; będzie miał dwie godziny do namyślenia ſię, a potym po wieczerzy poydę do niego, i zapewne go nakłonię do wyiazdu. Gdyż dobrze mowiſz, że on ſądzi iż ieſt kochanym, co naywięcey dowodzi iego rozpacz żeś rozmawiała z Zofią.

TERVILLE.

Można mu wybaczyć to rozumienie, bo w rzeczy ſamey wart ieſt kochania. I gdy ſię zaſtanawiam, ia nie poymuię moy Oycze, za co miłość tego młodzieńca ciebie nie wzruſza? Zofia byłaby ſzczęśliwa za nim.

BARON.

Ty mowiſz podług ſwego wieku, a ia czynię według mego. Czy chceſz żebym uchybył ſłowa danego, żebym afrontował mego przyiaciela od lat ośmnaſtu, abym odſtąpił tak pomyślnego poſtanowienia dla moiey Corki,

a to wſzyſtko dla głupiego pobłażenia, dla ſzaleńſtwa iednego Dziecka, które za dwa tygodnie o wſzyſtkim zapomni.

TERVILLE.

Ale moy Oycze....

BARON.

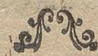
Ale ia nie lubię perſwazyi, powinieneś wiedzieć, że ieſtem nieodmienny, i że nie umiem ſię ſprzeciwiać moim ułożeniom.... Poydźmy moia Sioſtro, poydźmy, poſzukaymy Kleanta do podpiſania Intercyzy, i ſkończmy potrzebne przygotowania do ślubu. Poydz.

ORPHISE.

Idę. (*wychodzą.*)

TERVILLE, *ſam.*

Jużem chciał wſzyſtko odkryć moiemu Oycu, ale boiaźń wydania Zofii, wſtrzymała mnie. A potym ten ſekret nie ieſt moim, muſzę go zachować. Gdyby Zofia przełomała ſwoią boiaźń, upadła do nog Oycu, wyznała przed nim wſzyſtko, możeby.... Ale ſłyſzę iey głos.... to ona, iakże ma minę ſmutną i ſtroſkaną!



SCENA XIII.

TERVILLE, ZOFIA.

ZOFIA.

ACH moy Bracifzku!... (*ogląda ſię.*) Czy nas tu kto nie wyſłucha?

TERVILLE.

Nie, ieſteśmy ſami.

ZOFIA.

Jeſzcze ci raz chcę odkryć ſerce moie! . . . Ach! co to ieſt mieć ſerce głęboko zranione! Czybyś mogł uwierzyć moy Bracifzku? Lindor mnie zwiodł! ... Ale ty zapewne iuż wieſz o wſzyſtkim.

TERVILLE.

Prawda moia Sioſtro.... (*na ſtronie.*) Ach za coż mi nie wolno iey wyprowadzić z błędu! ...

ZOFIA.

Widziałeś mnie niedawno rozpaczaiącą. ... i ſądziłam że ieſtem iedynie kochaną; Nieſtety, nie wiedziałam że mię cięższy fraſunek czeka!..

Już teraz nie mogę ſię nic gorſzego ſpodziewać. . . . Ach moy Braciſzku, iak ia ieſtem nieſzczęśliwa!

TERVILLE.

Ale ieżeli rozumieſz, że Lindor ieſt nie ſtały, ieżeli go więcey nie poważaſz, iakże go możeſz ieſzcze żałować?

ZOFIA.

Gdybym tracąc iego ſerce mogła dla niego zachować ſzacunek, możebym z czaſem znalazła pociechę.... ale piſuiąc do mnie Liſty tak czułe, zezwalał ſkrycie na ułożenia Ciotki moiey, krył ſię przedemną z niemi, i mnie oſzukiwał. . . . Ach bez wątpienia, muſi znać tę oſobę, z którą ſię ma żenić, ieſtem pewna że ią kocha, moy Braciſzku ty o tym wieſz, powiedź mi. . . .

TERVILLE.

Ja upatruię w twoich boiaźniach kochana Zofio, zbytek twey namiętności, która nad tobą panuie. Czy chceſz uſłuchać moiey rady, wſzak ieſzcze czas ieſt, wyznay wſzyſtko przed Oycem, ia cię ſam zaprowadzę do nog iego. . . .

Zofia.

Co ty mowiſz? o Boże! co, w ten moment gdy odkrywam nayſzkaradnieyſzą zdradę . . . Miałabym teraz czynić to dla Lindora, czegobym nie uczyniła w ten czas, gdym go ſądziła bydź wiernym? . . . Czytay moy Braciſzku w ſercu moim, potrzebaż było, aby zdradziectwo Lindora oświeciło mnie, do iakiego punktu kocham go, zapomniana, oſzukana; ia mowię, ktorą znaſz iak ieſtem boiaźliwa? gdybym mogła pomyślić że ſię powroci do mnie, poſzłabym do Oyca, tak, miałabym tyle odwagi... Ale Oyciec moy ieſt nie wzruſzony, wſzelkie uſiłowania moie byłyby nadaremne.

Terville.

Nie, bynaymniey; wſzyſtko ſobie obiecuy po iego miłości, poydź moia Sioſtro.

Zofia.

Nie mogę, nadtobym ſię upodliła.. Ach! los moy iuż ieſt zrobiony, miłość nim rządzić więcey nie może; Lindor, Lindor ſam potargał więzy, ktore mię z nim krępowały.

TERVILLE, *na ſtronie.*

Ona mi ſerce rani.

ZOFIA.

Ciotka to moia ſprawiła, że mi Oyciec daie Kleanta, ona wymuſiła na mnie przyzwolenię; ona używaiąc na złe ſwey powagi, bez porady może i Lindora ułożyła iego nieſzczęſne ożenienie; z tym wſzyſtkim winnieyſzym on ieſt nademnie, ia muſiałam go odſtąpić, on ieſt powolnym iak i ia, ale przynaymniey oſzukać go nie byłam zdolną. . . . Tak ieſt, gdyby mi ſię był przyznał, naſz ſtan byłby podobny; moy Braciſzku, iak ſądziſz, czy on mię ieſzcze kocha? co za powod do tey podroży, do tak nagłego tu przybycia! . . . Rozpacz którą okazał, zdała ci ſię bydź tak prawdziwą, iżem widziała żeś był tknięty! .. Ofiary powinności i poſłuſzeńſtwa może oboie warci ieſteśmy politowania! ... Ach gdyby to była prawda... należałożby dźwigać iarzmo tak okrutne i nieludzkie; coż mowiſz na to moy Braciſzku?

Terville.

Posłuszeństwo moia Siostro, nie ma zasługi, tylko w ofierze..

Zofia.

Ale Ciotka moia, i Oyciec nawet maiąż prawo wymuszać na mnie przysięgę przeciwną sercu memu?

Terville.

Jeżeli poydziesz za Kleanta, a masz duszę cnotliwą, nic nie przyrzekasz, czegobyś dotrzymać nie mogła.

Zofia.

Będę więc posłuszna, ale żyć przestanę. . . .

Terville.

Jeszcze ci raz mowię moia Siostro, poydźmy do Oyca.... Ale ktoś idzie... to Marta, coż znaczy ta mina przestraszona! co ona tu nam powie?

SCENA XIV.

TERVILLE. ZOFIA, MARTA.

Marta, *biegnąc prędko.*

Ach! M. Panno. . . . iuż nie mogę. . . .

ZOFIA.

Coż się stało?

TERVILLE.

Mow.

MARTA.

Ach nie mogę, zalękłam się. . . . Lindor. . . .

ZOFIA.

Lindor, i coż. . . .

MARTA.

Uciekł z więzienia.

ZOFIA.

Poiechał?

MARTA.

Och nie.

ZOFIA.

Gdzież iest?

TERVILLE.

Skończ że Marto.

MARTA.

Przestraszył mnie! . . . nie mogę przyiść do siebie. . . . Oto cała historya. . . . Ten głupi La Fleur, zostawił go samego w pokoiu, aby się iak powiada namyślił. Lindor upatrzywszy moment, wybił w oknie Taflę, i wskoczył do Ogrodu. . . .

Zofia.

O nieba ! . . . Dobrze że ſię nie zabił.

Marta.

Pewnie, ſkakać na połtora ſążnia, to piękna dla Amanta. . . . Upadł powoli na trawę, i znalazł ſię w ogrodzie, potym przelazł przez mur, i wziąwſzy nogi za pas, uciekał niewiedząc ſam gdzie, gdy tym czaſem ia ſpotkałam go ſzczęściem na dziedzieńcu.

Zofia.

I cóż ?

Marta.

Oto, chociaż noc ciemna poſtrzegam ładnego młodzieńca ſzybko biegącego proſto na mnie ; ia pytam kto ieſt, zdało mi ſię żem go poznała, nakoniec wołam po Imieniu ; zrazu zaſtanowił ſię z boiaźnią, potym mnie poznawſzy począł proſić, abym mu dała beſpieczne ſchronienie. Ja będąc z natury dobra, zwłaſzcza że nalegał, dałam ſię nakłonić, i zaprowadziłam go do mego pokoiu.

Zofia.

On ieſt w twoim pokoiu ?

MARTA.

Jeſt M. Dobr. Teraz proſzę, co ia mam z nim robić? biedne dziecko, bardzo ſmutny, chciałby powiada, mowić z tobą ten raz oſtatni, i wyiechać.

TERVILLE.

To nie podobna pozwolić mu tey łaſki.

MARTA.

Niepodobna! Mnie ſię zdaie, nic łatwieyſzego, ia ...

ZOFIA.

Nie, nie powinnam go widzieć.... Jednakże moy Braciſzku, iuż raz oſtatni! . . .

TERVILLE.

Dałem ſłowo, że ci nie podam ſpoſobu widzenia ſię z nim....

MARTA.

Ale my ſię obeydziemy wyśmienicie bez W. Pana; zoſtań tu, a Panna niech idzie do mego pokoiu....

ZOFIA.

Nie, iabym chciała, żeby moy Brat był przytomny naſzey rozmowie.. . . Ale mi przychodzi na myśl.... Moy

Bra-

Braciſzku, tu ieſt twoy gabinet, gdybym ſię odważyła..., Ach zlituy ſię nad moim pomieſzaniem, w którym zoſtaię!

TERVILLE.

I cóż? wytłomacz ſię.

ZOFIA.

Możnaby Lindora wprowadzić do tego gabinetu, ia tu zoſtanę, i będę mowiła do niego przez to przepierzenie.... Ty ſię śmieieſz moy Braciſzku, ta myśl zdaie ci ſię dziwna. Ach! ieżeli mię kochaſz, nie odmawiay mi tego, wiedz że tym ſpoſobem mogę mowić z nim, nie będąc od nikogo poſtrzeżona, niechcę tylko pożegnać go na zawſze....

TERVILLE, *na ſtronie.*

Pocieſzne ſpotkanie! (*głośno.*) Zofio, a moie słowo?

MARTA.

Ale nie uchybiſz go, oni ſię nie będą widzieli.

ZOFIA.

Moy Braciſzku, na imie naſzey przyiaźni, zezwol na tę oſtatnią dla mnie pociechę.

TERVILLE, *na ſtronie.*

No, to iuż muſzę im oboygu przyſłużyć ſię. (*głośno.*) Już tedy Zofio, pozwalam.

ZOFIA.

Ach moy Braciſzku!

TERVILLE.

Marto, day mi klucz od twego pokoiu, poydę po Lindora, i wpuſzczę go do gabinetu.

MARTA, *klucz podaie.*

ZOFIA.

Drogie dla nas ſą momenta, ſpieſz ſię Braciſzku.

TERVILLE.

Bądź ſpokoyna. (*wychodzi*)

SCENA XV.

MARTA, ZOFIA.

MARTA.

OCH! Pan Baron i Pani Orphiſe, ieſzcze z dobrą godzinę zabawią.

Teraz ſtroią Kaplicę, gotuią Illuminacyą w Laſku....

ZOFIA.

Co za przygotowania, o Nieba!... a ia w ten moment zezwalam na rozmowę ſekretną, i z kim? ... Drżę cała.... Coż mu powiem?... Zem go powinna nienawidzieć,... zapomnieć o nim... i wyrzec ſię na zawſze....

MARTA.

Ja W. Pannie Dobr. przepowiedziałam, że to wſzyſtko wyidzie na dobre; niewolnik ſię wymknął, co ieſt rzeczą nayiſtotnieyſzą; ia nie wiem, ale ia mam bardzo dobre przeczucia....

ZOFIA.

A ia okropne.... Ja ſobie wyrzucam co moment ten oſtatni poſtępek, który mnie mieſza, i czyni nieſpokoyną.... Ach! gdyby nie ſurowość Oyca i Ciotki moiey, nie wſtydziłabym ſię tey moiey ſłabości....

MARTA.

Nigdym nie widziała żałośnieyſzych Amantow, bo i Lindor z ſwoiey ſtrony płacze i narzeka.

ZOFIA.

On płazze! . , .

MARTA.

Gdybyś wiedziała iak ieſt rozrzewniony; a przytym piękny iak Słońce, podroſł, wyładniał. . . .

ZOFIA.

Dla Boga! . . . ſłyſzę głos. . . .

MARTA.

Coż to ieſt ſłabo ci? ... Co za bladość! . . .

ZOFIA. *upada na krzeſło.*

Nie mogę ſię na nogach utrzymać. . . .

MARTA.

Ach! otoż i Pan Terville.

ZOFIA.

O! Nieba. . . .

SCENA XVI.

MARTA, ZOFIA, TERVILLE.

TERVILLE.

NIE trać czaſu, moia Sioſtro. . . . Lindor ieſt w gabinecie. . . .

ZOFIA.

Co! Lindor? . . .

TERVILLE.

Zabiegaiąc iego nierozmyślności, zamknąłem go. . . . Tłomacz mu się na osobności, ia wychodzę. . . .

MARTA.

A kto będzie pilnował, żeby tu kto nie przyszedł?

TERVILLE.

Ty Marto. . . . Byway zdrowa moia Siostro. (*na stronie*) Jedno o drugim sądzi, że są zdradzeni, będzie żwawa rozmowa między niemi.

ZOFIA.

Nie, moy Braciszku, nie odstępuy mnie. . . .

TERVILLE.

Niechcę ci bydź przykrym, żegnam.. (*na stronie odchodząc.*) Muszę przestrzedz mego Oyca. (*wychodzi.*)



SCENA XVII.

ZOFIA, *ſiedząc na mieyſcu patrzy na Przepierzenie.*

ON tam ieſt! . . . nie śmiem ſię przybliżyć. . . . o Boże! . . . Słyſzę głos iego! . . . woła na mnie! . . . (*czyni kilka krokow i zatrzymuie ſię.*) Jak ſerce we mnie biie! . . . (*zbliża ſię do przepierzenia i ſiada.*) (*a*) = Coż ia ſłyſzę = Tyż to ieſteś, co rozumieſz że maſz prawo mi wyrzucać? =

(*a*) *Kreſki poiedyncze i podwoyne w tey Scenie znaczą krotſze lub dłużſze milczenie, które Zofia zachować powinna przyſłuchuiąc ſię. Powinna także według nich mowić wolnym głoſem lub głośniey, niż w zwyczaynéy rozmowie. Ta Scena acz w czytaniu żadnego nie wydaie ſkutku, w reprezentacyi iednak ieſt ſzczegulną; tylko naywięcey tego przeſtrzegać potrzeba, aby twarz Aktorki wyrażała dokładnie rozmaite uczucia, które ſłuchaiąc okazywać powinna.*

Żem ia ciebie nigdy nie kochała! = Prawda, dałam słowo = tak, tego wieczora. = Nie powinnabym ciebie żałować. . . . (*głośniey.*) Nie powinnabym ciebie żałować. = Tak, powiedź ieszcze głośniey. = A ty wierna? . . . Smiesz to mowić? . . . = I coż! . . . i coż, więc ia iestem niesprawiedliwa, niewdzięczna? = Jako? = ach, naprzykład. . . . — Insza. . . . insza. . . . na moim mieyscu nienawidziłaby cię. = Nie. — Ale przynaymniey z moiey oboiętności (*na stronie.*) Przebog! — (*płacząc.*) nie mogę mu odpowiedzieć, poznałby moie szaleństwo. = (*płacząc*) Nie, ia ciebie słyszę, siedzę na iednym mieyscu. — Nic mi iest. . . . — (*płacze nieprzestaiąc.*) Ja ci powiadam że mi nic — (*na stronie.*) Klęczy, o Nieba! — Wstańże — Wstań mowię proszę cię. . . . — Jakie są twoie przewinienia? — Uwolniy mię od wyliczania onych. — Ach! . . . znasz ty ie lepiey odemnie. . . . — Nie miałżeś się żenić? — Jakto, ia miałem się żenić? — Co! będziesz się zapierał? . . —

Moia Ciotka nie odebrała od ciebię słowa? — Twoia Ciotka! — O! nieba, czy to bydź może! . . . — Ale moy Oyciec — tak moy Oyciec powiadał toż samo. . . . = O Boże, mogliż mię tak zwodzić? . . . — Ach! Lindor, chciałżebyś ieszcze i ty mnie zwodzić? . . . = Co! w tym samym gabinecie! — w tym gabinecie! — tyś mię wysłuchał! — Oyciec moy tak mi mowić rozkazał... — Oboie nas oszukiwano. . . . — Ach Lindor! . . . — Jako! ty mnie zawsze kochasz! . . . — I ia ciebie więcey nad życie moie! . . . — Kocham, śmiem to wyznać — tak, Lindor, zwyciężę moią boiaźń — wyznam wszystko przed Oycem moim; — tylko wyieżdżay — wyieżdżay proszę cię — schroń się przed zapalczywością iego w pierwszych momentach; — pod tą kondycyą iedynie przyrzekam; — I coż nie ufasz mi? .. — Ach! wierzę ci. . . . . — Miłość i czas. . . . — Jedź, wroć się do Strazburga, a zday na mnie całe staranie o nasze uszczęśliwienie. . . . — Nie-

ſtety, muſzę.... muſzę — Więc mi obiecuieſz?... — Ach! iak wſzyſtko wyrażaſz co ia czuię!... — Jakto? (*uśmiecha ſię.*) (*na ſtronie.*) Co za ſzaleńſtwo!... Żebym rękę położyła na ścianie?... — Żebym zdięła rękawiczkę?... — Ale iak ci pokazać mieyſce?... (*uderzaiąc w ścianie.*)... Prawdziwie ia nie śmiem — nie śmiem.... — No, no, niegniewaj ſię. — (*do ſiebie ſamey.*) To czyſte dziecińſtwo!... — Tylko poczekay, niech zdeymę rękawiczkę!... — (*kładzie rękę na ścianie, uderzaiąc zletka.*) A coż, czy ſłyſzyſz? oto tu moia ręka, tu, tu.... (*zrywa rękę nagle.*) Ach! to oſobliwſza.... Ale, właśnie iakby mnie pocałował; uczułam, uczułam...- — Ja nic nie mowiłam, i zawſtydziłam ſię. ... Ale prawdziwie mnie ſię zdaie, że ty mnie widziſz!... — Ach zapewne radbym... — Nieſtety! za moment trzeba nam ſię rozſtać! — trzeba ſię rozſtać!

Orhise,

(*ukazuie ſię w głębi teatru i mowi.*)

Ona gadała.... (*przyſłuchuiąc ſię zatrzymuie.*)

ZOFIA, *nie widząc iey wcale.*

Jeżeli mnie kochaſz, bądź ſpokoyny, ſpuść ſię na moie przyrzeczenia....

ORPHISE, *przyſuwaiąc ſię.*

Ale ona głupia! ... Coż ia ſłyſzę? wſzak to głos Lindora! ...

ZOFIA, *poſtrzegłſzy Ciotkę.*

Ach! dla Boga, to moia Ciotka!... (*upada na krzeſło.*)

ORPHISE.

Zdaie mi ſię żem we śnie! ...

ZOFIA.

rzucaiąc ſię do nog Ciotki.

Ach moia Ciotko, chciey mi wybaczyć, i ieżeliś kiedy była na mnie łaſkawa....

ORPHISE.

Ach! ach! odkrywam twoie Intrygi; W. M. Panna Martę poſtawiłaś na ſtraży; ale to nie mnie oſzukać można; poſtrzegłam ſnuiącą ſię Martę, nie kazałam tu wchodzić, aż zaſtaię... Toś to ty dopomagała ucieczce Lindora, który ſię w tym gabinecie kryie, O! dobrze M. Panno, wybieray ſię żaraz do kłaſztoru....

ZOFIA.

Moia Ciotko ...

ORPHISE.

Aha! chcieliście mnie oszukać? śmiały nadto zamysł! . . . (*Przysłuchuie się.*) Teraz z kim innym. . . . (*słucha.*)

ZOFIA.

Czy słyszysz go moia Ciotko? ...

ORPHISE.

Ciszy! ... (*słucha*) Jak to! on wyskoczył przez okno Officyny? . . . (*Przysłuchuie się*) (*na stronie*) W rzeczy samey on mię rozrzewnia.

ZOFIA.

Ach moia Ciotko, i iakże nie zezwolisz na nasze proźby, na łzy nasze? . . .

ORPHISE.

Ale Kleant; ale ślub? ...

ZOFIA.

Ty wszystko możesz nad Oycem moim, my nie mamy nadziei tylko w tobie.

ORPHISE

Zagłuszacie mnie oboie, niewiedzieć ktòremu mam odpowiadać, ra-

zem gadacie.... Cicho, oto i Oyciec twoy, cicho mowię, daycie mi to wszystko ułożyć powoli.

ZOFIA.

Moia kochana Ciotuniu!...

SCENA XVIII.

ZOFIA, ORPHISE, TERVILLE, BARON.

BARON, *wchodzi mowiąc do Syna.*

IDź, idź moy Synu, uwolniy go z więzienia.

TERVILLE

Biegnę.... a ty Zofio podziękuy naylepszemu Oycu.... (*wychodzi.*)

ZOFIA.

Ach moy Oycze!... (*rzuca się do nog tego, ktory ią przyciska.*)

BARON.

Trzeba im wybaczyć, nie prawda moia Siostro?...

ORPHISE.

Więc iuż Terville o wszystkim ci powiedział?...

BARON.

Tak ieſt, i Kleant uwolnił mię dobrowolnie od moiego przyrzeczenia.

ORPHISE.

Zdaie mi ſię, że Terville powinien był ſię udać do mnie!...

BARON.

Daymy temu pokoy, bez urazy, otoż i naſz waryat!...

SCENA XIX.
i oſtatnia.

ZOFIA. BARON, ORPHISE, LINDOR, TERVILLE trzymaiąc LINDORA *za rękę.*

ZOFIA, *na ſtronie.*

ACH iak ieſt niezwyczayne moie pomieſzanie, rownie iako i radość.

LINDOR.

Zofio.... Gdzie ona ieſt? (*zatrzymuie ſię i przypatruie Zofii, ktora na niego*

poglada z boiaźnią. Inne Osoby na nich patrzą, potym Lindor rzuca się do nog Barona i Orphise, ktorzy stoią blisko siebie.) Ach czegożem wam nie winien?...

TERVILLE.

Co za dzień szczęśliwy!

ZOFIA.

Ach moy Bracis zku....

BARON.

Przystąp Zofio.... I coż! Moie dzieci patrzcie na siebie, czyście nie postarzeli, nie odmienili się?... Możecie sobie ieszcze wymowić....

LINDOR.

Jakże! ia oglądam Zofią!... Co? ia znayduię ią, abym nigdy więcey od niey się nie odłączył?.... Ty mi daiesz Zofią.... Ach tu dopiero odbieram życie, tu mowię odbieram iedyne dobro, które mię przywiązuie do życia!... Ach moia Ciotko, i ty moy Stryiu, wy, prowadźcie moią młodość, nauczaycie mnie, informuycie, uczyńcie ieżeli można godnym waszego dobrodzieystwa, godnym mowię Zofii... Miłość i wdzięczność

są to ieszcze moie cnoty iedyne, ale do usprawiedliwienia waszego wyboru w oddaniu mi Zofii, iestże co, czegobym nabyć nie zdołał? ...

Baron.

Sama chęć twoia obiecuie wszystko.

Orphise.

No, to musiemy ułożyć inszą Intercyzę. Moy Braciszku schoway sobie Posag Zofii, ia biorę na siebie iey wyposażenie i wyprawę; przysposabiam sobie Lindora i Zofią, i chcę im zapisać cały moy Maiątek.

Zofia.

Ach! Lindor.... niezapominaymy nigdy tylu łask i dobrodzieystw!

Baron.

Bądźcie szczęśliwi moie dzieci, a stanie się nam zadosyć.

Lindor.

Ach! zbytek mego szczęścia nie może bydź poięty ani wyrażony....

Zofia, *wskazuiąc na Brata.*

A przyiaźń będzie onego udziałem. . . .

Lindor, *ściskaiąc Terville.*

I onę pomnoży.

BARON.

Zachowuycie moie dzieci ſentymenta tak czułe i prawdziwe, a wierzcie, iż ieżeli w ſwey familii znaleść nie można przyiacioł ſzczerych i pewnych, nie podobna ſpodziewać ſię, aby gdzieindziey pozyſkani byli.

Koniec Tomu pierwſzego.



